ŚWIĄTECZNY NUMER „DUNAJCA” W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

Edward Smajdor o partyzanckiej wigilii w Kostrzy ● Stefan Cieply: „Świat w roku 2000” ● Reportaż Jerzego Leśniaka z Moskwy ● Szkice z przeszłości regionu: Jan Wielek, Henryk Jost, Ludomir Mazela, Alfons Filar ● KRYNICA-ZDRÓJ, ● NOWY SĄCZ PRZED STU LATY ● MUZEUM TATRZAŃSKIE ● Korespondencje z Węgier, Czechosłowacji i NRD ● Stałe rubryki Andrzeja B. Krupińskiego i mjr. Czesława Glińskiego; krzyżówka, humor, program telewizyjny.

1984

DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 52–53 (216–217) Rok V Nowy Sącz 23–30 grudnia 1984 r. Cena 20 zł

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Jerzy Masior

KOLĘDA

I znów pójdziemy z kolędą,
z turoniem, gwiazdą, obłokiem,
więc może spełnione będą
tamte sny, co przed rokiem.

I może blask o północy,
i może te przyrzeczenia
z mocy naszej – niemocy
będą się teraz spełniać.

A może gdzieś od Jordanu,
gdzieś od zmrożonej północy,
ciepło odtaje – zostanie
wśród ludzi i w ludzkiej mocy.

WŁADYSŁAW LORANC

Noworoczne obrachunki

Mija piąty rok zmagań, w których także Polska poddana warunkom narzuconej światu polityki konfrontacji i wymuszania zbrojeń, toczy trudną i kosztowną walkę. Toczymy ją o zachowanie ustalonego w Poczdamie ładu po faszystowskim kataklizmie, o kontynuowanie reform bez których trzeba by wrócić do niemocy, wyniszczającej naród polski przed wrześniem 1939 roku, o skuteczne wykorzystanie każdej pary roboczych rąk, każdego kawałka ziemi, każdego talentu w którego przygotowanie włożyło społeczeństwo wiele wysiłku i wiele nadziei.

W tej walce uczestniczymy wszyscy, ale nie wszyscy po tej samej stronie. Pożegnamy jednak piąty rok zmagań, które nas podzieliły, świadomi, że sprzeczności i konflikty będące ich wyrazem, straciły na ostrości tak dramatycznej pod koniec 1980 i 1981 roku, że obecnie inne są niż były wtedy proporcje sił, że doświadczenie szesnastu miesięcy skuteczniej niż słowa zadecydowało o dokonanym zwrocie politycznym.

Wybory do rad narodowych potwierdziły wolę ogromnej większości społeczeństwa, by aktywnie współtworzyć socjalistyczne instytucje państwowe. Zmniejsza się liczba tych, którzy dystansują się od obywatelskiego zaangażowania, a zupełnym marginesem stały się siły antysocjalistyczne z coraz mniejszym powodzeniem maskujące pięknosłowiem z obszaru „czystej demokracji”, tun trywialny fakt, że są tylko osłami zaprzężonymi w rydwan polityki konfrontacji. Udają, że nie ciągną ale powozą, bo przecież właściciel pojazdu dał im bat, którym według własnego uznania mogą chłostać wszystkich po których rydwan polityki konfrontacji, dyktatu i restrykcji jedzie wygodnie i bez żadnego ryzyka dla właściciela.

W trudnych i kosztownych zmaganiach kończącego się roku nie tylko sukcesy mamy do zanotowania. Partia popełniła w latach siedemdziesiątych błędy w sferze polityki i gospodarki na tyle duże, by ich skutki nie przeszły jeszcze do historii. Polityczni przeciwnicy wykorzystali te błędy tak rozległe i z takim poparciem, że zdołali uwikłać energię społeczną nie w proces tworzenia, a w odruch niszczenia. Dokonując obrachunku warto zatrzymać uwagę na oczywistej różnicy między partią a „Solidarnością” z robotniczego punktu widzenia. Partia, od

(CIĄG DALSZY NA STR. 14)

PARTYZANCKA WIGILIA

Szkoła w Kostrzy położona jest w pięknym zakątku górskim, z dala od ważnych szlaków komunikacyjnych. Odegrała niemałą rolę jako bastion ruchu oporu przeciw okupantowi. Była też w czasie okupacji widownią dramatycznych scen. Nazwano ją często „szkołą partyzancką", a okolicę — „Rzeczpospolitą Kostrzańską". Zbliżcie lekcji obcinali tu czasem w biały dzień w czapkach z polskimi znakami, czemu nikt się nie dziwił, bo ludzie łamiejsi to prawdziwi Polacy.

Pełne niezwykłego napięcia chwile przeżyły Zofia Kolarczyk — kierowniczka szkoły, i nauczyciele — Maria Lewek, 11 listopada 1944 r. Późnym dnia wjechały na podwórko szkolne dwa wozy, z których wyładowano ubrania, cukier, broń i amunicję, przeznaczoną dla oddziałów leśnych. Wszystko to ukryto i zamaskowano. Zmęczone całodzienną ciężką pracą nauczycielki spały mocno, ale nad ranem Zofią Kolarczyk, zawsze ostrożną, zaniepokoiła jakimś przeczuciem, wyszła na podwórko szkolne i zobaczyła oddział niemiecki, podążają, cy w jej stronę. Zaalarmowała przebywających w szkole partyzantów, w złobku stajenki betlejemskiej — zasiadamy, gdy zajaśnieje pierwsza gwiazda, dzielać się ze wszystkimi opłatkiem, symbolizującym chleb. Chleb bowiem to od prawieków ukoronowanie dobrych plonów, całorocznej pracy naszych rolniczych przodków.

Choinka w dzisiejszym jej kształcie, stojąca czubkiem do góry, przyjęła się dopiero w XIX w. Niegdyś zawieszano w polskich domach u pułapu bujający się świętły snopek jody lub świerka, ustrojony tradycyjnie w wydmuszki, jabłka, orzechy, figurki z piernika. Jest rodzaj zwyczaju, zwany wieńdeką — widywał jeszcze Oskar Kolberg.

Choinkę zdobiono pierwotnie tylko w płody rolne, jak na naród rolniczy przystało. Błyszczące kule i inne ozdobne cacka — to już czasy znacznie późniejsze. Popularne obecnie łańcuchy z kolorowego papieru pokazały się na choinkach po powstaniach narodowych, symbolizując niewolę. Dziś prezenty gwiazdkowe kładzie się pod choinkę, ale w czasach, gdy huśtała się ona pod powałą, zabawki dla dzieci chowano w sianie pod obrusem.

Po skończonej wigilii gospodarz rozdzielał ongiś siano spod obrusa między tak" (Bronisław Humenny). „Czarna Pani" oddała do ich dyspozycji swoje mieszkanie, bielizną i garderobę przybywającego na niewoli męża. W wspomian partyzanci wspomagali ją w prowadzeniu tajnego nauczania dzieci.

Najbardziej pamiętne chwile przeżywali wszyscy 24 grudnia 1944 r. Prócz wymienionych poprzednio członków ruchu oporu w okolicach Kostrzy przebywał cały oddział złożony z około 40 cudzoziemców, członków załogi zestrzelonego nad Polską samolotu amerykańskiego, którym dowodził „Hubert" (Hubert) — lecący niewiele ponad 20 lat Kanadyjczyk, Hubert Brooks. Zofia Kolarczyk wraz z Marią Lewek opatrzyły urazy oddziału — dla wszystkich partyzantów wieczerzę wigilijną.

— Była to podniosła uroczystość — wspomina Maria Lewek — mająca charakter ogólnoludzkiego zbratania wszystkich narodów, które walczyły z hitleryzmem. Poprzedziła ją msza św. polowa, którą odprawił ks. Hubert Kostrzański, opat cystersów w Szczyrzycu. Jeden z partyzantów grał na skrzypcach kolędy. Potem — wspomina Maria Lewek — podzieliwszy wieczerzę wigilijną, która składała się ze staropolskich potraw: barszcz czerwony z „uszkami" pierogi z kapustą (były ich ponad tysiąc), karp smażony i w galarecie, kompot z suszonych owoców. Dla uszanowania tradycji, żołnierzom angielskim „przygotowywano pieczone ziemniaki, dodawano do karpi przez p. Romerową. Nie umiem opisać wzruszenia, jakie przeżywamy przy łamaniu się opłatkiem. Wszyscy pod choinką znaleźli upominki: ciepłe rękawice i skarpety, tak przydatne w ciężkim partyzanckim życiu. W czasie wieczerzy śpiewano kolędy polskie, a obcokrajowcy słowie, wygłoszono mowy partyzanckie. Pamięć tej niezwykłej wigilii pozostała nam przez wiele lat.

EDWARD SMAJDOR

Święta polskiej rodziny

Wigilia ma u nas ze wszystkich świąt cechy najbardziej rodzinne, domowe, serdeczne. Pokój, miłość, zgoda — to jej symbole. W zwyczajach i obrzędach gwiazdkowych dźwią elementy dawnej słowiańskiej obyczajowości, które harmonijnie połączyły się z obrzędowością chrześcijańską. Dlatego chyba nigdzie indziej nie Boże Narodzenie (lub — jak kto woli — Gwiazdka) nie są obchodzone tak głęboko i uroczyście, jak w Polsce.

Wielki magi urok tej święta rodzinne. Rodzina zad polska była zawsze najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym, i w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy tylekroć w naszej historii wszystko zamieniało się w gruzy, na rodzinie budowano się nowe życie i to ona przechowywała w sobie wiernie wszystko, co było rękojmią odrodzenia.

Serdeczność i gościnność okazujemy w wieczór wigilijny nie tylko własnej rodzinie, ale każdemu — czego symbolem jest to jedno dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa, czy zabłąkanego wędrowca. W czasach okupacji miało to puste nakrycie jeszcze jedną symboliczną, tragiczną wymowę... Puste nakrycie nakrytego stołu, a siano pod obrusem na pamiątkę siana grzybowa, ongiś również polewka miodaglowa, czasem ryba rybna, ryby rozmaite przyrządzane, kapusta z grzybami, kluski lub łamańce z makiem, kompot z suszu, strucie, pierniki, orzechy. Jeść należało dużo, jeśli też przesąd że kto tu potraw wigilijnych jeść nie będzie, tyle go radości w roku następnym ominie.

Z dniem wigilijnym od dawna łączą się różne wróżby i wierzenia. Np. kto rano wstanie tego dnia, nie będzie ospały przez cały rok. Który myśliwy zdołał w dniu tym co upolować, ten mógł liczyć na dalsze szczęśliwe łowy. Do dziś wróży się ze źdźbeł siana wyciągniętych spod obrusa: kto wyciągnie siano krótkie, ożeni się lub wyjdzie za mąż w karnawale. Źdźbła źdźbło wróży, że trzeba z ożenkiem poczekać, a poczerniałe, że pozostanie się samotnym do końca życia. Wróżono też ze szczap drewnianych, wrzucanych na dach czy też ich brak, bo rozczysta, czy nieparzysta, a więc nieopomyślna.

Lud polski, ma do starożytnych słowiańskich czasów dość wielkiej zwyczajów, związanych z Godami. Przebieranie się za zwierzęta: wilka, tura, kozą, bociana — pochodzi z czasów pogańskich, gdy pradawni myśliwi chcieli mieć sukcesy w łowiectwie. Natomiast chodzenie po domach z szopką czyli żłobkami (tak się po staropolsku zwał żłobek) ma swój początek w przedstawieniach kościelnych. Na teren Polski dostały się one z zakonem franciszkańskim w XIII w. wraz z pieśniami, kolędami na cześć Dzieciątka. Nowość ta przyjęła się od razu. Autorem jasełek był św. Franciszek, który w ten sposób chciał odświeżyć pamięć o narodzinach w stajence w Betlejem, na co dostał zezwolenie papieża Honoriusza.

Do świąt Bożego Narodzenia odnosi się wiele przysłów. Np. „Koło świętej Ewy — nać dziąże cholewy", albo „Kiedy Gołębie — to stołęże, kiedy Żórawie", czy „Królowie pod szopkę, dnia na kurzą stopkę".

Powszechnie jest też śpiewanie kolęd. Dzisiaj słyszy się ich około 20, ale znawcy twierdzą że jest ich około 600.

Piękne, uroczyste i jakże głęboko polskie są te nasze zimowe święta. Jakim rajem byłby świat, gdyby prawa wigilijnej nocy i wieczerzy rządziły nim stale.

KRYSTYNA BOERGEROWA

W zwierciadle DUNAJCA

Żegnając rok 1983 napisaliśmy: — Głównym hamulcem jest bylejakość w spełnianiu obowiązków. Uzakłnienie tego, co wspólne, jak by było niczyje. Każdy sądewstawowy autobus, ile ulicy chodnik, krzywa ścieżka, pokrzywa odwiedzi urzędy, nie dotrzymany termin, protekcje, arogancja, pomówienia i pieniactwo — to prawda o nas nie mniej ważna, niż ta, która mówi, że jednak nie żyjemy w miejscu, że to i ówo drgnęło...

STYCZEŃ

Józef Brożek w wywiadzie dla „Dunajca":

— *Jako partia jesteśmy szczególnie wrażliwieni na wszelkie zagrożenia idei sprawiedliwości. Kto naruszy prawo lub zasady współżycia, będzie surowo potraktowany — kimkolwiek ten, nie można liczyć na taryfę ulgową. Są już na to liczne dowody, powiadezia to żyjący ruch kadrowy w województwie.*

Zakończyły działalność wojskowe grupy operacyjne. Plenum WK SD poświęcone ochronie walorów przyrodniczych i leczniczych regionu. W Marcinkowicach 11 Wojwódzki Zjazd ZMW. Uruchucie hali sportowo-widowiskowej w Gorlicach. Ogniwa PRON zrzeszają już w Nowosądeckiem 13 tys. osób. Powiększają się szeregi związkowców w SZEW, ZNTK, gorlickiej Rafinerii Nafty i Krakowskich Zakładach Armatur w Jordanowie. W sądeckim szpitalu poprawia się nieco zaopatrzenie w sprzęt radiowo-telewizyjny. Brakuje nadal szamponów. Niezelnik Zakopanego, ROBERT KŁAK: — *Bez oddania do użytku nowej oczyszczalni ścieków, nie ma mowy o rozwoju budownictwa mieszkaniowego pod Tatrami.*

Dobiega końca kampania sprawozdawczo-wyborcza PZPR. Choć szeregi partyjne zmniejszyły się w regionie o 25 proc., Partia jest dziś w zauważalny sposób silniejsza, bardziej zwrócona ku przyszłości, konkretniejsza w formułowaniu zadań i równocześnie samokrytyczna. Nazywanie po imieniu miejsc słabych nikogo już nie gorszy, dzięki czemu uda się zapewne uniknąć stagnacji.

LUTY

Interpelacje sądeckich radnych o wyłączaniu wody bez uprzedzenia, zasypanych śniegiem ulicach, zmianie numerów telefonów bez podawania informacji w prasie, niszczeniu środowiska naturalnego.

Prezydent Nowego Sącza o zadaniach inwestycyjnych w bliższym rozku: — *Chcemy m. in. zmodernizować i rozbudować SZEW, Zakład Ceramiczny w Bielowiczach, spółdzielnie mleczarską, wyremontować stary substancję mieszkaniową, zwiększyć ilość autobusów dla WPK, uzbroić dalsze tereny pod budownictwo mieszkaniowe, uruchomić łącznie kotłownie rowe w osiedlach Millenium i Gołąbkowice, zwiększyć tempo prac przy budowie pawilonu szpitalnego i przedszkola przy ul. Radbertrzej.*

W Nowosądeckiem zarejestrowano już 280 związków zawodowych skupiających 30 tys. członków. Prężnie działają zwłaszcza w „Matisoft" „Gliniku", Kopalni Skalnych Surowców Drogowych w Klęczanach, zakopiańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego, Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolnego w Limanowej.

W Poroninie — w przeddzień 60. rocznicy śmierci Lenina — gościmy delegację Państwowego Komitetu ZSRR do spraw Wydawnictw, Poligrafii i Księgarstwa.

II Wojewódzki Zjazd ZBoWiD-u i odznaczenia dla kombatantów; spotkanie Józefa Brożka z aktywem robotniczym ZSMP, jubileusz 50-lecia klubu sportowego „Podhale" w Nowym Targu.

Głosy twórców kultury podczas spotkania z I sekretarzem KW PZPR:

— *Oglądając piękny Dom Jańska Krasickiego, w którym się spotkaliśmy, nabieram przekonania, że w Polsce można zrobić wszystko. Niechby przykład Tarnowskiej zaraził nas wszystkich* (HENRYK BURZEC).

— *Każde wielkie dzieło rodzi się z pamięci ludzkiego trudu, z ułamków prawdy, z życia zwykłych, ludzkich ran, w małych manufakturach i wsiach ludzi, z przywiązania do naszego gniazda* (JULIAN KAWALEC).

— *Przegląd i festiwale folklorystyczne traktowane są słusznie jako „uzrędnicone" — jako kolejne punkty kalendarza imprez, które trzeba zrealizować. Nie mają one dalszego ciągu — po nagłośnieniu i fanfarach należące sesyjo darcmnie oczekują na oferty od placówek kultury* (WIESŁAW WITKOWICZ).

W konkursie „Miastu i sobie" najczystsze sądeckie osiedla: Przydworcowe i Szujskego. Rekordowa frekwencja turystów w Bukowinie Tatrzańskiej. W rocznicę podjęcia przez Bataliony Chłopskie walk zbrojnych odznaczenia dla weteranów chłopskiego ruchu oporu. Wzięcie decyzji o budowie hali sportowej w Nowym Sączu. Śmierć rabsztańskiej poetki, ANTONINY ZACHARY-WĘĘKOWEJ.

STEFAN CIEPŁY

Tuż przed świętami Stefan Ciepły dał nam do przeczytania maszynopis swojej książki, złożonej do druku w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Jej wartość polega na tym, że w przystępny sposób przedstawia wiedzę uczonych o zagrożeniach, jakie zawiały nad ludzkością, a równocześnie kreśli drogi wyjścia, warianty nadziei. Nie straszy, lecz zmusza do zastanowienia. Pyta, czy człowiek przetrwa układ słoneczny i wywiązuje galaktykę, czy też wcześniej wyczerpie się cierpliwość ubogich, lub reka szaleńca naciśnie guzik nuklearnej zagłady? Zastanawiając się nad zasadami świata w roku 2000 jest po stronie tego chłopaka, który demonstruje przed „tamkniętymi drzwiami" Białego Domu z transparentem „*Chcę też żyć tak długo jak Reagan*". I dopowiada: człowiek, jeśli chce przetrwać, musi opanować siebie, bo sam jest największym zagrożeniem dla roku 2000.

Podsuwa dane pomagające znaleźć odpowiedź na pytania: *Ile nas będzie? czy się wyżywimy? skąd czerpać będziemy surowce i energię?* Pisze: „Wykluczam wojnę nuklearną, bo ona wyklucza życie na Ziemi. Dlatego za największe niebezpieczeństwo uważam zagrożenie ekologiczne". Zastanawia się, czy *wystarczymy mądrzy przyrody? co przyniesie rozwój nauki i techniki? jaka będzie szkoła, telewizja, architektura? dokąd zaprowadzi komunistyka i zbrojenia?*

Po lekturze interesującej całości mamy kłopot z wybraniem fragmentu dla Czytelników „Dunajca". Jeśli rozdziały o urbanistyce, architekturze i medycynie przypadną Państwu do gustu — spróbujemy wydrukować dalsze odcinki.

Wędrówka do miast

Z zadziwiającą szybkością rodzaj ludzki przeszedł czas swe rodzaj miejski. Jeśli pod koniec XIX stulecia ludność miast liczyła około 250 mln i stanowiła 15 proc. populacji całego świata, to w roku 1960, gdy było nas 3 mld, wzrosła do 1 miliarda. Obecnie na 10 osób 4 mieszkają już w mieście, a w roku 2000, gdy będzie nas lekko ponad 6 mld, przekroczy połowę.

Pierwsze 5-milionowe miasto Londyn powstało w początkach naszego stulecia. W połowie XX wieku było już 5 takich ośrodków (Nowy Jork, Londyn, Paryż, Tokio, Szanghaj); dziś w połowie lat 80-tych 26 a miast zamieszkiwanych milionami szkańców — ponad 280. Według prognozy ONZ w roku 2000 będzie 60 miast gigantów, z czego 47 w krajach rozwijających się. Jest bowiem specyficzną cechą urbanizacji, że o ile początkowo dotyczyła krajów wysoko uprzemysłowionych, o tyle teraz stała się zjawiskiem dominującym na obszarach Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Prognoza na rok 2000 przewiduje, że wśród 15 największych miast świata tylko Tokio, Nowy Jork i Los Angeles leżeć będą poza obszarem Trzeciego Świata.

Niektóre z miast rosną z oszalamiającą prędkością. Mexico City w roku 1950 liczyło 3 mln ludzkości, a w roku 2000 z pewnością przekroczy 30 mln. Niektórzy zresztą uważają, że już przekroczyło. Ulice Mexico City wypełnia dziś 3 mln pojazdów, w roku 2000 będzie ich 13 mln. Między 7 a 8 rano, gdy 2,5 mln właścicieli samochodów rusza do pracy, spalny są tak gęste, że ograniczają widoczność do 100 metrów. Zanim ruszy ruch uliczny, Mexico City dostarcza 30 proc. całkowitej produkcji przemysłowej kraju. Jest tu ponad 5 tys. fabryk. Mieszka tu ponad 20 proc. wszystkich urzędników. Nigdzie na świecie nie ma takiej centralizacji i nigdzie skażenia toksynami nie sięgają takiego poziomu (60 tys. zgonów rocznie na tym tle).

Inny przykład: Tokio. W jego granicach administracyjnych mieszka 13 mln mieszkańców, ale dół miasta przyłega bezpośrednio zespół Jokohama-Kawasaki (4 mln), a także szereg kilkusetkrotnych miast regionu Kanto. Łącznie aglomeracja obejmuje 27 mln ludzi. Na 1 mieszkańca przypada tu 0,5 m kw. zieleni (w Moskwie — 20 m kw.). Ponad 20 mln osób korzysta codziennie z komunikacji miejskiej, a 3 mln z samochodów osobowych. Mimo wielogrzewczych autostrad 1 metra ziemi nie będziasię nie szybciej niż w Warszawie. W związku z najwyższą w świecie koncentracją przemysłu i zanieczyszczeniami środowiska na ulicach natrafiamy na ej monitory, wskazujące na stan warunków aerosanitarnych, od czasu do czasu ogłaszające alarm. Zatrzymuje się wtedy ruch uliczny, wyłącza fabryki. Ale Japonia ma najkrótsze samochody, ogromne zrozumienie rangi ochrony środowiska, dzięki czemu świętą górę Fudżijamę (100 km od Tokio) znów widać przez około 76 dni w roku (w 1968 — 13 dni).

Miasto miastu nierówne. *„Azjatyckie miasto jest jak ulesia (...) w azjatyckim mieście nie wciskasz przed ludzkim potokiem, który vodziera się we wszystkie szczeliny, tworzy nieocekiwanie głębokie kanyony, które uzupełnia tamtejsze kalkulacje z europejskich doświadczeń"* — pisze „La Stampa". W Indonezji, na Filipinach, w Indiach, w Kenii liczba mieszkańców ulektórych miast podwaja się w ciągu 10 lat. Jeśli obecne tendencje utrzymają się w końcu wieku 3/4 Latyno-Amerykanów i 1/3 Azjatów bytować będzie w mieście. Ten wzrost nie jest jednak bezsprzeczny. Ograniczają go nawet takie skutkiem masowych migracji ze wsi do miast. W nadziei zdobycia pracy, w nadziei uchronienia się od głodu corocznie 50 mln przybywa do miast z indyjskich wsi, z malezyjskiej dżungli, z tajlandzkich ryżowisk. To samo dzieje się w w Afryce, pustynniejącej ziemi i suszę sprawiają, że tomadzi mieszkają do miast. Tylko co to znaczy? Otóż mniej niż połowa ludzi w miastach ma dostęp do wody pitnej; sterty odpadków piętrzą się wydalającehowy fetor; góry śmieci przyciągają niezliczone tłoki much; szczury, ptaki i koty tarzają się w nieczystościach. Gdy nadchodzi pora deszczowa, baraki bez fundamentów, stawiane często z odpadów blachy lub tektury, walą się. Naturalnie nie ma elektryczności. Oświetlenie nafta przyczyna pożarów. W jednej wielkiej wieloosobowej 20 m kw. — czytamy w raporcie UNICEF poświęconym tragicznej sytuacji dzieci — ludzie sypiają na dwie zmiany, pokoiem. Śmiertelność i analfabetyzm zbierają nieżyczajne żniwo. Przeszło połowa mieszkańców miast w Afryce, to lokatorzy slumsów. Liczba miast milionowych pod koniec stulecia wzrośnie w Afryce 5-krotnie, a Azji 6-krotnie, a Ameryce Południowej — 3-krotnie.

Najnowsze badania wskazują, że 54 proc. przyrostu w miastach powoduje już nie ludność najbywowa, lecz sami mieszkańcy, przybywający do miast na stałe. Zmiana ta dla prognostyki okresu swego życia, pomiędzy 16 a 40 rokiem.

A co na to wszystkie architektura? Jakie rozwiązania proponuje wobec zagrożenia wynikającego z industrializacji, a jakie wobec przeludnienia.

Barbara Ward, zmarła niedawno działaczka ruchu Pugwash, autorka szlachetnej i mądrej książki poświęconej prawu człowieka do dachu nad głową, nadzieje swe kieruje — w państwach socjalistycznych — w stronę gospodarki planowej terenami, a w państwach kapitalistycznych — w stronę spmorządów, mogących walczyć ze spekulacją terenami. Natomiast w krajach Trzeciego Świata jedynej nadziei upatruje w pomocy międzynarodowych organizacji na rzecz złagodzenia napięć. Są na to przykłady. W Rosso (Mauretania) udało się zainicjować doprowadzenie wody przy udziale mieszkańców slumsów i wprowadzenie aktywu względnej schludności. W Maroku Fundacja Forda buduje tanie mieszkania o minimalnym standardzie. Ale to kropla w morzu potrzeb.

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—5)

MARZEC

Na Krajowej Konferencji Partyjnej w zespołach problemowych — jak zbierają: **Józef Brożek, Antoni Rączka, Wiktor Czartoryski, Aleksander Kusiński i Jerzy Skrzypek.** Z wystąpienia Franciszka Rusnarczyka, pedagoga z Miszany Dolnej w debacie plenarnej:

— *Mało uwagi poświęcamy problemom organizacjom partyjnym. A trzeba im pomóc — bo przecież gminna Polska, gminna partia, to jest także ta sama Polska i ta sama partia — tylko wtedy dalej od Warszawy.*

Wizyta w Nowym Sączu ministra komunikacji. Janusza Kamińskiego — uzgodnienia dotyczące budownictwa mieszkaniowego dla kolejarzy, usatelenie elektryfikacji linii kolejowej do Krynicy i Muszyny. Uroczysta sesja WRN dla uczczenia 40. rocznicy KRN. III wojewódzki Zjazd Zrzeszenia LZS. „Złoty Czapek" dla najlepszej pielęgniarki w województwie, Barbary Nicz z Krynicy. Zmarła Agata Konstanty, poetka i reżyserka.

Służba Bezpieczeństwa zatrzymała kilkanaście osób drukujących i rozpowszechniających nielegalne czasopisma.

Janusz Tomalski podczas Plenum KW:

— *Jest naszym obowiązkiem udzielajucał na inicjatywy programowe samodzielnych związków twórczych i stowarzyszeń, nie dyrektywami, lecz twórczą obecnością naszych towarzyszy w formułowaniu programu i codziennym działaniu ruchu społecznego.*

KWIECIEŃ

Z myśli tygodnia: *Polska znów staje się krajem, w którym można żyć w poczuciu pewności jutra (...) Aby osiągnąć zamierzone rubieże potrzebny jest czas, nieustanne ze troszczy. Od nas zależy, aby czas ten był jak najkrótszy, a koszty jak najmniejsze (...) Demokracja socjalistyczna sama do dzieci nie przyjdzie. Demokracja musi być dziełem szerokich mas, obywateli, narodu...* (WOJCIECH JARUZELSKI).

— Z prac Egzekutywy KW PZPR: — Najwyższa liczba skarg i zażaleń obywateli do instancji partyjnych dotyczy spraw mieszkaniowych, rolnictwa, niewłaściwego traktowania, międzyludzkich w zakładach pracy, nieterminowego wypłacania rent i emerytur, przewlekłego załatwiania spraw sądowych.

Publikujemy projekt Wojewódzkiego Programu Wyborczego. Powołanie Kolegium Wyborczego. W Muzeum Lenina w Poroninie wystawa „Ludzie z góry". Rejestracja Stowarzyszenia „Sztuka Podhalańska".

Głos rolnika z gminy Czorsztyn podczas spotkania Józefa Brożka z aktywem wsi: — *Wierzę, że naszym zadaniem jest wyżywić naród. Ale skoro ja daję żywność, muszę w zamian otrzymać buty, ogumienie do ciągnika, nie prawo do wizyty. Wszyscy musimy wychodzić sobie naprzeciw, i to nie na papierze, a w praktyce...*

Gen. EDWARD DRZAZGA po rekontroli Głównej Inspekcji Terenowej: — *Kontrola została „zaliczona", ale jest wiele niedostatków i braków, bądźcie czujni, a niewłaściwym stosunkom ludzi do swoich obowiązków, do pracy.*

Nasz komentarz: Oczyszczenie Autogrowu. Jest interesujące, że bez roztania się z tymi, dla których socjalizm to tylko alibi, by po starsemu robić interesy, po mieszczańsku traktować takowe nasze programy, uchwały, odnowy, reformy jako nieszkodliwą dorkiszoterkę.

MAJ

Masowy udział w pochodach pierwszomajowych. W Nowym Sączu w czołówce pochodu — obok weteranów pracy i walki — Władysław Hasior i siostry Italkowicz. Pierwszy raz od wojny ici świata. 3-majowe spotkanie aktywistów SD z władzami regionu. Apele poległych w Dniu Zwycięstwa. Dni Kopalnia (Rudno-Radoszyce) w Wojewódzkiem. Manifestacja w Poroninie z udziałem przedstawicieli ambasad radzieckiej.

Przedstawienie kandydatów na radnych. Zebrania instancji partyjnych przed wyborami.

Ze zwierzeń JULIANA KAWALCA: — *Nie wyobrażam sobie rozwoju wsi bez tradycji. I choć zabrzmi to paradoksalnie, powiem: idź z postępem na wsi, to też cofnąć się do dobrych tradycji: do Wisoka, Solarza, do tych programów, które obok radykalnego postępu wnosiły, kładły nacisk na cechy charakteru, na zdolność samokształcenia, sztukę współżycia, przyjaźń.*

Plenum WK ZSL o zadaniach członków i instancji Stronnictwa w kształtowaniu postaw moralnych społeczeństwa. Wojewódzki Sztab Rolny ocenia przebieg wiosennych prac polowych — niepokoi spadek skupu tytoniu.

Wojewoda nowosądecki do najpilniejszych inwestycji zalicza: szpital w Nowym Targu, pawilon przyszpitalny w Nowym Sączu, kotłownię rejonową w Nowym Targu, oczyszczalnię ścieków w Zakopanem, ujęcie wody w Nowym Sączu, szkołę i dom nauczyciela w Maniowych, infrastrukturę nad przyszłym Zalewem Czorsztyńskim, elektrociepłownię „Gilsia", gazociąg do Rabki, obwodnicę w Starym Sączu i elektryfikację linii kolejowej do Krynicy.

Posypały się mandaty podczas akcji wiosennych porządków „Poseja 84".

CZERWIEC

W myślach tygodnia fragment tychwały II Krajowego Spotkania Przedstawicieli Związków Zawodowych z kierownictwem Partii i Rządu: — *Nie*

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—5)

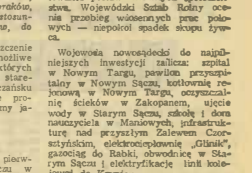

STEFAN CIEPŁY

ŚWIAT W ROKU 2000

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

Jak powinna wyglądać architektura, chyba najwyraziściej pokazali Skandynawowie. Finowie, Szwedzi — widząc w blokowej monotoniowoestetyczne (nie biologiczne, lecz psychiczne) w zgodzie z surową naturą, zieleni skromne, ale odpowiadające skali człowieka i jego potrzebom rozwiązania. Mimo rozległych terenów, sporej ilości lasów — dbałość o czystość środowiska naturalnego jest tu wzorcowa. W Sztokholmie nowe stacje metra biegną tunelami, w których zachowano naturalne skiepienia i filary. Harmonia z naturą to jest to, czego potrzeba człowiekowi. Ale to są bogate kraje. Tu drugi dom, letni, wypoczynkowy jest normalnością. Tu postulat przyrodoczłowieka-człowieka-wiosny zaprojektowania swojego mieszkania jest coraz bliższy spełnienia.

W krajach Trzeciego Świata takie rozważania są bez sensu. Nędzę zresztą trzeba ujarzmić dostarczając człowiekowi prawdę wszystkim pożywienia w wystarczającej ilości. Trzeci Świat to w ogóle dla architektury temat mało efektowny, chyba że szloby o motywy antyczne. Dlatego ucieka ona chętnie w XXI wiek, fascynując pomysłami ze świata kosmosu.

Oto potężny koncern amerykański stawia w Arabii Saudyjskiej, 490 km na północny wschód od Rijadu, w słonej pustyni nad Zatoką Perską miasto XXI wieku, wielkości dzisiejszego Londynu, którego koszty są porównywalne z programem wysłania człowieka na Księżyc. Trzeba przemieścić 370 mln m sześć. piasku, tj. wielkość 160 piramid. Pracuje nad tym 1 600 architektów i 41 tys. ludzi z 30 krajów. Al Dhubai, bo taka nazwa nosila znajdująca się tu kiedyś maleńka wioska, ma wyposażyć Arabię Saudyjską w przemysłową infrastrukturę, gdy zasoby ropy ulegną zmniejszeniu. Japończycy postawili tu zakład odsalania wody morskiej. Buduje się groble długości 10 km, szerokości 400 m wysuniętą w morze. Kiedy będzie przystanie dla tankowców o pojemności 500 tys. DTW. To największa bodaj w świecie operacja przemieszczania piasku. Nadto w budowie są zakłady petrochemiczne, wielka rafineria nafty, kominiat stalowy, huta aluminium, szereg fabryk, szpitale ostatnio, szkoły. Tylko czy Saudyjczycy zechcą się tu przeprowadzić i pracować? Czy to wszystko nie będzie przestarzałe w roku 2000? Czy nie powstaje największe cmentarzysko świata?

Pofantazjujmy w jeszcze bardziej odległej perspektywie (choć architekci uważają, że pomysły te nie muszą być odwiekane do XXI wieku). Kierunki ekspansji są trzy: woda, niebo i wnętrze ziemi. Znany fizyk z Princeton, Gerard K. O'Neil, uważa, że zalątek miasta kosmicznego jest już realny. Siłownia, wykorzystująca energię słoneczną, byłaby jego szkieletem. Gdyby ktoś już chciał zamieszkać na wodzie, to druga Wenecja wyłania się już w Kobe w Japonii. Jest to sztuczna wyspa, połączona mostem z lądem stałym, usytuowana ze śmieci, długości 3 km, szerokości 2 km, o obwodzie 14 km. Pojemność — 10 tys. mieszkańców. Wreszcie podziemia. W centrum Montrealu jest już podziemny ciąg pieszy długości 10 km — z kinami, teatrami, biurami, sklepami. ruchomymi schodami. Ito. Takie Szwajcaria, budująca swoje schrony przeciwatomowe, twierdzi, że może w nich pomieścić 90 proc. ludności. A dodać by jeszcze trzeba realizowane przez Rosjan miasta w strefie podbiegunowej, gdzie ulice zastąpione są... szklanymi ogrzewanymi holami. Są też francuskie pomysły kolonizacji Księżyca, czy amerykańskie — deglomeracji mieszkańców Ziemi na orbitalne miasta-statki.

ALBERT EINSTEIN: — Nie wiem, jak walczyć się będzie w trzeciej wojnie światowej, ale wiem, jak w czwartej: na kije i kamienie.

Medycyna

Aby zachorować w tym naszym nowoczesnym społeczeństwie — napisał skolog z Alamo w Kalifornii, Charles T. McGee — *wystarczy przestrzegać normalnej diety i prowadzić umiarkowany tryb życia.* Niebezpieczeństwo czai się wszędzie: światło jaranieniowe osiąba mięśnie, płowo zawiera niebezpieczne lokayny. Martwiąc się, czy nie masz raka, uważaj, bo zmartwienie może się stać przyczyną raka. W jajkach jest cholesterol. w szynce azotan notasu, jabłko wprost z drzewa może być zatrute, produkowane na działce ocodzi pestycydy — takoż. Nie dajmy się zwariować choć prasa codziennie donosi o nowych przyczynach chorób. Rosnie w każdym razie lekomania i rosna stresy.

Nie ma niestety aktualnych danych, ale u nas jak 70-letni (tzy. liczyła 1 mln ludzi) na 1 mln ludzi na biliarzione chorowało 200 mln. filarioze — 190 mln, dwunastnicę — 450 mln. ślepote 400 mln. głuchote 300 mln, trąd 11 mln. Twarz ludzkiej liczy 4, 5 mln i chorych bezpośrednio zagrożonych jest tylko.

Naturalnie inne dolegliwości trapiły kraje wysoko uprzemysłowione. a inne Trzeciego Świata. W tych pierwszych dominowały choroby serca (65 proc. wszystkich zgonów w USA), nowotworowe oraz neszchczne. Jeśli w połowie XIX wieku, gdy rozwój psychiczne przypadał na 550 osób, to w 1900 roku już na 300 osób, a obecnie przyjmuje się, że na 150 osób. W Stanach Zjednoczonych, że w roku 2140 wszyscy będą nienormalni. Natomiast w krajach Trzeciego Świata śmierć nadal zbierała naiwiększe żniwo wskutek głodu grużlicy malarii, zatruć żołądkowych (płynących ze zanieczyszczenia brudnej wody), biegunki, jaglicy, robaczycy, ślipaczki. Przeciętna długość życia w południowej Azji nie przekraczała 50 lat, a w Afryce podzwrzytulkowej 43 lat. Trudno też nie dostrzec, że 75 proc. chorych w tych krajach jest na wsi. a 75 proc. lekarzy w miastach.

By wreszcie te parę uwag wstępnych skończyć, wypada jeszcze poczynić refleksje na temat eugeniki, czyliniaki czynnikach przyczyniających się do pogorszenia lub udoskonalenia umysłowych i fizycznych cech dziedzicznych u ludzi, jako, że stanowi ona wprowadzenie do wielkich problemów moralnych inżynierii genetycznej polou 2000. Temat jest trudny, gdyż ciąży na nim plama ideologii hitlerowskiej, która w koncepcji „genetycznej poprawiania" człowieka uczyniła cel w postaci hodowli ludzi „czystych rasowo".

Liczbę chorób dziedzicznych człowieka ocenia się na 1 500, a ilość chorych rośnie nieustannie. Jedno zniekształcenie w aparacie genetycznym człowieka, zwane mutacją wywołuje następne: od krótkowzroczności po łuszczycę, od cukrzycy po miażdżycę, nadciśnienie i nowotwory — przyczyna choroby mogą być uwarunkowania genetyczne. Muta-zenne są ponadto różne czynniki naturalne, jak promieniowanie kosmiczne, ultrafioletowe, a także niektóre skazienia chemiczne. Prawdoodobnie około 20 proc. ludzi obciążonych jest takimi organizmami w stosunku nie przeciętnym. Co 40 dziecko rodzi się z poważną wadą rozwojową. *„Myśl, że ratujemy ciężkich, ułomnych, okaleczonych (tylko po to, aby potomkowie stali się jeszcze bardziej cierpiący, ułomni i okaleczeni, jest dopiwdy przykrzbiajsza* — powiada znany genetyk T. Dobzhansky. — *W tej sytuacji trudno zaprzeczyć, że zmniejszenie tego problemu jest połącą konieczności".*

Wydaje się, że o etyce rozstrzyga tu charakter interwencji medycznej. Gdy idzie o inżynierię „negatywną" (wymiana uszkodzonego genu) wszystko wydaje się w porządku; gdy jednak tematem jest działanie pozytywne, polegające na wprowadzeniu „udoskonaleń", których ostateczną konsekwencją może być wyeliminowanie ludzi i homunkulu, człowiek urodzony w próbówce i sztucznie powity — rzecz

W zwierciadle DUNAJCA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

może być akceptowane ukrycanie niesprawdzonych poprzez wzrost cen. ...) Zanieczyszczeni jesteśmy popłebiającą się niespójnością pomiędzy koncepcjami ogólnogospodarczymi, a ich realizacją w praktyce...

Z dyskusji w ogniwach PRON: — *Kto do wyborów nie pójdzie, stroci moralne prawo do oceny działania przyszłych rad.*

Kontrola PIH w Krynicy ujawniła niedbalstwa w handlu i gastronomii. W Gródku nad Dunajcem pokpiono przygotowania do sezonu letniego. Nieczeje sprzęt i skromna baza wypoczynku masowego. Dyrektora miejscowego POSR-u zawieszono w wykonywaniu obowiązków.

Sądeczczyna gości delegacje zagraniczne: Komitetu Obwodowego KPZR z Uljanowska i Frontu Narodowego z Bańskiej Bystrzycy. Premier mśnowi Zdzisława Pawlasa prezydentem Nowego Sącza, Lustracja NIK i Izby Skarbowej w firmach polonijnych i zagranicznych. Tydzień Kultury Fizycznej i Wojewódzka Spartakiada 40-lecia. Milicja — *dzieciom:* atrakcyjny maraton wspaz kulturalnych i sportowych w Nowym Sączu.

17 czerwca — wybory do rad narodowych. Na stronie tytułowej piszemy: — *Jeżeli nie podłóż się na zło, które nas otacza — jeżeli jestem odnową i samorządnością — jeżeli pragniesz zmian na lepsze — STAŃ DO WYBORÓW!*

Zyczącą patriotyczne racje. Mimo propagandy Zachodu i agitacji ulotkowej górę bierze koncepcja współuczestnictwa społeczeństwa w budowie Polski socjalistycznej.

LIPIEC

Z referatu Ludwika Kamińskiego podczas Plenum KW o ekonomicznych i politycznych funkcjach turystyki: — *Utrzymanie województwa w ustawicznej służbie turystycznej wymaga, by każdy użytkownik — przyjezdny i miejscowy, indywidualny i zbiorowy — proporcjonalnie do możliwości własnych i standardu pobieranych usług, wnosił swój wkład w stałe odnawianie, utrzymanie i rozwój bazy, a także urządzeń komunalnych.*

Inauguracyjna sesja nowej WRN. Władysław Trybus, przewaskiczący nowej WRN — *Roboty się nie boję, przyzwyczaiłem do niej od dziecka. Liczę, że wszyscy radni mi pomogą. Razem będzie raźniej.*

2000 związkowców w „Glinika". Zdaniem jednego z nich, trzeba JANA BOCHNI: — *Nie można sobie wyobrazić dobrego funkcjonowania dużego zakładu bez związków. Nie każdy może być działaczem, lecz wystarczy, by umiał patrzeć i myśleć o wspólnych sprawach, spłacał własne spaztrzenia i propozycje.*

Święto Odrodzenia. Uroczyste akademie i sesje rad narodowych. Odczarczenia państwowe i wpisy do księgi zasłużonych. Apel przyjęty podczas manifestacji na Rynku:

— *Nigdy więcej wojnyl Nigdy więcej piekła na ziemi. Nie chcemy wyścigu zbrojeń. Polska wskomu nie zagraża. Polska pragnie spokoju. Wzywamy młodych na wszystkich kontynentach, aby pamiętali o Oświęcimiu i Hiroszimie. Bądźcie czujni wobec zimnoćka nienawiści. Walczcie o pokój i przyjaźń między narodami.*

SIERPIEŃ

W sądeckiej galerii „Dawna Synagoga" wystawa dzieł Tadeusza Brzozowskiego i Arkadiusza Walocha. Powyt młodych TPPR-owców w Uljanowsku. Krzyż Partyzancki dla Bukowca. Konsultacje Centralnego Planu Rocznego w zakładach pracy. Opodniesc kinu. Liczny zastęp górali staje do gawędziarskiego konkursu „Sabalowe Bajania". PIH stwierdza błagan i nieprawidłowości w funkcjonowaniu sklepów i restauracji w Mszanie Dolnej.

Delegacja z Józefem Brożkiem w Bańskiej Bystrzycy na uroczystościach 40-tej rocznicy Słowackiego Powstania Narodowego. Gorlicki „Małżol" odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II Klasy.

Stefan Ciepły o Jeziorze Roźnowskim: — *Tak dalej nie można. Trzeba w końcu kogoś jednego uczynić odpowiedzialnym. Kogoś, kto pocznie się gospodarzyć.* Można zacząć od utworzenia *Rady Jeziora..*

WRZESIEŃ

Józef Brożek (w rozmowie ze Stefanem Ciepłym): — *Budowa zapory w Czorsztynie jest przedsięwzięciem znacłorocznym. Jej działań dejlnej wody jest bardzo duży. Zapora daje nam szansę podwyższenia poziomu rzeki, daje możliwość uchwycenia i zatrzymania wciekającej wody, daje wreszcie energię. Wiemy, co nas czeka, i co trzeba zrobić, by uniknąć „powtórki" z Roźnowa.*

Piszemy o realizacji wniosków zgłoszonych podczas kampanii wyborczej, o problemach Sądeckich Zakładów Naprawy Autobusów i kolejących chałupniczych, o wysiewie

jest wątpliwa i dwuznaczna moralnie. Nie da się jednak ukryć, że perspektywa zamówienia sobie paczuszki embrionów z dziecklem w takim to a takim kolorze oczu, wysokości, koloru włosów, płci męskiej, o współczynniku inteligencjim takim to a takim — jest pewną pokusą. Trudno jednak zaprzestać badań nad koterwieniem „pozytywnal", gdy w przyszłości wchodzą ewentualnie łagodnych gatunków roślin zbożowych czy bydła rzeźnego.

Brak miejsca niestety wyklucza, by tu wyjaśnić, co to jest DNA (desoxyribo-nucleo-acid) i zasadę inżynerii człowieka w jego budowę genetyczną, tudzież niebezpieczeństwa z tego płynące. Dlatego na szczegółowszą skrócę, jak bez odrobiny lekkiego fantazjowania, jeszcze słów pare o tym, co może nam przynieść medycyna w roku 2000 i nieco później...

Inżynieria genetyczna to dziś Przemysł strategiczny. Nakłady na nią są krociowe. Nowe formy życia tworzone metodą łączenia genów mogą być podstawą przemysłu biotechnicznego, którego zastosowanie do tworzenia nowych gatunków roślin i zwierząt, bardziej zasobnych w białko, do produkcji interferonu (oczym będzie mowa poniżej), do przyspieszenia fermentacji i innych reakcji chemicznych w wielu procesach (katalizatory), do zwalczania chorób dziedzicznych drogą wymiany uszkodzonych genów, do klonowania (zapłodnienie bez połączenia dwóch komórek, płciowych) pomnażającego na fotograficzną w swej wierności odbitkę zautuku człowieka czy zwierzęcia — jest bardzo wielkie. Klonowanie już w 1 fazie eksperymentów naukowych jest zresztą sotro krytykowane. Przewrót może też nastąpić w wytwarzaniu leków hormonalnych (wyzwolowano np. hormon grasicy, mający sporo znaczenie we wzroście odporności organizmu), zwalczających wirusy itp.

● Czy zwalczymy raka? Doprawdy trudno odpowiedzieć. Wciąż nie znamy jego przyczyny, a w odpowiedzi jest najgorszy antybiotyk — ale, tak jak rodzajów chorób nowotworowych. Precyzyjniej byłoby więc powiedzieć, że nie znamy mechanizmu wywołującego proces choroby, choć sam jej rozwój i przebieg, a także atrybutyczne cechy są znane. Nadzieją ludzkości stał się interferon, bardzo osobliwy lek, którego istota skuteczności antyrakowej jest... nieznaczna, ale wnyści nader obiecujące. Nie niszczy on ciała, lecz wytwarzane środki zaatakowanych przez rak komórek, nie uszkadza zdrowych, jecz ma charakter swego rodzaju infekcji wirusowej, która przerywa cykl infekcji rakowej, a po wtóre wydaje wzmacnia odporność organizmu. Nader zachęcające rezultaty uzyskano też przy zastosowaniu interferonu do zwalczania wirusów przeziębienia. Niestety, jego lekarstwa kosztują 42 mln dolarów. Fin Karl Cantella z Centralnego Laboratorium Zdrowia Publicznego w Helsinkach 20 lat poświęcił na opanowanie technologii jego produkcji. Wielkie światowe firmy (reszta różnymi metodami) próbuje obniżyć koszty i wyprodukować interferon. Jest to jak dotąd bardzo skomplikowane.

Trzeba też podkreślić, że i w leczeniu metodami tradycyjnymi zapowiada się postęp. Głównie szanse rokują tu wcześniejsze badania profilaktyczne, gdyż jak wiadomo w wypadku wczesnego wykrycia nowotworu, szansa operacyjnego wyleczenia wyraźnie wzrasta.

● Laser na stole operacyjnym stosuje się dziś do delikatnych operacji oczu. Cienki promień laseru argonowego dokonuje wokół tylnej siatkówki oka do 2 tysięcy wypadeł — pisze „Newsweek". Laserowe skalpele przecinają — wysoka temperatura promieni powoduje zamknięcie naczyń krwionośnych, zmniejszając krwawienie. Laserem usuwa się cysty, tatuaż, opryszczkę. Laser stwarza szansę na niektóre operacje mózgu i kręgosłupa. Laser służy też do bezoperacyjnej walki z rakiem w formie kuracji fotoprominiowej. W guzie wystawionym na czerwień lasera zachodzi toksyczna reakcja fotochemiczna, w wyniku której następuje zniszczenie komórek rakowych. Jeśli uda się wprowadzić światłowody do ciała pacjenta — a jest to realne — precyzyjne umiejscowienie np. raka płuc, a także wielu innych schorzeń wewnętrznych, niewątpliwie zwiększy skuteczność leczenia.

● Przeszczepy serca. Wprawdzie Christian Barnard, który w 1967 roku dokonał pierwszego przeszczepu ludzkiego serca, twierdzi, że nie ma naukowego i moralnego uzasadnienia dla sceptycyzmu wobec tych operacji, to jednak zarówno kwestia „dawców", jak i skuteczności tego zabiegu (na 150 operacji, tylko 2 pacjentów żyje) jest wątpliwa. Niestety, jeśli inżynieria genetyczna nie rozwiąże problemu, którym jest dziś odrzucanie przeszczepu przez organizm ludzi, to nadzieje związane z tą metodą wydają się przegrane. Więcej chyba sobie można obiecywać po sztucznym sercu. Dzisiejszy poziom techniczny wymaga jednak jeszcze związania pacjenta z całym zespołem urządzeń zasilających, ale rok 2000 daje realną szansę zminiaturyzowania aparatury, zasilania podręcznego itp. Natomiast sztuczny rozrusznik serca nosi już dziś wcale pokaźną liczbę ludzi w USA, Związku Radzieckim, a także innych krajach.

● Inne przeszczepy. W dziedzinie części zamiennych człowieka szykuje się prawdziwy przewrót. Za wyjątkiem mózgu nieomal wszystko będzie można wymienić. Elektryczne protezy ręki (sterowanej skurczami mięśni), sztuczne nogi ze stali nierdzewnej i aluminium, połączone żywcem polestrowymi i tworzywami w kolorze skóry pacjenta, sztuczne biodra, nosy, uszy, penisy, piersi, jelita, ścięgna — to właściwie wszystko już jest. Nowe tworzywa gwarantujące zmniejszenie kontaktu z ludzkim organizmem. Wydaje się też, że badania w zakresie antygenów powodujących odrzucanie przeszczepów pójdą na tyle daleko, że przeszczepy tych nerek lub trzustki osiągną jeszcze wyższy wskaźnik powodzenia.

GIEORGIJ ARBATOW: — Na początku człowiek myślał tylko o sobie i był gotów — w razie konieczności — poświęć swoje bliźnego. Następnie stał się świadom, że jest członkiem rodziny, później szczepu, plemienia, aż wreszcie — narodu. W końcu dojrzeliśmy do uświadomienia sobie przynależności do gatunku...

MEDYCZNA DOPIERO WCHODZI W SWÓJ ZŁOTY WIEK. Wiele nadziei wiąże się też z poznaniem tajemnic Wschodu, rozwojem ziołolecznictwa i innych (stosowanych np. w Indiach) technik, jak akupunktura, którymi medycyna biologiczna osiąga bardzo interesujące rezultaty. Zostanie najprawdopodobniej wyjaśniony, budzący takie zainteresowanie w Polsce, problem tzw. biopragów. Nader zaawansowane są badania radzieckie nad hibernacją.

Przedtem jednak do rozstrzygnięcia pozostaje pewien ważny dylemat moralny. Inżynieria genetyczna milionom ludzi ginących z głodu, gruźlicy, bieguнki — nie jest potrzebna. Lekarstwa dla nich są znane. Czy zatem i tu — w tej fundamentalnej kwestii — pogłębiać się będzie rozziew między biednymi i bogatymi? No dobrze, ale czy można zatrzymać postęp? Zresztą problem ten można ująć inaczej, a zaaplikować mi go niedawno pewien wybitny polski uczony nie owijając tematu w bawełnę, — *Czy jest sens w Polsce — zapytał — kupowanie za przeszło miliona dolarów tomografu, dzięki któremu rocznie przeprowadzi się 150 skomplikowanych diagnoz chorób mózgu, gdy za tę samą kwotę można by na 10 lat nakupić igieł jednorazowego użytku i o 50 proc. zmniejszyć zachorowalność na żółtaczkę, która obejmuje rocznie kilkadziesiąt tysięcy osób?* Ano, chciałem jestem Waszej odpowiedzi.

Zakończenie w 40-lecia Polski Ludowej" i festiwal filmowy „Polska Ludowa" w kontekst filmowy, zwłaszcza udanym krynickim Festiwalu im. Jana Kiepury i sądeckim owocobraniu w Mszlicu nad Popradem.

Wedle ocjeni uczestników Leningwskiego Rejsu Przyjaźni, Krajł Walecznych dla Wilczysk, Krzyż Grunwaldu dla Jordanowa. Konferencja prasowa w pociągu inspekcyjnym z Krakowa do Szczecina dyrektor **Wandzia Hiszka** zapowiada przyjazd pierwszego elektrowozu do Sącza w grudniu 1986 roku, do Krynicy i Muszyny — rok później.

Kontrowersje wokół zakopiańskiego Festiwalu Folkloru Ziemi Górskich: — *Kliniat jest niedobry. Festiwalowi brak po prostu serca. A bez serca żaden zjawy organizm trwać nie może.*

PAŹDZIERNIK

Praca partyjna na wsi temałem Plenum KW. Z referatu TADEUSZA RABIAŃSKIEGO: — „*Partia — pisał Lenin — to świadoma czołowa warstwa klasy, jej awangarda. Siła tej awangardy jest 10 razy, 100 razy większa niż jej liczebność. Czy to możliwe? Czyż siła setki może przewyższać siłę tysiąca? Może przewyższać i przewyższa, kiedy setka jest zorganizowana. Organizacja uzbiesiejcokrotnia*".

Rozkręca się kampania sprawozdawczo-wyborcza w ZSMP. Pa P'ZPR, SD — zapowiedź utworzenia Izby Rzemieślniczej w Nowym Sączu.

Święto Milicji i Służby Bezpieczeństwa oraz Ludowego Wojska Polskiego. Manifestacja na Snonce — hołd ludzkiego w walce o Ojczyznę. Odwiedziny dziennikarzy z Ujanowska. Dzień Edukacji Narodowej. Ukończenie GOPR. Finały Wojewódzkie Spartakiady LZS. Bieg Lelkiego Sukcesa ZSMP-owców z „Gliniką" w eliminacjach centralnych Turnieju Młodych Mistrzów Techniki i Organizacji.

Nasz komentarz: **„Polsce trzeba dziś ogromnej mądrości i siły, która da tyle zgody, dobrze zorganizowany, zbiorowy trud całego narodu. Stanie na uboczu, biadolenie żadnej z naszych spraw nie rozwiąże. Potrzebna jest każda para rąk".**

LISTOPAD

Sekretarz KW, Grzegorz Jawor, podczas manifestacji w Poroninie dla uczczenia 67. rocznicy wybuchu Rewolucji Październikowej: — *Rewolucja odmieniła Rosję. Wkroczała drogą nowym narodom uciskanym. Złamała monopol klas posiadających na rządzenie. Wyciągnęła z niej wnioski teoret kapitaliści, co kroczą lidce na pewne ustępstwa wobec świata pracy.*

Gościny dziennikarzy bułgarskich w Środzie. Konferencja sprawozdawczo-wyborcza ZSMP w ZNTK, Węźle PKP i Gliniku". Jubileusze: gorlickiej Rafineria, zakopiańskiego klubu sportowego AZS, Plena WKICP i WKR — zastrzeżenia budzi tryb załatwiania skarg i zażaleń ludności. Wybory do sądów terenowych i osiedlowych. W Szczawnicy i ogólnopolski konkurs gry na dawnych instrumentach ludowych — „Gęźdba-84". W Zakopanem — przegrowadzka **Władysława Hasiora do Leżakowni,** w której usytuowano pracownię i mieszkanie artysty oraz galerię jego dzieł.

Leszek Leśniak ponownie przewodniczącym ZK ZMW. W rozmowie z reporterem „Dunajca": — *Młodzi rolnicy nie chcą, by gospodarowanie było jedynym sposobem ich życia, Chcą natomiast godnie i ciekawie żyć. ZMW pragnie, aby nasza Ojczyzna, nasz dom urządzony był mądrze i sprawiedliwie, aby była w nim miłość i zgoda, chleb, a obok niego wyżej i wiersze.*

GRUDZIEŃ

W odpowiedzi na apel PRON powołanie Wojewódzkiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Egzekutywa KW o budownictwie mieszkaniowym: — *Nie osiągnięto postępu w wykorzystaniu wolnego czasu pracy na budowach, nie zwiększono wydajności.*

Dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego, LEON NIEDZIELSKI: — *Nie dążymy wcale do zagrodzenia Tatr drutem kolczastym, jak się nam zarzuca. Chcemy jedynie przyjąć do Parku dopuszczać ludzi na tyle, na ile nie będzie to jej zagrażało.*

Plenarne posiedzenie WK ZSL z okazji 35. rocznicy zjednoczenia ruchu ludowego i powstania Stronnictwa: — *Ruch ludowy od wielu lat odgrywa postępową rolę w dziejach narodu, zaszczepił społeczeństwu odpowiedzialnych chłopów za kraj.*

Zarządy Wojewódzkie ZBoWiD i TPPR zorganizowały seminarium naukowe o dziejach partyzantki polskiej i radzieckiej na Sądecczyźnie i Podhalu, 12 tys. członków nawiązałeckiego SD przystąpiło do kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Pierwszy elektrowóz przejechał z Tarnowa na Tuchową, załogi elektryfikującego linię do Granicy Państwa zbliżają się ku naszemu województwu. Inauguracja roku oświaty społeczno-politycznej w nowosądeckim ZHW.

I sekretarz KM PZPR w Nowym Sączu, ZBIGNIEW HARAF, podczas miejskiej konferencji ZSMP: — *Rozwiązywanie problemów mieszkaniowych zależy w dużej mierze od pomocy zakładów pracy. Dobrym przykładem jest tu ZNTK. Realizacja programu ZSMP będzie wspierana przez władze polityczne i administracyjne miasta.*

KW PZPR radzi o skuteczności działań ideowo-wychowawczych w regionie. Wystąpienie kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC, BOGDANA JACHACZA. Z referatu Janusza Tomalskiego: — *Mieć racje to za mało. Swoje racje trzeba wszystkim racjami podstawowych klas narodu. Cały ten nasz proces ideowy sprowadza się do wyjaśniania celów socjalizmu, jego dorobku i perspektyw, zjednywania kolejnych roczników, wpłynięcia argumentami na postawy...*

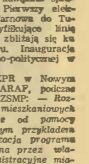

Franciszek Łojas-Kośla

W wigilijną noc

Górską ciszę
targa
strumień staropolskich kolęd,
zdobi
las pachnących żywicznie
świerkowych choinek,
bawi
rozgwar cudacznych kolędników,
gra
pastorałki na nutę góralską
w kurzawie srebrzystolśniących
śnieżynek.

Na
szczytach Tatr
zabłysła pierwsza Gwiazda
nad
rozmnożeniem miłości.
Gazdy cierpliwa dłoń
spoczęła
na zboża sumiastym snopie
troskliwie
zwyczajnie.

Podłaźnik zagościł życzeniem
pokoju
pojednania
urodzaju.
I...
wypełniła się noc,
święta noc
radosnym okrzykiem Nowonarodzonego
na szałasie.

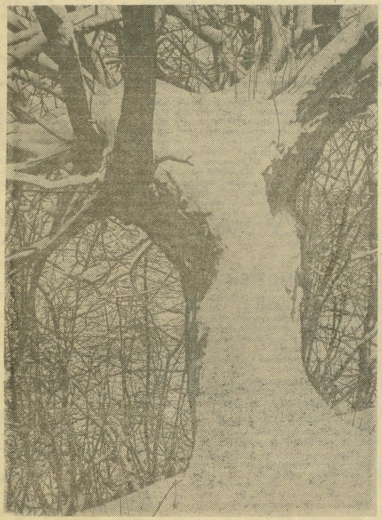

Jerzy Masior

Tej to nocy

Śniegiem prószy i mrozem zacina,
Wtedy z ciepła wszystko się poczyna.

Ta noc ciszą i światłością stoi,
Więc dlaczego serca w niepokoju?

Jedna w niebie gwiazda gorejąca,
Lecz czy od niej bliżej jest do słońca?

Cherubiny w zbiegowisku takim –
Skąd ta pewność, że pod dobrym znakiem?

Aniołowie święte chóry stroją –
Czy się mgławic aniołów nie boisz?

Tej to nocy królów odwiedziny
Niech powstrzyma jeden gest matczyny.

A najcichsze pastuszkowe granie
Niech wymości twoje sny na sianie.

Tej to nocy, w każdym betlejemie
Niech po pokój klęka ludzkie plemię.

Emil Kowalczyk

Gwiozdecko grudniowo

Cy dockome sie ciebie
downa gwiozdecko grudniowa
na orawskiym niebie
kiesik ześ zapolala nadzieja
w nasyk sercak?

Dzie som te wilije radosne
z miodym oplatki rektorowe
pochnące podlaźniki młodym lasym
pod oknym śpiywane kolyndy casym
stoły wyścielane sianami
serca dobrymi ucynkami
wargi siumnymi słowami
ozkolyndowane gazdowskie rodziny
co śród nocnej cisy orawskie
cekały północy
niebo oźwietlone chłopcyskowymi
rachetlami przy ktoryk
oziskrzone gwiozdecki bladły
skrzipiący śniyg pod kiyrpcami
i ozprawiające bydełko z gazdami...

Cy poprowadzis nos
wigiyłyjno gwiozdko syćkik wroz
ku świynty downości
kie na świecie było jesce
tało miyłości i scyrości?

Franciszek Łojas-Kośla

Żadnej chaty nie minie

Grudniowa mroźna noc
zawdziewa gwiezdną chustkę,
wśród gęstwin nadwodnych gai
stroi choinkę – brzózkę.

Płatków biel śnieżynkę
rozwiesza po gałązkach,
gdzie księżyc w rozwidleniu
łuską srebrzystą błyska.

I podchodzi do okien,
żadnej chaty nie minie,
spieszy zasiąść kolędą
w każdej polskiej rodzinie.

Zdjęcia MIECZYSŁAW STASZEWSKI i STANISŁAW ŚMIERCIAK

Nie pokazałem ci drogi, coreczko

Metr pięćdziesiąt w kapeluszu, czerwone usteczka, buzia w ciup. Cera blada. No, madonna prawie. Stroje skromne, choć w zdecydowanych kolorach. „Lubię zieleń i brąz drzew — mówi. — Wychowałam się w lasach".

Wychowała się w lasach, to prawda. Ojciec jest gajowym. W latach pięćdziesiątych zrezygnował nagle z eksponowanego stanowiska w Ministerstwie i w ciągu tygodnia przeniósł się do lasu. Z żoną i półroczną córką. Dorota wiele razy pytała go dlaczego, ale on ją zbywał niezmiennym: „Znudziło mi się. Miasto to straszne miejsce..."

Ta tajemnica ciągnęła ją do miasta. Do Warszawy. Nie była taka głupia, domyślała się: lata pięćdziesiąte, procesy oficerów AK, ucieczka ojca przed przesłuchiwaniami... Tak, ta się trzymało kupy.

Zdawała na studia. Na SGGW, na leśnictwo, bo gdzieś indziej?

W czasie pobytu w stolicy oprócz nauki zajmowała się tropieniem przeszłości ojca. Im więcej odkrywała znajomych, tym większa rosła tajemnica. Nikt nie chciał mówić. Prowokowała: „Powiedzcie... AK? Może jakaś inna organizacja?". A oni się uśmiechali i odpowiadali najczęściej: „Jeśli ojciec zechce, sam ci powie..." Albo zbywali: „No, coś w tym stylu... Nie wiem dokładnie, wiesz, konspiracja...".

Tak, ojciec urastał w jej wyobrażeniach do postaci tragicznego herosa lat pięćdziesiątych. Wracając do domu, wodziła za nim oczyma, żałby był bohaterem z kart historii. Była prawie pewna, że kiedyś jej wszystko opowie, i że to będzie godne uzwalenia.

Zobaczyła je jej cielęce oczy matka. „Naprawdę, dziewczyno, nie domyślaj się za wiele..". Ale ona miała taką potrzebę i domyślała się nadal.

W siedemdziesiątym drugim „przeistoczyła" ojca:

— Zapisuję się do partii...

Obserwowała go uważnie. Zapalił fajkę. Nic nie mówił.

— Co ty na to? — drążyła.

— Zrobisz, co zechcesz. Jesteś dorosła.

— Nie masz nic przeciwko? — pytała dalej, bo wydawało jej się, że z tych słów głosu przeszłości — była już pewna — nie można tak bezboleśnie godzić się na uparty pniemie córki. Ale on nie miał nic przeciwko.

O tej partii powiedziała tak sobie, dla testu. Wcale nie miała zamiaru wstępować. Zresztą zyskało o tym zapomniała. Aż do momentu, kiedy wpadła jej w ręce jakaś bibuła — o Gomułce, Październiku prawicowo-nacjonalistyczne, przełom 1956, powrót do partii...

Tak, to nie było AK! Była znowu pewna swojej nowej konspiracji. Ojciec był gorzkowcem. Z całą pewnością! Musiał uciekać przed aresztowaniem. Był w partii. Tak, z pewnością był partyjny. Jest jeszcze nieżaloby, ale jej nie przeszkadza. Więc przy najbliższej wizycie w domu powiedziała, że już podjęła ostateczną decyzję, i co on na to?

— Idziesz do partii z uczciwych pobudek? — zapytał.

— Tak, tak... — odpowiedziała żarliwie, wyobrażając sobie, iż przepytuje ją, niemal w konspiracji, zaszłyny, choć skrzywdzony towarzysz partyjny, który w konfrontacji przyznawał wtedy, aby nie ginąć nie odstąpił od swej młodzieńczej idei.

— To wstępuj.

— A ty byłeś w partii?

— Byłem. Ale nie warto o tym mówić. To były inne czasy.

Tak, teraz była już pewna. Z żarliwością młodego człowieka złożyła akces. W 1973 r. została członkiem PZPR.

Skończyła studia. Był 1976. Akurat czerwiec i wydarzenia w Ursusie i Radomiu. Wtedy po raz pierwszy poczuła niepokojąca legitymacji partyjnej. Ulica mówiła co innego, z trybuny słyszało się co innego. Tak, sądziła, że Jaroszewicz odejdzie. Zdziwiła się, że nie. Myślała jednak, że tak trzeba. Wierzyła Gierkowi. Ona chciała też mieć swojego męża opatrzności, tak jak ojciec. W jej głosunku do partyjnego przywódcy było coś z babskiego uwielbienia, coś z intymnej niemal więzi. Czasem łapała się na tym, że ogląda o nim prawie jak o swym rodzicu; z taką czułością. Potępiała warchołów, organizowała „spontaniczne" poparcie. Wierzyła w jego nieomylność. Nie wszystko może powiedzieć — tak myślała — to są wielkie polityczne sprawy. Ale trzeba mu wierzyć. Przyzwyczajona do opowiedzeń tajemnic, przenosiła je w każde miejsce. Tak jest życie — myślała.

Styczeń 1978. Pracowała już w nadleśnictwie. W połowie, w kłtrym — obok niej — siedziało jeszcze dwóch pracowników, wiadomo, kto i czemu. Na macie różne ciekawe zdjęcia z gazet. Wśród nich i to — Gierek i Jaroszewicz patrzą na zegarki. Pod matą była długa półka. Któregoś dnia rano spożrzegła, że pod zdjęciem przywódców stoi świnka-skarbonka. Spytała: „Kto to postawił?". Przyszła się jeszcze dowiedzieć, dlaczego? — odpowiada dalej. — „Zbieram dla nich na gorsze czasy...".

Koleżą był również towarzyszem. Dorota uznała to za działalność szkodliwą dla partii, za rozbijaczkę. Wniosła sprawę na najbliższe zebranie grupy partyjnej. Grupa postanowiła odwołać się do egzekutywy POP. Egzekutywa deliberowała nad sprawą miesiąc. Potem więcej się Komitet Dzielnicowy. Potem problem „dojrzał" — sprawą Doroty zresztą — do komisji kontroli partyjnej w województwie. „To był dla mnie ewidentny zamach na autorytet przywódcy, czego nie mogłam dopuścić do świadomości. To było... świętokradztwo".

Komisja kontroli udzieliła koledze nagany z ostrzeżeniem. Dorota uznała to za unik. Napisała więc do KC. Tymczasem wokół niej — czego z początku nie zauważyła — wyrastała coraz większa pustka. Nim się obejrzała, była sama. A ten koleżą — w ślad bohatera. Tak, myślała sobie, to najlepszy dowód, jak wiele trzeba jeszcze walki, wytrwałości, jak wiele hartu, jak wiele trzeba poświęcenia dla partii.

„Bodywhat — tak o niej zaczęli mówić. Skąd się w niej brało tyle zacietrzewienia? Nie wie. W szkole w nic się nie angażowała. Przeszkadzało jej domniemanie skowyczenia przeszłości ojca i innych krzywdach. Na studiach uaktywniała ją inna wizja. Ale dlaczego aż tak bardzo.

— „Pajęczynka" jest malutka i krucha — mówi Tadeusz, bo był mąż, który chciał być wielki w czynach. Kompensacja — znasz taki mechanizm?

Poznała Tadeusza na obozie ZMS. Tadeusz zawsze lubił takie „pajęczynki". Budzą w nim fale opiekuńczych namiętności. Słuchał tylko wylinly, choć było mu przykro ze względu na rodziców.

— Ona naprawdę wierzyła w to, co robi — mówi koleżą z pracy. Wierzyła w to, co przed sierpniem, i w to, co po sierpniu.

Ojciec: — Przyjechała tu we wrześniu, kiedy odszedł Gierek. Przepłakała cały dzień. Co tak rzuca odchodzić nasze autorytety? Tak mnie pytała. Wtedy też powiedziała mi o swojej wersji mojej ucieczki do lasu. I wtedy nie mogłem już milczeć. Dziewczyna, powiedziałem, ja byłem w Bermanowcem, uciekłem, bo się zacząłem wyłamywać. Bo przestawiano Polskę na przemysł zmierzł. Nie byłbym nie uciekł, skończyłbym jak ci z AK. Ale miałem też grzeszki na sumieniu. Pachniało już odwilżą, ja to czułem. Nie darowałby mi ani jedni, ani drudzy. Uciekłem ze strachu przed odpowiedzialnością!

Płakała jeszcze bardziej.

Dorota wraca do swojego nadleśnictwa. Pisze w nocy projekt uchwały POP. Następnego dnia przedstawia go na zebraniu. Jest w nim pełno słów potępienia dla odchodzącej ekipy, pełno enocji i łzi, pełno żądań zwiększonej widoczności i demokracji. Uchwała, jakich wiele powstaje w tym czasie.

— Jej uchwałe — powie później Tadeusz — była całą niewiść do ojca. Ona to, co rozwalił jej mit. Ze w ten sposób psuł obraz własnego „ja". I jej „ja".

Kolega od „świnki-skarbonki" jeszcze w sierpniu 1980 oddaje partyjną legitymację. Ona zostaje grupową. Kolega zakłada „Solidarność". Ona się do niej zapisuje.

Na jednak zajmują ją struktury poziome w partii. Jeździ do Torunia. Jest zachwycona. Przeżywa szok, kiedy kierowana przez nią grupa partyjna wypowiada się przeciw „poziomkom". „Na własnej skórze odczuwałam konsekwencje tej idei" — tak właśnie myśli. Jest bowiem przekonana, że tylko w strukturach poziomych istnieje szansa na uzdrowienie partii. Rodzi się coraz mocniej Torunia. Jest jakiś kolejny strajk. Jej nowy ideł leży krzyżem przed polowym ołtarzem. Dorota pokazuje to potem na zdjęciach. Kto wie, czy to nie wówczas dla niej w nie ma ołtarzem. Ołtarz jej idole. Po szeciu latach małżeństwa ciągnie Tadeusza do ołtarza. „Muszę tamto odkupić — mówi mężowi. — Ja w gruncie rzeczy zawsze byłam wierzącą". I rozwija jej mąż na partyjnym zebraniu, gdy przedstawia swą koncepcję udziału wierzących w partii.

— Ona chciała partii komunistycznej bez udziału marksizmu — mówi Tadeusz. — Takiej partii populistycznej.

Po kilkunastu dniach nieobecności w pracy z powodu wyjazdu do Torunia, nadleśniczy postanawia ją zwolnić. Kolega od „świnki-skarbonki" jest przewodniczącym koła „Solidarności". Broni Doroty. Broni tak zacicie, jak żadnego do tej pory pracownika. Aż się wszyscy dziwią. I Dorota wpada w szczęście. Kolega przewodniczący z dnia na dzień urasta do rangi pierwszego po Dorota.

— Odczułem od niej — mówi Tadeusz — ponieważ nie mogłem znieść dużej atmosfery ekscytacji.

Kolega-skarbonka organizuje zebranie w sprawie zaniedbań w organizacji służby leśnej. Na tym zebraniu Dorota ma wystąpienie przygotowane. „Nasz las ginie — mówi. — Jesteśmy w przededniu wielkiego kraehu ekologicznego. Teren naszego nadleśnictwa jest szczególnie zaniedbany przez brak fachowców, w większości i dobrzy... ".

Nadleśniczy składa rezygnację. Jako o następcy mówi się o Dorocie.

Na razie jednak szykuje się wyjazd za granicę na sympozjum poświęcone zagrożeniom ekologicznym. Dorota ma na nim przeczytać referat dla niego. Koleżą bowiem jedzie, jest miejsce dla przewodniczącego „Solidarności", załatwia to. Wszyscy komentują ich czułe pożegnanie na dworcu.

— To taki typowy mechanizm eksplozji — tłumaczy Tadeusz, oblatany w literaturze psychologicznej.

Ona musiała być w kogoś zapatrzona...

— A ty?

— Ja byłem mężem. To zupełnie co innego. Byłem od tego, żeby tulić małego kotka. Kotek jej politycznyy ból...

Tymczasem...

Niesłusznie pomawiany nadleśniczy umiera na zawał.

Tadeusz odchodzi.

Dorota jedzie na zjazd „Solidarności".

Koleżą-skarbonka zostaje za granicą...

Ból... Ból... Ból... Ból... Tak to sobie dzisiaj przypomina. Trzeba było zabić ten ból. Zapchany pociąg. Jakieś przypadkowe rozmowy. I to słowo-olśnienie, które pada z czyichś ust: Lis! Tak, Lis. Ktoś czytał jej pod oczy numer „Sztandaru Młodych". Wywiad na całą kolumnę. Czyta go pośpiesznie. Jest pewna, tak, znowu jest pewna. Bogdan Lis wyzuwa jej słowa, Doroty Ś., zwanej „Pajęczynką", członka partii i członka „Solidarności". I resztą podróży już jest lepsza, już nie ma tego bólu, już jest jakaś nadzieja. Domyśla się, czego on w tym wywiadzie nie dopowiedział, i jest pewna, że myślą tak samo. Tak, nie można inaczej, tylko zbrojna rewolta może przynieść jakiś namacalny sukces.

I jedzie.

I wysiada.

A tam Bogdan Lis. Nie. Wałęsy nigdy nie uznała za prawdziwego wodza. Ot, odważny człowiek, nie więcej. Tak, spełnił swoją pozytywną rolę, ale był chwiejny, sterowany. Lis to co innego. Rulewski zresztą też. Ale Lis to ktoś bliższy. Ideowo. Podobna przeszłość. Tak, Lis staje się kolejnym punktem odniesienia.

Dopada go gdzieś na sali Zjazdu. Pospieszne słowa deklaracji, uściski dłoni. „Trzymaj się". Jakie to wspaniałe „ja", „ty", „my". Jakie żądnej aktywności i ta atmosfera... rewolucyjna!

Dorota wraca do nadleśnictwa i rzuca się w wir pracy. Zakłada terenową komisję koordynacyjną. Zbliża się przecież — czas zwady. Groźi głód. Trzeba precyzyjnie zaplanować siatkę samopomocy. Zebrania do północy. Pierwsze słowa o nowej konstytucji. Ciągle Lis... Lis... Lis. Pisze do niego dwa listy. Odpowiedź nie nadchodzi, ale on przecież to człowiek zapracowany. Dorota wcale się nie dziwi. Prawie jak perjaonarka, wśród najważniejszych spraw i dokumentów trzyma jego zdjęcie wycięte z gazety.

I wreszcie — grudzień. Słucha słów płynących z Radomia. Potem mija tydzień — i Gdańsk. O północy wychodzi komunikat w radiu. Jest już pewna, rano musi zwołać zebranie komisji koordynacyjnej. Trzeba zgromadzić większy zapas butelek, bezpieczniej jest w nadleśnictwa.

W ich miejscowości 13 grudnia nie ma żadnych czołgów. Wita ją jedynie cisza w eterze i głuchy telefon. Za oknem śwecto spadły śnieg, słoneczenie. Niby czysty, niepodjęty, ale ta zimowa aura wprawia ją w rodzaj powolnego uspokojenia. Spotyka na drodze kolegę z komisji. Idzie do niej. On już wie. „Musisz mnie przechować" — mówi.

Dorota zamarza nie wierzy. Powoli jednak rzeczywistość dociera do jej świadomości. Ale ta konfrontacja wygląda jakoś dziwnie. Powinna się bać, uciekać, ukryć, zupełnie nie. Nawet przestrach kolegi zupełnie jej nie wziął. Słuchała o internowaniach, zmianach przynosili wiadomości o ludziach z ich województwa, a z nią nic, cisza.

Lisa nie wzięli. Dorota domyśliła.

Mówili jej: „Dorota, uważaj, bo ciebie wezmą". Kto wie, czy by nie chciała. Ale jej nie wzięli.

Ukryła kolegę.

Zwołała tajne zebranie komisji na następny dzień. Nikt nie przyszedł. Radzili we dwójkę.

Potem przyjechał po nią ojciec. Dostał przepustkę.

Nawet się zbytnio nie opierała. Kiedy go zobaczyła, miała dziwne uczucie wyzwolenia. Podobny stan — ni to łzy, ni pustki, a jednocześnie ulgi — odczuwała kilka lat temu, kiedy zmarł ojciec. Coś zostawiała za sobą. Jakiś kłąb zdarzeń, jakieś emocje, jakieś wielkie słowa, które już nie padną.

Ojciec zabrał ją do domu.

— Córeczko — powiedział jej któregoś wieczora. — To moja wina. Nie potrafiłem nauczyć cię w życiu jednej ważnej rzeczy. Nie pokazałem ci drogi... Idź, ratuj siebie? Życie bez idei jest tylko wieczną szamotaniną.

I kiedy tak siedzieli we dwoje przy kominku, przypomniała sobie te wszystkie swoje życiowe olśnienia i pomyślała, że ojciec ma rację

— Tato, jak to było z tobą naprawdę?

I odbyli rozmowę, która powinna odbyć się 18 lat wcześniej.

W lutym 1982 r. Dorota oddaje legitymację partyjną.

— Muszę zacząć od początku. — Takie słowa kieruje do odbierającego legitymację i sekretarza POP.

WOJCIECH PIELECKI

DUNAJEC

Oto wyłożony granitową kostką Plac Czerwony, serce Kraju Rad. Stoję w kolejce do Mauzoleum Lenina. Tłumy można tu obserwować zimą i latem, w słonecznie, deszczowe i śnieżne dni.

Z Wieży Spaskiej rozbrzmiewają kremlowskie kuranty. To miasto wiele widziało i wiele przeżyło. Ze starej kroniki filmowej pamiętam defiladę pułków z okazji 24 rocznicy Wielkiego Październiku. Wtedy, 7 listopada 1941 roku, armia hitlerowska znajdowała się na przedpolach Moskwy. W obliczu śmiertelnego zagrożenia czerwonoarmiści złożyli przysięgę obrony stolicy do ostatniej kropli krwi.

W kwietniu 1961 roku nad Placem Czerwonym zapłonęły ognie sztucznie, wyrażające radość i dumę narodu radzieckiego z powodu udanego lotu w kosmos Jurija Gagarina. Przy murze kremlowskim nagrobek owepopiersia wybitnych działaczy partii i państwa radzieckiego: Dzierżyńskiego, Swierdłowa, Stalina, Woroszyłowa, Breżniewa i Andropowa. Wmurowane urny z prochami kosmonautów, naukowców, marszałków, dyplomatów.

*

Moskwa z lotu ptaka: w centrum Kreml, a wokół pięć pierścieni obwodnic, które powstawały stopniowo w miejscach, gdzie przed wiekami przebiegała granica miasta, i gdzie wznosiło drewniane ogrodzenie lub kamienne mury. Z centrum, przecinając wszystkie te pierścienie, biegną promieniście w różnych kierunkach magistrale metra i kolei, autostrady.

Jedno z największych miast świata. Ale nie odczuwa się tutaj zatłoczenia, chociaż moskwiczan jest tylu, ilu ma obywateli cała Bułgaria. Niedaleko Placu Czerwonego stanął hotel „Rossija", w którym może zamieszkać 6 tys. osób. Metro przewozi na dobę 5 mln pasażerów. W największym domu towarowym Europy — GUM-ie codziennie dokonuje zakupów 350 tys. osób, w „Dietskim Mirze" — jeszcze więcej, bo blisko pół miliona.

Przewodniczka, Galina, informuje, że w Moskwie są 32 teatry, kilkanaście sal koncertowych i kryjówki każda zdolna jest pomieścić 2–3 tysiące widzów, 260 szpitali, 1200 szkół, 120 kin, 4,5 tysiąca bibliotek.

Nieodłączną częścią miasta stały się żurawie budowlane. — *Dziennie oddajemy do użytku 400 nowych mieszkań* — mówi Galina. — *Właśnie dlatego na moskowskich placach widać tak wiele samochodów ciężarowych z materiałami budowlanymi. Studujemy z wielkim zapałem i cegły. Nadal jednak czas oczekiwania na własne mieszkanie trwa 5–6 lat.*

Za bramą Ogrodu Aleksandrowskiego para nowożeńców składa wiązanke kwiatów na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza. Wiatr rozwiewa długą, białą suknię pana młodej. Płonie wieczny ogień sławy. Odczytuje napis: *„Imię Twoje — nieznane, ale czyn Twój — nieśmiertelny"*.

Wzdłuż alei umieszczono bloki z czerwonego porfiru z ziemią z miast-bohaterów: Leningradu, Odessy, Sewastopola, Stalingradu, Kijowa, Mińska, Noworosyjska, Kerczu i Twierdzy Brzeskiej.

*

Spacer wokół rzeźbiących murów i pięciu kilkudziesięciometrowych kremlowskich wież, ozdobionych świecącymi w nocy złotymi gwiazdami, zajął mi ponad godzinę. Wewnątrz złocą się setki kopuł przyporminających style i dzioby rajskich ptaków. Ponad 800 lat temu, książę Jerzy Dołgoruki ustanowił tutaj siedzibę księstwa moskiewskiego. W gmachu dawnego Senatu urządzuje dziś premier rządu radzieckiego, Tichonow. Na Kremlu architektura średniowieczna łączy się z budownictwem najnowocześniejszym, zbudowany z uralskiego marmuru, szkła i aluminium Pałac Zjazdów ma 800 pomieszczeń, sale widowiskową na 6 tys. miejsc.

Pstrykamy pamiątkowe fotografie na tle „Cara-puszki", odlanej z brązu haubicy o kalibrze 90 centymetrów, W pobliżu, na kamiennym postumencie — „Car-kołokoł" — największy na świecie dzwon, o wadze 200 ton. Zwiedzamy soborty: Uspieński i Błagowieszczeński, pełne malowanych portali, unikalnych ikon, starosłowiańskich fresków. W podziemiach soboru Archangielskiego groby Iwana Groźnego i jego synów. W Zbrojowni cesarskie insygnia Piotra I i Katarzyny II, odkręcone ekwipaże, wyroby ze złota, drogich kamieni i kości słoniowej, wojenne trofea.

*

Kupujemy cytryny, pomarańcze i mandarynki, mechaniczne zabawki dla dzieci, czajniki i samowary, efektowne sztućce i żelazka z nawilżaczami.

Moskiewskie sklepy są pełne kupujących. Wielu mieszkańców prowincji, nawet z odległych republik, właśnie w stolicy poszukuje atrakcyjnych towarów. Zwiększony ruch wywołała ogłoszona w tych dniach obniżka cen. Odzież letnia i towary dla dzieci potaniały średnio o 30 procent.

Sezonowe obniżki cen są jedyne dla kleszczi przeciętnego obywatela, który zarabia miesięcznie 160 — 180 rubli. Od lat na niezmiennym poziomie utrzymują się opłaty za energię, komorne, telefony oraz ceny na podstawowe produkty spożywcze: chleb, mięso, mleko, ziemniaki. W ostatnim dwudziestoleciu podwoiły się realne dochody, wzrosły zarobki, wypłaty kołchoźników, emerytury i renty, stypendia, fundusze socjalne. Czynszu w mieszkaniach państwowych, które stanowią ponad 80 procent wszystkich lokali, nie podwyższono od... 1928 roku. Wynosi on 13 kopiejek za metr kwadratowy. Bez względu na ilość rozmów miesięcznych rachunek telefoniczny opiewa na 2,5 rubla (dodatkowo płaci się tylko za połączenia zamiejscowe). Za miesięczną pensję można kupić mały telewizor kolorowy (podobne pokazały się w sądeckich sklepach po 70 tys. zł). Znacznie droższe są towary importowane: obuwie, dżinsy, kurtki.

Odnosiłem wrażenie, że ważniejsza od ceny dla radzieckiego klienta jest jakość wykonania wyrobu i modny styl. Szuka się po prostu rzeczy ładnych i często przepłaca się w prywatnych dyskusjach. Sprawa nadąłania za światową modą budzi ożywione dyskusje na łamach prasy, która bez pardonu atakuje resorty przemysłu i handlu za niektóre niesłyt udane fasony, niemodne kolory i niestaranne wykończenie odzieży.

*

W moskiewskich kinach wyświetlane są właśnie polskie filmy: „Valdek" Machulskiego oraz „Znachor" Hoffmana.

Z zaciekawieniem zerkam na afiszu w pobliżu słynnego teatru „Bolszoj". W repertuarze „Chowańszczyzna" Modesta Musorgskiego i „Carska narzeczona" Mikołaja Rimskiego Korsakowa. Przed wejściem tłumy, bilety rezerwuje się kilka miesięcy wcześniej. „Bolszoj" rocznie wystawia 40 oper i 30 baletów. W tygodniu przedstawienia ogląda 60 tys. osób.

W Galerii Trietiakowskiej brakuje biletów! Jedzie na dwięk polskiej mowy zostaję wpuszczony po za kolejnością.

Późną nocą wracamy do hotelu „Siewastopol". Obejrzeniu tylu obiektów nie byłoby możliwe bez korzystania z usług metra, które w ciągu kilkunastu minut przenosiła nas z jednego krańca miasta na drugi. Pierwsze pociągi przejechały podziemnymi tunelami w maju 1935 roku. Długość wszystkich moskiewskich linii przekracza 160 kilometrów. W godzinach szczytu pociągi kursują z prędkością 90 kilometrów na godzinę, co 50 sekund. Ruch sterowany jest automatycznie przez elektroniczny komputer. Stacje metra odznaczają się oryginalną formą artystyczną i architektoniczną.

*

W sierpniu 1812 roku na polach podmoskiewskiej wsi Borodino Napoleon rzucił do walki 135 tys. żołnierzy i 600 dział. Rozgorzała bitwa, która przyniosła zwrot w przebiegu wojny i zapoczątkowała odwrót armii napoleońskiej. Napoleon, mimo, że przebywał przez kilka dni w Moskwie, przyznał: — *Rosjanie zyskali prawo, aby ich uznać za niezwyciężonych.*

Wstępujemy do Muzeum-Panoramy, mającego kształt wielkiego cylindra ze szkła i aluminium o średnicy 50 metrów. Wzdłuż ścian stoi 68 dział armii cesarza Francuzów. W Muzeum-Panoramie wystawione jest niezwykle i unikalne w skali światowej dzieło Franciszka Rubo — obraz długości... 115 metrów! Z podniesionej platformy obserwacyjnej patrzymy na plan bitwy. Wrażenie niesamowite, czujemy się tak, jakbyśmy znaleźli się w samym centrum walk.

*

Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej niedaleko półkilometrowej wieży telewizyjnej Ostankino — to powierzchnia 216 hektarów z 200 pawilonami eksponcyjnymi. Zgromadzono tu dokonaną wszystkich dziedzin przemysłu, rolnictwa, budownictwa, transportu, nauki i kultury ZSRR. Wśród 100 tys. eksponatów jest pierwszy sputnik świata i kłos pszenicy, optyczny generator kwantowy i podręcznik szkolny, samolot odrzutowy i ponad 100-tonowe samochody. Dokładne obejrzenie wystawy wymagałoby kilkudziesięciu dni. Zatrzymujemy się jedynie przy pawilonie „Kosmos", przed którym stoi rakieta nośna, jednyna a 1a, która wyniosła na orbitę okołoziemską statek kosmiczny z Gagarinem.

Osobliwością kosmiczne znamy jedynie z obrazu telewizyjnego. Tutaj w zasięgu ręki leżą kaczyczące kamienie wierne kopie statków kosmicznych „Wostok", „Woschod", „Sojuz", „Luna", „Mołnia", „Wenus". Nie mogę oprzeć się chęci dotknięcia „Łunochoda" i ekwipunku kosmonautów. Jestem zawołaniem czy kosmicznej. Z wypiekami na twarzy wysłuchiwałem wiadomości radiowych z pierwszych lotów, które przesyładałem przy bezpośredniej relacji z Księżyca.

*

Radziecka stolica, ten wielki ośrodek przemysłowy, szczyci się zdrowym środowiskiem naturalnym. Stare kroniki informują, że już w czasach Iwana Groźnego rzeka Moskwa była cuchnąca. Wtedy pod wyginęły rzeczugi, okazałe gatunki ryb z rodziny jesiotrowatych. A przecież, co lata był na przykład Małe warsztaty skórzana, garbarskie, farbiarnie, prymitywne kuźnie i odlewnie.

Jeszcze dwadzieścia lat temu nad Moskwą unosił się ciemnoszary smog. Systematycznie jednak przenosiono poza granice miasta lub modernizowano dziesiątki szczególnie szkodliwych przedsiębiorstw. Powstałe 300 oczyszczalni ścieków, tysiące urządzeń kanalizacyjnych. Nie widać w ogóle kominów. Prasa radziecka piętnuje przypadki łamania przepisów ochraniających przyrodę. Ekologiczne wypowiedzieli wojnę przestarzałym zakładom, w których brakuje filtrów. Wielkie przebrzeżnia przeszła rzeka Moskwa. Cieszącą, co prawda, jak na razie, nie zauważono w jej nurtach, ale zagadnięty wędkarz pochwalił się złowionym okoniem. Miasto ma czym oddychać — zlokalizowano w jego granicach 11 naturalnych masywów leśnych, 100 parków, 600 skwerów i bulwarów. Na jednego mieszkańca przypada około 26 metrów kwadratowych zieleni. Na podwórzach domów można spotkać sosnę sosny, brzozy, topole, lipy, dęby i klony.

Nie brakuje zieleni nawet przy szerokim prospekcie Kalininą — arterii wieżowców i ekskluzywnych sklepów. Tam właśnie w witrynie domu książki oglądam kolorowy foto-gazetkę relacjonującą budowę Bajkalsko-Amurskiej Magistrali. W ciągu 10 lat od Bajkału do Pacyfiku wyrośnie dziesiątki miast sięgłuższy na ponad 15 km), zbudowano mosty, drogi, osiedla, przeciąno leśne przesieki. Temperatura przerzęsza zimą robotom sięgała 60 stopni mrozu. Trasa BAM-u leży w rejonie wiecznej zmarzliny i przecina grzbiety górskie sięgające 2,5 tys. metrów. W okresie największego natężenia prac BAM budowało 130 tys. osób.

*

W Moskwie nikogo nie dziwią ubrani w dresy biegacze przemierzający ulice i parki. Wielu uprawia starsi i młodzi — w mieście jest ponad 180 szkół sportowych, 60 wielkich stadionów, 1335 sal sportowo-gimnastycznych, 350 boisk futbolowych, 2 tysiące placów gry w siatkówkę i koszykówkę, 25 basenów pływackich.

Student uniwersytetu, Sierioża, dzieli się wrażeniami z przebiegu igrzysk olimpijskich w 1980 roku. Tamtego dnia, gdy Sierioża oglądał relację z skoku o tyczce, i dramatyczny, zwycięski finiś Bronka Malinowskiego w biegu na 3000 metrów z przeszkodami. Obiekty olimpijskie służą dziś wszystkim moskwiczanom, wiele z nich uwzględniono w generalnym planie rozwoju miasta, a zorganizowanie olimpiady tylko przyspieszyło realizację wcześniej ustalonych planów. Niektóre obiekty olimpijskie, jak np. kryty stadion i kryte baseny przy prospekcie Pokoju czy tory wioślarskie i kolarskie w rejonie Krylatiskie zadziwiają nowoczesnością i funkcjonalnością. Natomiast wioska olimpijska jest dziś nowoczesnym osiedlem mieszkaniowym.

*

Wiedziałem o Moskwie niemało. Czytałem o niej, oglądałem w kinie i telewizji. Zbierałem okruchy turystycznych wrażeń opowiedzianych przez znajomych. Teraz je sobaczyłem. I wszystkie chcę przyjąć, jakie miałem w pamięci, zabarwiły się, ożyły, znalazły potwierdzenie.

JERZY LEŚNIAK

SEKRETY ŻYCIA PROWINCJI

Eger jest pięknym, 65-tysięcznym miastem, oddalonym od Budapesztu o 140 kilometrów. W samym centrum, przy Beloiannisz utca 3, mieści się redakcja partyjnej gazety — „Nepujsag". Niczym nie różniącej się od polskich gazet prowincjonalnych. Podobnie rozłożone akcenty, te same priorytetowe wiadomości, równie zły papier, na którym wydrukowano tak same nieczytelne zdjęcia.

Przyznam, że byłem rozczarowany. Przyjechałem przecież z daleka po to, żeby znaleźć jakiś ciekawy temat. I wtedy powiedziano mi, że najlepszym tematem dla mnie będzie człowiek. Prowincjonalny reporter!

Istvan Pecsi ma lat 45, a wygląda na 50. Krępy blondyn w rogowych okularach. Nie wygląda na „pistoleta". A jednak! To jeden z najciekawszych dziennikarzy na Węgrzech.

Pecsi oczywiście słyszał o naszych, polskich „rozliczeniach" i dziwi się, że wzięliśmy się za nie tak późno, że aż za późno. Rozliczać trzeba od razu każdego pojedynczo. Jedna sprawa — mniejszy kłopot. I przestroga dla tych, którzy zapomnieli, że mogą zostać rozliczeni...

Miał taką sprawę. Do redakcji nadszedł list. Anonim. Prowincjonalna nauczycielka napisała skargę na drugą nauczycielkę. Za to, że jest sadystką, a nie pedagogiem. Do dzieci odnosi się wulgarnie, bije je, szczuje psem, a dopuszcza — kolegom nauczycielom — jak jej zwrócą uwagę, grozi. Bo to nie jest zwykła nauczycielka, tylko żona sekretarza partii. „Władczyni" niesnitky, której gospodarzem jest jej mąż-tchórz, być może nawet w praktyki swojej małżonkę niewtajemniczony.

Od anonimów stroni każda redakcja pod każdą szerokością geograficzną. Ale anonimy „Nepujsag" nie wyrzucił skargi do kosza, tylko zwołał kolegium. Dał list do przeczytania współpracownikom i zapytał, czy zwrócili uwagę, że autorka była tak przerażona, że nie podała nazwiska sekretarzowej, ani nawet nazwy miejscowości. Anonim wysłany został z pocztą w Egerze, dokowie dwie ulice dalej...

Taki „utajniony" list mógł wysłać i napisać tylko ktoś, kto widzi zło i czuje się bezsilny, czyli zagrożony. Ten ktoś bez wątpienia napisał prawdę!

Pecsi dostał delegację na teren całego województwa i samochód z kierowcą. Pojechali prosto przed siebie. W miejscowym wiejskim parkowali koło szkół i zaczepiali mężczyzn, wychodzących po lekcjach. Po prostu! na chybił — trafił! Szukali nauczycieli. Pecsi pokazywał swoją legitymację dziennikarską i ostrożnie wypytywał o owo „tajemne" życie szkoły. W trzech kolejnych wsiach zaczepieni przechodnie wzruszali ramionami. Ale w czwartej zbliżający się do emerytury nauczyciel biologii powiedział zarzuty i odetchnął z ulgą: nareszcie! Wówczas przerażony reporter z Egeru pokazał mu list. Z twarzy belfra „wyczytał" rozczarowanie. To nie może być ich jedna! Ta jest nie zamężna, a tylko „dobrze ustawiona" w województwie. Ale „tą z listu" może być nauczycielka z sąsiedniej wsi... Tak, na pewno, bo tam w szkole uczy żona znanego w okolicy towarzysza...

Więź nazywała się Obosir. Na miejscu potwierdziły się wszystkie zarzuty zawarte w anonimowym liście! Dodatkowo okazało się, że opisana pani pedagog, dyrektorka szkoły zresztą, nader często zagląda do kieliszka.

Ekipa „Nepujsag" wróciła do Egeru. Zanim jednak Pecsi usiadł do maszyny, w miejscu pojawiła się osobiście baba z listu. Ze skargą na dziennikarza. Dokładnej — z dwiema skargami. Na piśmie — złożoną na milicji, i ustną — na audiencji u przewodniczącego Rady Narodowej. Wybuchła piekielna awantura. Pecsi nie uniknął oficjalnego przesłuchania. Umieścił je zresztą w swoim reportażu.

Tekst ukazał się w partyjnej gazecie. W ślad za nim pani dyrektor została proszoną nie do odtrucenia — przejścia na emeryturę. Jej mąż, chociaż w reportażu umieszczony w dalekim tle, również został zdymisjonowany. Pecsi przypuszcza, że za to, iż powołany do sprawowania porządku w gminie, nie potrafił zaprowadzić go we własnym domu...

Opowieść druga. Prokurator wojewódzki poprosił do siebie redaktora Istvana Pecsi i dał mu do przejrzenia akta. To była sprawa prowincjonalnego szpitala w mieście Gyöngyös. W kilku podpisanych czytelnie skargach informowano prokuratora, że tamtejszy ordynator bierze łapówki za opiekę nad chorymi. Mało tego, pewna lekarka z tego szpitala razem z mężem-plastykiem złożyła do protokołu zeznanie, iż z powodu oporu przed zakusami ordynatora została zamknięta w domu wariatów!

Sprawa była sensacyjna, a mimo to prokurator czuł się bezradny. W całym szpitalu nikt, ale to dosłownie nikt, nie chciał „puścić farby..."

Pecsi pojechał do Gyöngyös i ustalił następujące fakty:

W wolli miejscowego milionera (później zresztą objętego odrębnym śledztwem) odbywała się przyjatka na cześć ordynatora. Na to przyjęcie zaproszona została także wspomniana pani doktor. Przyjatka była raczej „męska" i w miarę upływu czasu, a także wypitego alkoholu, goście zaczęli domagać się kobiecego towarzystwa. Lekarka w międzyczasie rozmyśliła się i zamiast na przyjatkę, poszła spać. Zaczęto ją nękać telefonami. W końcu odłożyła słuchawkę. Wówczas podpity pan ordynator zażądał od szpitala i karetki karetce „na interwencję" do pani doktor, a następnie odwiózł ją do zakładu dla psychicznie chorych, gdzie zaordynował jej dwa „zastrzyki" elektrowstrząsów!

Pecsi po długich rozmowach i nie całkiem formalnie, bo „po kielichu", zdołał przekonać dwóch pracowników karetki, żeby powiedzieli, jak było naprawdę? Zorganizował następnie konfrontację z ordynatorem, ale wtedy okazało się, że szefowie resortowo-miejscowi zabronili ordynatorowi kontaktów z prasą! Z sobie tylko wiadomych powodów! szefowie ordynatora chcieli go za wszelką cenę ratować. W końcu jednak reporter dotarł do ordynatora i po czterogodzinnej rozmowie w środku nocy przekonał go, że „gra w saparte" zwiększy tylko wymiar kary. To była trudna rozmowa, bo ordynator także Pecsi'emu zagroził odesłaniem do domu wariatów. W końcu jednak dziennikarz złamał lekarza.

W „Nepujsag" ukazał się reportaż pod tytułem „Zdrowy mózg w żółtym domu". Po tym tekście prokurator wznowił śledztwo. Ordynator skazany został na półtora roku pozbawienia wolności.

☆

Pecsi przestrzega przed uogólnieniami. Ludzi podłych, nieuczciwych, powierzch swoiej bezkarność można spotkać wszędzie, na całym świecie, bez względu na ustrój, klimat i porę roku. Wszędzie tam powinni być dziennikarze. Powinni patrzeć, co się dzieje wokoło, słuchać, trafić. I pisać. Oczywiście — pisać prawdę. Per saldo — tylko pisanie prawdy się opłaca.

JANUSZ ATLAS

TELEFON DO MORDERCY

Czechosłowacka telewizja nadała niedawno film dokumentalny, ukazujący zbrodnie wojenne popełnione w okresie tłumienia Słowackiego Powstania Narodowego przez renegata i kolaboranta Ladislava Niżniańskiego.

Ten kapitan przedwojennej armii w faszystowskim państewku księdza Józefa Tiso zasłynął jako krwawy dowódca wyspecjalizowanej antypartyzanckiej grupy „Edelweiss", która była jeszcze straszniejsza — jak wspominali przed kamerami świadkowie wydarzeń — niż oddziały SS i gestapo. Zabijano okrutnie dzieci, starców, kobiety. Paczkowano i palono całe wsie słowackie. Niżniański często kierował osobiście przesłuchaniami osób podejrzanych o współpracę z partyzantami, podczas których obcinano ludziom uszy, nosy, wyłupiano oczy. „Edelweiss" specjalizowała się również w poczynkowaniu i mordowaniu Żydów, a sam dowódca rozstrzelał ich z największą przyjemnością.

Niżniański i jego oddział zasłynęli również z tego, że ujęli anglo-amerykańską misję wojskową pod dowództwem kapitana Greena, kierowaną do powstańców słowackich. Część oficerów amerykańskich zginęła w walce. Pozostałych Niżniański przekazał gestapo. Zostali oni następnie zamordowani w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Za swe zasługi otrzymał Niżniański gratulacje od Himmlera i Krzyż Żelazny.

Po wojnie wyrokiem Sądu Ludowego w Bańskiej Bystrzycy skazany został na karę śmierci. Wyroku jednak nie wykonano, ponieważ zbrodniarzowi udało się przed końcem wojny zbiec ze Słowacji. Po czym objawił się na Zachodzie jako... kierownik sekcji czechosłowackiej radia „Wolna Europa".

Władze czechosłowackie wielokrotnie występowały o ekstradycję Niżniańskiego, zwracając się w tej sprawie do służb dyplomatycznych USA, jako że Czechosłowacja nie posiadała jeszcze wówczas stosunków dyplomatycznych z RFN. Mimo przekazania za pośrednictwem ambasady USA w Pradze całej dokumentacji dotyczącej zbrodni Niżniańskiego Ministerstwu Sprawiedliwości RFN, milczało ono i milczy do dzisiaj.

W związku z tym, że Niżniański uczestniczył bezpośrednio w wymordowaniu misji amerykańskiej na terenie Słowacji, usiłowano zainteresować sprawą również Ministerstwo Sprawiedliwości USA. I oto w sierpniu br. tuż przed obchodami 40. rocznicy Słowackiego Powstania Narodowego ambasador USA w Pradze, William H. Luers, skierował do „Rudeho Prava" list, w którym nawiązując do rocznicowych obchodów opisuje całe i zadania misji Greena mającej nieść pomoc powstańcom. Wspomina, że została ona zlikwidowana przez oddział „Edelweiss", ale nie wymienia nazwiska jego dowódcy, Niżniańskiego, który został po wojnie etatowym pracownikiem placówki podległej de facto rządowi Stanów Zjednoczonych — radia „Wolna Europa".

Niemal w tym samym czasie co list ambasadora USA do „Rudeho Prava" wpłynęła po wielu miesiącach odpowiedź Ministerstwa Sprawiedliwości USA. Stwierdza się w niej, że Niżniański jako pracownik „Wolnej Europy" przebywał w Nowym Jorku, nie będąc jednak obywatelem amerykańskim. W 1981 r. wyjechał do Monachium i mimo starań nie udało się ustalić jego adresu. Tyle Ministerstwo Sprawiedliwości USA.

Tymczasem w powszechnie dostępnej książce telefonicznej miasta Monachium figuruje dokładny adres i numer telefonu zbrodniarza. Reporterka czechosłowackiej telewizji dzwoni pod ten numer i telefon odbiera żona Niżniańskiego: — *Tak, mąż jest w domu, zaraz go poproszę.* Słuchawkę przejmuje Niżniański: — *Tak, nazywam się Niżniański, słucham.*

Wówczas reporterka przechodzi z niemieckiego na słowacki i pyta, czy słyszał o filmie czechosłowackiej telewizji pt. „Obraz zdrady", w którym ukazano jego zbrodnie. Tak, słyszał, ale jest to komunistyczna propaganda...

Tak więc zbrodniarz żyje, dokumentacja jego przestępstw jest niepodważalna, a mimo to sprawiedliwości nie może się stać zadość.

Sekretarz Czechosłowickiej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, dr Kamil Kamiz, mówi, że Niżniański nie jest jedynym przypadkiem, w którym wszelkie starania o ukaranie byłych zbrodniarzy hitlerowskich nie powiodły się z powodu braku współdziałania urzędów i instytucji w USA i RFN. Mimo że dysponują one niezbędnymi dokumentami osłaniają przestępców.

— *Przekazaliśmy podobne wnioski o postawienie przed sądem dotyczące 430 osób zamieszkujących na terenie RFN* — mówi dr Kamiz — *ale w ani jednym przypadku nie podjęto jakichkolwiek czynności sądowych.* Oto co sprawia, że tacy ludzie jak Niżniański mają możność mówić, że ich zbrodnie z czasów II wojny światowej są... propagandą

TADEUSZ LUBIEJEWSKI

CHCEMY SUDETÓW
PRUS WSCHODNICH
I EUROPY PO ORAL
CHCEMY POKOJU

Na bezludnej wyspie

Jest to historia prawdziwa. Zdarzyła się ubiegłego roku latem. Robinson na bezludnej wyspie. Tylko wyspa nie leżała na morzach południowych, a współczesny Robinson miał zaledwie czternaście lat.

Sasza Barasz, drobny, nieśmiały chłopiec jest synem pracownika stacji oceanograficznej. Ojciec zabierał go niekiedy ze sobą na rejsy, szczególnie w czasie wakacji. Sasza uwielbiał te wyprawy. Tyle interesujących rzeczy działo się dookoła: praca na statku, wędrówki po nieznanych wyspach, dzika przyroda. Ten rejs byłby jeszcze jedną wspaniałą wycieczką z ojcem, gdyby nie sztorm, który rozszalał się w nocy.

— Spaliśmy z ojcem w jednej kajucie — opowiada chłopiec. — W nocy silny przypływ wyrzucił mnie z koi. Ojciec spał mocno. Ubrałem się wykryko i wyszedłem zobaczyć, co słychać na moskiu kapitańskim. Nagle poczułem, że dziób statku zapada się w dół, a olbrzymia ściana wody wali na pokład i na mnie. Coś mnie uniosło wysoko, porwało i rzuciło w rozszalały wodny wir. A potem... ocknąłem się na wyspie.

Była to jedna z trzydziestu wysepek Archipelagu Szantarskiego na Morzu Ochockim, ale Sasza o tym nie wiedział. Stał nagi i rozglądał się. Na kamieniach suszyło się jego ubranie. Patrzył na gęsty, porośnięty krzewami teren. Z tyłu szumiało morze. Bielizna, kurtka i dżinsy były zatwardziałe soli. Obok leżała drewniana skrzynka. Razem z chłopcem zmiótł ją z pokładu i dzięki niej przeżył. Uczepiony drewnianego przedmiotu nie zatonął. Sasza wyjął z kieszeni wszystkie swoje skarby: nóż o dwóch ostrzach — prezent od ojca, grzebień, kluczyk do mieszkania, kawałek ołówka, dwie duże agrafki, którymi spinał nogawki spodni, kiedy jeździł na rowerze, nylonowy sznurek, pasek do spodni z metalową klamrą, trampki zupełnie nowe i białe, bawełniane skarpetki — to było wszystko, co posiadał.

Był zmęczony, głodny, dokuczało mu pragnienie, miał mdłości. Nie wiedział, co ma robić. Po głowie krążyła tylko jedna myśl: „Znajdą mnie, nie dziś to jutro. Chociaż nie wiedzą, gdzie mnie zmyło... ale ojciec będzie mnie szukał, znajdą mnie". Pragnienie i głód przezwyciężyły zmęczenie. Poszedłszukać wody. Źródełko znalazł nawet niedaleko. Zanurzył obolałą twarz w wodzie i pił zachłannie. Nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek, chciał wyjść na górę. Ze szczytu wzniesienia widać było podnóża wysepek jak na dłoni. Niestety była bezludna. To nic — pomyślał — znajdą mnie

Słońce chyliło się ku zachodowi i Saszka uprzytomnił sobie, że przed nocą musi znaleźć jakieś schronienie. Głód dokuczał coraz bardziej. A wokół tylko mokra trawa i kamienie. Zejście z góry było trudniejsze. Na czworakach przedzierał się przez zarośla i niespodziewanie wyszedł na dużą polanę pokrytą pomarańczowymi kwiatami. Znał te rośliny — to saranki. W czasie wędrówek z ojcem niekiedy wykopywał i zjadał smaczne, mączyste cebulki roślin. Saranki były pod ochroną i ojciecnie pozwalał niszczyć kwiatów, ale tutaj było ich tak dużo, a on był taki głodny. Zaspokoiwszy głód zabrał się do zbudowania szałasu z gałęzi, tak jak uczył go ojciec. Było ciemno, zimno, strasznie. Gałęzie szałasu chroniły trochę od wiatru, ale chłopak czuł, że lodowaciejе. Nie mógł usiąść, drżenia. „Znajdą mnie, teraz muszę sobie radzić sam" — myślał kuląc się z zimna.

Poranne słońce rozproszyło mroki, ogrzało ziemię i chłopczarobiło się raźniej. Pobiegł nad morze, aby na rozgrzanych kamieniach wysuszyć ubranie. Wiedział, że morze wyrzuca różne przedmioty, które mogą się przydać. Znalazł na brzegu plastykową butelkę z resztką szamponu, kawałek sieci rybackiej, jakieś puszki do konserwowych, wraki łódki, skrzynki z deski i drobiazgi. Najbardziej cenił dla niego najcenniejszego — duży kawałek brezentu i dmuchany materac z napisem „Made in Japan", którego dwie części były wypełnione powietrzem.

— Będę miał namiot i łóżko — ucieszył się Sasza. Wysuszył brezent, który stał się twardy jak blacha i zaszczyci cerne zdobycze do szałasu. Nie był to namiot doskonały, ale rano chłopiec obudził się suchy i wyspany.

Rozpoczynał się trzeci dzień na wyspie. Znów najadł się bulw saranek, które nie wydawały mu się już takie smaczne jak poprzedniego dnia. Chłopiec zrozumiał, że jeżeli nie rozpali ognia, zginie. Ogień to ciepło, gotowanie potrawy, a przede wszystkim dym — sygnał, który miał zwrócić uwagę ludzi. Ale jak rozpalić ogień? Przypomniał sobie obrazek z książki historycznej, gdzie odziany w skóry człowiek pierwotny kresał ogień. Poszukał kremenia patyka i kamienia z wgłębieniem. W tym zagłębieniu powinna powstać iskra. Ale minęło kilka godzin, chłopcu rece omdlewały, a iskierki nie było. Kręcił coraz szybciej, dołożył wgłębienie suchym mchem. Wreszcie po nieskończenie długim czasie pojawił się szary dymek. Sasza ze zdwojoną energią obracał patyk, dmuchał z całych sił, aż iskierki buchnęły jasnym promieniem. Szczęśliwy chłopiec odtańczył nad ogniskiem indiański taniec radości. Aby nie stracić rachunku dni Sasza, podobnie jak Robinson, prowadził kalendarz. Na kilu zaznaczał dni pobytu na wyspie — większe nacięcie — dzień poświedni, szersze — niedziela. Z coraz większym obrzydzeniem myślał o jedzeniu saranek. Znów był głodny, tego dnia zjadł tylko trzy bulwy. Wyobrażał sobie różne potrawy, które jadał w domu, marzył o chlebie z masłem i kubku herbaty z gorącym mleku, którego tak nie lubił, albo o smażonej rybie. Dlaczego nie lubił smażonej ryby? Rybyma z morza zgotowano chrzcz ryby? Zrobił wędkę z kija i agrafek, niestety nie udało mu się złowić nawet małej rybki.

Następne dni były zimne i deszczowe. Żeby wodnie zadać ognisku, przeniósł je do namiotu. Zrobiło się ciepłej, ale dym przed w oczy i utrudniał oddychanie. Zimno, deszcz, ryk fal podsuwają złe myśli. „A jeżeli... mnie nie znajdą, lub znajdą wieczy, gdy... Ale ojciec sam, przybędzie mi na tej, przekleję wyspie i nikogo nie obchodzę. Jeżeli nawet będę tu leżał i umierał w tym namiocie podobnym do psiej budy, nic wokoło się nie zmieni. Nie ma kogo zawołać, do kogo się przytulić, nikt nie powie ni słowa. Dookoła obojętny, mokry świat. A przecież tam gdzieś jest ojciec, są ludzie..."

Następnego dnia przestało padać i zaświeciło słońce. Pomimo nic nie wyszło z łowienia ryb, Sasza postanowił pozostać małż. Kiedyś zbierali je z ojcem i mieli smaczną kolację. Wszedł do lodowatej wody i odrywał je palcami od przybrzeżnych kamieni. Związany podkoszulek zastąpił woreczek, w który wkładał największe okazy. Znowu znalazł. Z desek znalezionej szalupy rozpalił ognisko i w garncy podał wszystkie małże. Po prawym czasie zaczęły pękać i otwierać się. W środku był kawałek wspaniałego mięsa. Tego dnia Saszka pierwszy raz najadł się do syta.

Tak minęło sześć dni, prawie tydzień. Chłopcu wysławało się, że to jeden bardzo długi dzień, z przerwami na sen. Kiedy wieczorem usiadł przy ognisku, ogarnęły dopadły go smutne myśli: „A jeżeli na barce ponyślą, że utonąłem? Barka przybyje do brzegu i wszyscy dowiedzą się, że mnie nie ma, będą współczuli ojcu, w szkole może nazwisko wykreślą z dziennika i coraz rzadziej będą wspominali Saszkę Barasza. A potem całkiem zapomną... Nie! Znajdą, na pewno znajdą. Ojciec! Trzeba rozpalić olbrzymie ognisko, żeby dymiło całymi dniami i żeby było dużo dymu".

Znalazł dużą połać wiatrołomu. Suche połamane drzewa doskonale nadawały się na ognisko. Po pół godzinie słup błękitnego dymu podniósł się wysoko w górę. Dwa dni spędził Sasza w lesie stale podtrzymując ogień. Coraz bardziej dręczyła go samotność i dzięki w podświadomości kołatała myśl: „Znajdą, na dobrze, nie znajdą — to nic nie zmieni. Dane ci jest życie, ono ci się podoba i nie zamierzasz rozstać się z nim lub latwo. Nie czekaj... czyń wszystko, aby je zachować. Kto umrze i z tym odchodzi? Nie, — tylko przyroda lub choroba". Chłopiec głośno rozmawiał sam ze sobą, wyobrażając sobie, że nazajutrz z nastyczego szczytu ujrzy statek, który go uratuje. Wspominał szkolnych kolegów, dom, rodziców i patrzył na morze, ale na horyzoncie nie pojawiła się wyczekiwana bela.

Kiedy poszedł nad morze łowić małże, aby zrobić trochę zapasu mięsa, zaskoczyła go burza. Uciekał co sił do namiotu, ale zimny wiatr i deszcz zrobiły swoje. W nocy Sasza dostał gorączki, gorączka, bolało go gardło, wstrząsały nim dreszcze. Ze wstrętem zmuszał się do jedzenia małż, aby tylko nie stracić sił. Ogniko ledwo się tliło, kończyły się zapasy chrustu. Chwilami chłopiec tracił przytomność. A deszcz wciąż padał.

— Wstawaj, słyszysz! Hej, ty wstawaj! Jakaś wielka, czarna postać pochyla się nad nim. Ktoś potrząsa go za ramię. Ktoś do niego mówi, czy to sen? Nie, to człowiek. Marynarz. Na szyi ma zawieszony aparat fotograficzny, ktoś podnosi go, chwyta za rękaw marynarskiej kurtki. Nie może wydobyć głosu. Obok stoi trzech marynarzy służby granicznej.

Saszy brak tchu, ma ten wrażenie nie im wytłumaczyć.

— Powiadomiono nasze jednostki, że 17 lipca utonął, a ty przez miesiąc byłeś na tej wyspie sam, rozpaliłeś ogień, skąd miałeś zapałki?

— Nie miałem zapałek — szepce Sasza, a w głowie kołacze mu myśl jeżeli myśl — znaleźli mnie!

(„Sputnik")

Tłum. ELŻBIETA BRYSZEWSKA

Szachy w przedszkolu

Jest w NRD miejscowość, której obywatele zadziwiają wielką pasją do gry w szachy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby zamiłowanie do tej gry nie stanowiło rytuału, utkwionego tradycją i kontynuowanego przez stulecia, pielęgnowanego niemal w każdej rodzinie i przekazywanego z pokolenia na pokolenie...

Miejscowością tą jest położony na północnym skrzydle Gór Harcu, Stroebeck. Tu wszyscy pasjonują się „królewską grą". Tu szachy wycisnęły piętno na obyczajach i życiu obywateli.

Każdy przegra zakład, jeśli założy się, że w Stroebecku jest choćby jeden dom lub gospodarstwo domowe, w którym oboje byłaby gra w szachy. Niedowiarków jest już niewielu, zaś ostatnim z nich argumenty z ręki wytrącają nazwy, które patronują w Stroebecku lutejszej rolniczej spółdzielni produkcyjnej rynkowi i miejscowej gospodzie. Noszą nazwy „Pod szachami", co stanowi wizyfówkę tej unikalnej na swój sposób miejscowości. Kryją się za tym bardzo dawne tradycje, pieczołowicie pielęgnowane po dziś dzień. Ukazuje je wizyta w Stroebecku, który na przydomek „szachowej wsi" w pełni zasłużył. Gra w szachy, znana już od niemal tysiąca lat, pojawiła się w okolicach Stroebeck w XI stuleciu.

Istnieją w tej miejscowości szkoła jest chyba jedyną w NRD, w której „królewska gra" jest jednym z wykładanych przedmiotów. Przy czym stan ten trwa już od 168 lat. Uczniowie klas, od czwartej do ósmej, raz w tygodniu, na dodatkowej godzinie uczą się ruchów dama, królem i innymi figurami. I jest w Stroebeck rzeczą oczywistą, że stopnie w grę w szachy pojawiają się na szkolnych świadectwach na równi z innymi, a trzej najlepsi uczniowie otrzymują co roku w podarunku od szkoły po szachownicy. Zresztą i z tym faktem wiąże się ciekawa tradycja. Szachownice dla wyróżnionych uczniów wykonuje osobiście miskrz stolarski Arthur Brunn, który zadanie to przejął po swym ojcu. Wyjawiająca te szczegóły, propagatorka pasjonatów z Stroebeck, pani Annette Herbert, dodaje że jubileuszowy turniej, zorganizowany z okazji 100-lecia tutejszej sekcji szachowej, odbył się w grudniu ub.r. Przybyli zewsząd goście ze zdumieniem obserwowali, z jakim zapałem już dziesięciolatki grają tu w szachy. Spośród 1,3 tys. mieszkańców Stroebeck około tysiąca potrafi radzić sobie z figurami na szachownicy.

Co roku, w dniu święta narodowego NRD młodzież z tej miejscowości wczesnym rankiem wita licznie przybywających tu gości partią „żywych szachów". Prezentuje ją 32 utrwalonych w odpowiednim stroju uczniów na wielkiej szachownicy, umieszczonej na centralnym placu miejscowości.

Należy oczekiwać, że już niedługo mieszkańcy Stroebeck staną się jedynymi w tym kraju posiadaczami licencji na rodzinną grę w szachy.

W kilku przedszkolach Republiki w grupach starszych dzieci wprowadzono jako zajęcie grę w szachy. Innowacja ta dała dobre wyniki. Stwierdzono, że gra w szachy pobudza wyobraźnię dzieci i przyzwyczaja je do koncentracji i ukierunkowanego myślenia. Dzieci, które uprawiały tę grę w przedszkolu, łatwiej sobie radzą w pierwszej i drugiej klasie szkoły podstawowej.

JERZY TOMASZEWSKI

ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI

Nieco Śmiechu na ten Nowy Rok

Stara Księga pastorałek
Są litery sprzewracane
Są litery wielkie małe
Stara Księga pastorałek
(Jerzy Harasymowicz)

I przyszło nam na to, że po raz już który – każdemu z nas inny zegar wybija te razy – siadamy przy wigilijnym stole, w ciepłym blasku choinkowych świeczek, poza nocką ciemną... Rodzina się zbiera, matka rybę podaje, kolędy się niosą ponad dzień powszedni, ponad zmrożone pola, ponad przyciche lasy, nad gęstwę domów. A wtóruje im poeta Józef Czechowicz wierszem oddającym ten czas najpiękniej, najśpiewniej:

kolędo czarujesz a łowisz jak niewód
a radniesz jedlicznyś żywiczny bór
tak radzisz czołom i łuteczkom i drzewom
co z gęstwin przybyło w zieleni piór

Nie samym przecie śpiewaniem człowiek żyje — nawet w wigilijny wieczór, i w inne zimowe wieczory, dłużące się w oczekiwaniu Nowego Roku.

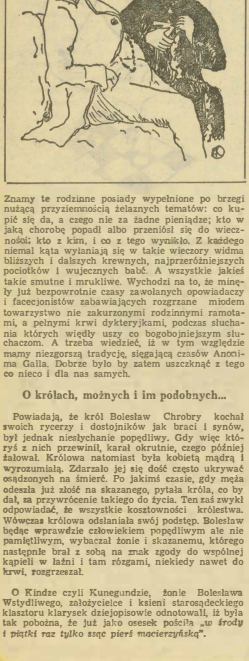

Znamy te rodzinne posiady wypełnione po brzegi nużącą przyziemnością żelaznych tematów: co kupić się da, a czego nie za żadne pieniądze; kto w jaka chorobę popadł albo przeniósł się do wieczności; kto z kim, i co z tego wynikło. Z każdego niemal kąta wyłaniają się w takie wieczory widma bliższych i dalszych krewnych, najprzeróżniejszych pociotków i wujecznych bałć. A wszystkie jakieś takie smutne i mrukliwe. Wychodzi na to, że minęły już bezpowrotnie czasy zawołanych opowiadaczy i facecjonistów zabawiających rozgrzane mnóstem towarzystwo nie zakurzonymi rodzinnymi ramotami, a pełnymi krwi dykteryjkami, podczas słuchania których wędły uszy co bogobojniejszym słuchaczom. A trzeba wiedzieć, iż w tym względzie mamy niezgorszą tradycję, sięgającą czasów Anonima Galla. Dobrze było by zatem uszeknąć z tego co nieco i dla nas samych.

O królach, możnych i im podobnych...

Powiadają, że król Bolesław Chrobry kochał swoich rycerzy i dostojników jak braci i synów, był jednak niesłychanie popędliwy. Gdy więc któryś z nich przewinił, karał okrutnie, czego później żałował. Królowa natomiast była kobietą mądrą i wyrozumiałą. Zdarzało się jej dość często ukrywać osądzonych na śmierć. Po jakimś czasie, gdy męża odeszła już złość na skazanego, pytała króla, co by dał, za przywrócenie takiego do życia. Ten zaś zwykł odpowiadać, że wszystkie kosztowności królowa. Wówczas królowa odsłaniała swój podstęp. Bolesław będąc wprawdzie człowiekiem popędliwym ale nie pamiętliwym, wybaczał żonie i skazanemu, którego następnie brał z sobą na znak zgody do wspólnej kąpieli w łaźni i tam rózgami, niekiedy nawet do krwi, rozgrzeszał.

O Kindze czyli Kunegundzie, żonie Bolesława Wstydliwego, założycielce i ksieni starosądeckiego klasztoru klarysek dziejopisowie odnotowali, iż była tak potożna, że już jako onesek potrafiła *„w środy i piątki raz tylko ssąc pierś macierzyńską"*.

Podczas uroczystości weselnych książę Bolesław zachwycony jej urodą rzekł nieopatrznie: „Mów, czego pragniesz, a wszystko spełnię!" — bogobojna Kinga zażądała ni mniej, ni więcej, tylko wstrzymania się na rok od obowiązków małżeńskich.

Gdy po roku Bolesław upomniał się o swe prawa mężowskie, Kinga zaproponowała mu powtórzenie ofiary. Tak było i w roku następnym, w piątym, dziesiątym i w dalszych. Tymczasem dwórki księżnej opowiadały, że pani ich *„nie tylko nigdy pokusom cielesnym nie uległa, ale nawet najmniejszej cząsteczki gołej ciała księcia - małżonka nie chciała oglądać"*. Książę Bolesław sam miast potomka doczekał się przydomka „Wstydliwy" — zupełnie nie z własnej winy.

I w średniowieczu zdarzali się religijni sceptycy. Gdy kiedyś Władysław Jagiełło, sam niedawno ochrzczony, zaczął takiego jednego pouczać o zmartwychwstaniu ciał, ten odparł:

— Juści, już ja wierzę, że zmartwychwstaną, miłościwy królu, ale obaczysz, że nie z tego nie będzie.

Zygmunt Stary miał opinię mruka nie zdradzającego swych zamiarów. Pewien magnat chcący zostać kanclerzem, postanowił go wybadać w tym względzie. Zagadnął więc:

— Ludzie plotą, że mam zostać kanclerzem.

A król na to:

— Nie turbuj się waszmość, czego to ludzie nie plotą!

Tym pytającym był ponoć Marcin Wiśniogłowski z Wiśniogłów.

Pewien szlachcic spod Grybowa, srodze otyły, spieszył się, by zdążyć do Nowego Sącza przed zamknięciem bram. Gdy już był blisko celu, spytał spotkanego chłopa:

— Bracie, czy przejadę ja tam przez bramę?

Chłop, spojrzawszy na potężną substancję szlachcica, rzecze:

— Ja z furą siana przejechałem, ano myślę, że waszmość pan także się przetłoczy.

Chłopi nie ćwoki, też swój humor mają

Miał se, wiecie, chłop z Laskowej żonę, kiepską gaździnę, co to ino patrzyła robotę zbyć i przy piecku siedzieć abo z kumami jęzorem mleć. Miała ta w stajni krowę, ale cóż ta z jego, kiej nie miał chto bydlątka napoić, dać ma żreć abo wyczesać. Krowina też rzyczała i ni kapki mleka nie dawała.

Chłopa mierziło to okrutnie i umyślił se bagę wypróbować. No i co się nie dzieje: w nocy zawołał hanglirza i krowę mu sprzedał. A baba nic nie wiedząc spała.

Rano chłop pozira, co baba będzie robić, wkiej do stajenki zajry, może się zacuduje, co się z krowiną podziało. Ale kej ta! No i nie doczekał się. Tak zeszedł cały tydzień. Zeźliło go to w końcu i pyta baby:

— Byłaś w stajni?

— Byłam!

— Dałaś krowie?

— Dałam!

— Poiłaś ją?

— Poiłam!

Tak już chłop nie ścierpiał. Wyrżnął babę w pysk i padł.

— Co bechasz? Jakeś ty, do wciórności, krowę napasła, poiła, doiła, jak jej już tydzień w stajni nie ma!

— Ja też myślę, czemu ona nie ryczy — zacudowała się baba.

Spotyka się w drodze na targ do Limanowej Walenty i Michał, dwóch gazdów z Kamienicy.

— A cóż zeście tacy markotni, Walenty? — pyta Michał.

— Bo mi, wiecie, koń zachorował?

— Mój tyś był chory — na to Michał — alem mu w pysk wlał bańkę denaturatu i mam spokój.

Po tygodniu znów się spotykają.

— Niech was, Michale... Aleście mi poradzili. Dałem ja swemu koniu dla pewności dwie bańki denaturatu, no i mi zdechł.

— Tać, nie pytaliście się mnie przecie, co się z moim stało!

Z czego śmiano się przy szabasowych świecach

Pan Pollak wyjechał na kurację do Krynicy. W tym czasie umarła jego siostra.

Pani Róża zdając sobie sprawę z tego, że mąż choruje na serce, wysyła depeszę następującej treści: *„Adela lekko zachorowała. Pogrzeb w czwartek".*

Córka pani Pollak zareczyła się. Ponieważ oficjalna uroczystość ma się odbyć niebawem, matka narzeczonej wysyła telegram do męża przebywającego w Warszawie:

„Przyjeżdżaj natychmiast na zaręczyny Malwinci."

Mąż odpowiada:

„Nie mogę przyjechać. Leżę w łóżku z anginą."

Pani Róża wysyła drugą depeszę:

„Daj jej dwadzieścia złotych, wyrzuć ją za drzwi i przyjeżdżaj natychmiast."

Ksiądz i rabin spotykają się w przedziale kolejowym na trasie Nowy Sącz — Bobowa. W trakcie rozmowy utrzymanej w przyjaznym tonie, duchowny katolicki częstuje duchownego żydowskiego szynką.

Rabin odmawia:

— Zakon zabrania nam jeść wieprzowinę.

Ksiądz miaskając językiem:

— Jaka szkoda! To takie dobre!

Na jednej ze stacji proboszcz wysiada. Rabin żegnając go mówi:

— Proszę pozdrowić szanowną małżonkę!

— Nas, księży, obowiązuje celibat. Nie mam żony.

Na to rabin:

— Jaka szkoda! To takie dobre!

Na koniec co nieco z innej beczki

Jedną z ważniejszych postaci Zakopanego był przez lata Kornel Makuszyński. Pewnego razu, a było to we wczesnych latach pięćdziesiątych, gdy nie wydawano mu żadnych książek, nie publikowano artykułów w prasie, słowem klepał biedę, przysiadł się do kawiarnianego stolika i rzucił machinalnie kelnerce: — Proszę o kawę. — Dużą czy małą? — spytała kelnerka. — Małą! Przecież wie pani, że na dużą mnie nie stać.

Po dwóch tygodniach żalił się znajomym: — Wyobraźcie sobie, co mnie spotkało. Listonosz przyniósł mi od jakiejś pani ze Szczecina przekaz na 200 złotych z dopiskiem: „żeby Kochanemu Panu

nie zabrakło na kawę". Do tego więc doszło! Nawet zazarłować człowiekowi nie wolno. A tej pani nie dość, że zwróciłem pieniądze, to jeszcze porto od przekazu musiałem zapłacić.

Nie przelewało się też — jeszcze przed wojną — Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi. Tyle, że Witkacy, w przeciwieństwie do Makuszyńskiego, umiał sobie radzić. Idąc raz z przyjacielem w mroźną zakopiańską noc na piwsor, ciągał go w zaspę, wytarzał w śniegu, poczęsał zapukał do drzwi najbliższej willi, wołając dramatycznym głosem, że ów znalazł człowieka zamarniętego na śmierć, któremu należy udzielić pomocy, ocucić, napoić gorącą herbatą i czymś tam mocniejszym... Gospodarze oczywiście nie odmówili pomocy, przy okazji której Witkacy z przyjacielem podjedli sobie, napili się herbaty i „czyste" do syta. Od Włodzimierza Wnuka wiemy, iż podobne przypadki „zamarznięcia" przytrafiały się przyjaciołom tego uroczego przechery dość często.

No i na tym można właściwie kończyć, bo i pora późna, i miejsca nie staje, chociaż — jak mawiał Wojciech Roj: — *„Tak było, wiecie, opowiadał, tak był opowiadał, ino ni mam co".*

Niejatywa utworzenia muzeum w Zakopanem wyszła od Adolfa Schotze. warszawskiego przemysłowca i społecznika. Powołano tzw. Towarzystwo Muzeum Tatrzańskiego im. Tytusa Chałubińskiego i 1 lipca 1889 roku, w domu Krzeptowskich przy dolnych Krupówkach, udostępniono pierwsze zbiory publicznosci. Nowy gmach do dzisiaj stanowiący główną siedzibę placówki (zaprojektowany przez Stanisława Witkiewicza), oddano do użytku 31 lipca 1922 roku. W okresie międzywojennym (1937 r.) powstało jeszcze dla Muzeum tzw. dwór Woniaków w Zubrzycy Górnej, na Orawie.

Od 1922 r. Muzeum Tatrzańskim kierował aż do śmierci (1965 r.) Juliusz Zborowski. Pod jego kuratelą Muzeum przebyło większych strat przetrwało lata wojny, Fakt ten odnotowały w 1947 r. „Wierchy": „najcenniejsza wazna placówka regionalna na Podhalu, przetrwała szczęśliwie okres okupacji niemieckiej. Straty w zbiorach są minimalne, natomiast największą szkodę przedstawia okoliczność przez to, że instytucja pozbawiona zupełnie zasobów finansowych i remontowania, wynagradzała dużych składów, aby ją doprowadzić do porządku i umożliwić nie tylko racjonalne korzystanie z budynków dla zbiorów i badaczy, ale także należytą konserwację samych zbiorów.

Dzięki wydatnej pomocy państwa, mimo że okres powojenny nie należał przecież do łatwych, muzeum zaczęło znów spełniać swe zadanie; i jako miejsce gromadzenia ciągle powiększających się zbiorów, i jako ośrodek pracy naukowej, a także — co równie ważne — jako placówka umożliwiająca licznym zwiedzającym poszerzanie wiedzy o Tatrach, Zakopanem, Podhalu.

Ciągły rozwój placówki w okresie powojennym to niewątpliwie zasługa jej dyrektora, JULIUSZA ZBOROWSKIEGO, którego Adam Pach wspomina jako człowieka, który na całe życie związał się ze Skałnym Podhalem, oczarowany jego pięknem, historią i sztuką. Człowieka, który związał się i z dobrymi, i ze złymi stronami górskiego życia. Po śmierci Zborowskiego przez długi czas nie potrafiono znaleść odpowiedniego kandydata na stanowisko dyrektora Muzeum. Dopiero w 1978 roku nowym stanowisko to objął TADEUSZ SZCZEPANEK, placówka zaczęła łapać drugi oddech.

Wróćmy jednak jeszcze do historii. Ważnym momentem staje się ustanowienie Muzeum w 1950 roku. Instytucja poszerza stopniowo zakres swego działania; również pod względem zasięgu terytorialnego. W 1952 r. następuje otwarcie oddziału „Tes", autentycznej chaty góralskiej, zakupionej jeszcze w 1919 r. przez dra Stefana Szymańskiego, a przekazanej Muzeum przez jego brata Tadeusza. Stefan Szymański przed śmiercią wyraził życzenie, aby „Tes" stała się własnością Muzeum Tatrzańskiego. Oddajmy na chwilę głos Janinie Szymańskiej, żonie Tadeusza, która do śmierci zamieszkowała sie chatą. Pisała ona w 1961 r. na łamach magazynu „Światowid": Stylową chałupę — domek brunatny niby z piernika — zbudował w ubiegłym wieku Grybiuk, który wtedy pracował w Kuźnicach, w tamtejszych kuźniach. Odkupił ją dr Szymański, lekarz, wielki miłośnik górali, zaczęczyny — taki Chałubiński XX wieku. Jest tam mnóstwo charakterystycznych mebli, łóżników, obonjek — i innych narzędzi gospodarskich, brązków na szkle, kaganków, spinek, fajek, instrumentów muzycznych. Wszyscy kajdany zbójnickie, nóż rzeźnicki przerobiony z miecza, kilka egzemplarzy pistoletów i karabinów, niektóre nawet skołkowe z XVII wieku, a także prawdziwa kosa rzeźnicka, bo górale brali udział w Powstaniu Kościuszkowskim.

W 1955 roku następuje otwarcie Muzeum Orawskiego w Zubrzycy Górnej. W dwa lata, później Muzeum przejmuje archiwum rodziny Witkiewiczów; myśli się o utworzeniu oddziału Muzeum, poświęconego Stanisławowi Witkiewiczowi i jego synowi — Stanisławowi Ignacemu czyli Witkacemu. Niestety, plany utworzenia filii w „Kolibie", pierwszej budowli w stylu zakopiańskim, zaprojektowanej przez Witkiewicza, do dziś nie doczekały się realizacji.

Już po śmierci Juliusza Zborowskiego, w 1966 roku, w willi „Opolanka" przy ul. Tetmajera, otwarty zostaje kolejny oddział Muzeum, poświęcony Kornelowi Makuszyńskiemu. Wdowa po pisarzu, Janina z Gluzińskich (1896—1972) przekazała liczne pamiątki po mężu: bogaty księgozbiór, rękopisy, listy, wycinki prasowe, fotografie.

A nazbierało się tego sporo, mimo że większość dorobku pisarza przepadła w toku zawieruchy wojennej. „Opolankę" można by właściwie nazwać muzeum dla dzieci — Makuszyński był głównie autorem książek dla najmłodszych — gdyby nie to, że odwiedzają ją bardzo chętnie i licznie... dorośli. No cóż? Człeik chętnie wraca do czasów dzieciństwa...

Z początkiem lat siedemdziesiątych zaczęto w Zakopanem snuć plany zorganizowania wzorzego skansenu; mającdy one odbicie w wielu oficjalnych wystąpieniach i deklaracjach. Dyrektor Tadeusz Szczepanek rzuca wszakże myśl tworzenia tzw. skansenu rozproszonego, co zresztą nie spotyka się z powszechną aprobatą. Jednakże autor tej koncepcji wychodzi ze słusznego założenia, że na Podhalu — jak nigdzie — jest naprawdę ogrom zabytków, które należy pozostawić na miejscu i po prostu otoczyć odpowiednią opieką. Tę ideę T. Szczepanek realizuje konsekwentnie, pomimo napotykania przeróżnych trudności. Przeprowadza się m.in. kompleksowe remonty konserwatorskie szałasów pasterskich — na Hali Skoły, Jaworzynce, Przysłopie Kominiarskim oraz 19 szałasów na Polanie Podokólne w Jurgowie. W ostatnich latach wykonano także mnóstwo prac dokumentacyjnej, objęto nadzorem konserwatorskim wiele obiektów, zabytkowych budynków.

W 132. rocznicę wybuchu Powstania Chochołowskiego otwarto w tejże miejscowości oddział Muzeum poświęcony największemu zrywowi ludności góralskiej w czasach zaborów. Oddział mieści się w starym domu pochodzącym z 1798 roku, a przebudowanym przez Jana Baśię — w 1889 r. Innym, ogromnie cennym, nabytkiem Muzeum Tatrzańskiego stała się kolekcja kobierców wschodnich ze zbiorów rodziny Kulczyckich, stanowiąca pełną reprezentację wytworów wszystkich ośrodków kobierniczych Małej i Środkowej Azji. Kobierce eksponowane są najwyżej przez trzy miesiące w roku, co wywołuje przeróżne komentarze, często bardzo złośliwe ale — niestety — częściej nie da się ich wystawiać, gdyż — jak twierdzą fachowcy — mogłaby nie wytrzymać osnowa. T. Szczepanek twierdzi, że kobierce, podobnie jak człowiek, ulegają zmęczeniu. W pozostałych okresach wykorzystuje się galerie na Kozińcu do wystawiania dzieł. Galerie zajęła niezsą się sporym powodzeniem. Galeria, od czasu zakończenia generalnego remontu, spełnia ważną funkcję, nawet jako miejsce koncertów kameralnych.

W 1979 roku Muzeum przejmuje dworek Tetmajerów w Łopusznej, z myślą o przeznaczeniu go na oddział poświęcony odkryciu Tatr i Podhala przez romantyzm polski. Otwarcie ekspozycji nastąpi w 1986 roku. Natomiast gotowa już jest, chociaż jeszcze nie udostępniona publiczności, zagroda Korkoszów w Czarnej Górce, ofiarowana Muzeum przez niekacjących obecnie w Bratysławie i Kiezmarku przedstawicieli starego rodu sołtysów śląskich. Do coraz bardziej powiększającego się rejestru nabytków zaliczyć trzeba zbiór karykatur Kazimierza Sichulskiego, pochodzących z kolekcji restauratora zakopiańskiego, Karpowicza-ojca, a przechowanych przez jego żyna, Adama.

Wspomnieć by należało także o zabytkowej chałupie legendarnego Jana Krzeptowskiego-Sabały, której remont zakończono w 1979 roku. Ekspozycja udostępniona została publiczności, poczym... chałupę zamknięto. Brak informacji o przyczynach tej decyzji spowodował kolportowanie najprzedziwniejszych plotek. Mówiono mi... że chałupa po prostu się wali. A przyczyna zamknięcia jest nader prozaiczna: do tej pory nie uregulowane sprawy własności ziemi przyległej do zagrody, a stanowiącej teren prywatny. Dopiero po uregulowaniu tych spraw unikalny obiekt może zostać z powrotem udostępniony zwiedzającym.

Ostatnim nabytkiem Muzeum jest Galeria Hasiora. Wybitny artysta otrzymał wreszcie miejsce do pracy i wystawiania, a także przechowywania swoich dzieł.

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

Oprócz Sabały w literaturze podhalańskiej niewielu znalazło miejsce gawędziarzy czy pisarzy ludowych, których twórczość cieszyłaby się tak wielką popularnością, jak Stanisław Krzeptowskiego Białego. Jego opowiadania, częściowo drukowane w prasie jeszcze przed I wojną światową, weszły z rękopisów w roku 1961 Włodzimierz Wnuk w zbiorze „Gawędy góralskie". W ubiegłym roku ukazało się już drugie ich wydanie.

Stanisław Krzeptowski Biały urodził się w 1860 roku w Kościelisku, wsi — jak pisze Wnuk — bogatej w talenty artystyczne. Bylhonorowym członkiem Związku Podhalan. Zmarł w 1932 roku w Zakopanem i tam został pochowany na nowym cmentarzu.

Krzeptowski Biały to człowiek niezwykły. Pasjami lubił rybołówstwo, polowanie, najmował się także handlem. Niemal wszytkie te namiętności odziedziczył po swoim ojcu. Jednak i chociaż należał do najweselszych, najbardziej towarzyskich ludzi, to — jak pisze jego synowiec, Włodzimierz Wnuk — niekiedy ten gwiainy samouk lubił się w osobnej izbie, do której nikomu, nawet z najbliższej rodziny, nie było wolno wchodzić. I tam snisywał swoje bajki, gawędy i wspomnienia. Mimo rozległości zainteresowań i swoistej frywolności, Stanisław Krzeptowski Biały starał się odciąć od świata, ażeby w koncelaldzie spędzał od czasu do czasu potrzebę o poetycka sinuię swej wyobraźni, w izbie przybranej w głowy kozic, saren i jeleni powstała niejedna „gadka", którą później na wieczornicach góralskich rozweselał publiczność.

Wydany dorobek literacki Białego jest skromny: w tomiku znalazło się dziesięć gawęd oraz jedno dłuższe opowiadanie. Tematyka tych utworów ściśle wiąże się z Tatrami i życiem górali. Autor prezentujęci ich wszystko, co go najbardziej interesowało: polowanie, przygody w górach, pogranicznie utarczki ze strażnikami węgierskimi, wyprawy zbójnickie, niepowodzenia w gospodarce i w życiu rodzinnym etc. Ale podczas gdy u Sabały świat tatrzański ma wszelkie atrybuty fantastyczności, u Krzeptowskiego Białego jest jakby przetworzony przez artystę świadomego, umiejącego wykorzystać wydarzenia znane z autopsji i z literatury, zwłaszcza ustnej.

Wśród omawianych utworów nie brak też opowieści o bohaterach religijnych (.Odwiedziny, przygody i przypowiedzinie Pana Jezusa w Tatrach", „Jak święty Mocny w Skrzypcym Poszedł z wycyrkami"), w których świat ziemski przepłata się z irracjonalnym, a w wykorzystywaniu elementów fantastycznych Krzeptowski Biały przekracza najfmielszych. Na przykład w gawędzie osnutej wokół Sabały skumulował szczegóły biograficzne, wydarzenia wzięętymi z legendy o św. Jerzym, a więc uczynił z bohatera mocarza i pogromcę smoka, który niszczył bezlitośnie całe Podhale. Fantazja pisarza zdaje się tu nie mieć granic, nie przekraczając jnu przy tym prawdopodobieństwa. Rzecz znamienna, że to właśnie opowiadanie należało do najbardziej popularnych i lubianych w repertuarze „stryka z młyna", jak u Wnuków nazywano Stanisława Krzeptowskiego Białego.

„Stryk z młyna", napisał jeszcze jedno opowiadanie, w którym czołową postacią jest Sabała („Jak wykładał sen doktór Chałubiński Sabała"), ale nie jest on pionierem wprowadzającym swego legendarnego stryja do literatury. Uprzedził go w tym Andrzej Tylka Suleja, który poświęcił o Sabale dwa świetne wspomnienia: „Sabałowa piosnka" i „Sabałów sen".

Dłuższe opowiadanie o tematyce społeczno-obyczajowej — „Na Heredzie u Clarków" — zdaje się nie zakończone. Krzeptowski Biały nawiązuje w nim do tzw. nurtu pażbrdnawiającego w literaturze podhalańskiej, któremu początek dał Wojciech Brzega, prezentując dzieje starych i sławych rodów góralskich. Wspomnieniowy rodzaj prozy nie należy do najbogatszych w Zakopanem, jest raczej rodzinną typową, ale rozbudowana opowieść o dziejach rodziny Clarków pozwala przyjąć, iż autor zamierzał napisać utwór większy, oparty na wydarzeniach z życia współczesnego. Ta próba wyjścia Krzeptowskiego Białego poza tradycyjną literaturę ludową, stał miejscowych wierzeń i podań, odsłania jego wielką swobodę w konstrukcji akcji oraz w prowadzeniu narracji i świadczy o niemałym talencie artystycznym tego pisarza. W opowiadaniu uderza doskonałe ukazanie mentalności i obyczajowości podgórskich górali; „stryk z młyna" nie tylko posiadał b.stre spojrzenie psychologa i znał wyśmienicie duszę górską, lecz równocześnie umiał z dużą plastyką zarysować życie psychiczne górali, tworzyć bohaterów autentycznych. Opisy zrzeszkowia, wesela, przedek rzeczycznych itp. są wyborne, doskonale zharmonizowane z treścią opowiadania, które posiada pierwszorzędne wartości poznawcze, niekiedy o unikalnym znaczeniu, a towarzyszy im forma świadcząca o dojrzałości artystycznej pisarza, w pełni rozumiejącego wartość słowa.

Większa część gawęd Stanisława Krzeptowskiego Białego zabawiona jest humorem, niekiedy graniczącym z frywolnością. Jednak ten humor i komizm spełniają w jego opowiadaniach określoną funkcjepomocną i estetyczną.

Stanisław Krzeptowski Biały spisywał, a także częściowo pod kolnie życia dyktował swoje gawędy opowiadania osobom specjalnie w tym celu wydelegowanym przez ówczesny Związek Górali.

Był człowiekiem nie tylko piśmiennym, lecz także pobytym i ocytanym. Wpłynęło to korzystnie na komunikatywność tekstów i ich popularność. Można jednak w utworach Krzeptowskiego Białego znaleść sporo pięknych i oryginalnych wyrazeń gwarowych, cennych dla poznania walorów i bogactwa języka górali podtatrzańskich.

ANDRZEJ JAZOWSKI

Nowoczesne obrachunki

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

1944 roku, krok po kroku budując gospodarkę wraz z nią budowała liczebność, awans i siłę klasy robotniczej. Polityczni liderzy „nieuzależnego" ruchu uderzyli przede wszystkim w gospodarkę, niszcząc ją, pozbawiając robotników ich siły i osłabiając ich znaczenie. Samych robotników wystawili na długotrwałe skutki krótkotrwałej histerii strajkowej. Ten fakt zasadniczego znaczenia ukazuje różnicę między nami i nimi.

W rachunku spraw, przed którymi pozostaniemy i w Nowym Roku, utrzymają się na pierwszym miejscu dwie, nadal najważniejsze.

Pierwsza, to potrzeba sprostania konfrontacji. Nie napawa nas lękiem rywalizacja między kapitalizmem a socjalizmem. Nie lękamy się zmagań o wpływ na kształtowanie ludzkiej świadomości — to naturalny stan. Świadomi jesteśmy, że Zachód zdecydował się na propagandową agresję, na łamanie wszelkich tradycji rycerskiego prowadzenia tej walki. Ryzyko tkwi obecnie w tym, że z nst R. Reagana padają słowa, które czynią wojnę prawdopodobną. Przypomnijmy: *„imperium zła", „antykomunistyczna krucjata"*. Przypomnijmy ocenę Ludwiga Ratzingera, prefekta Kongregacji ds. Doktryny Wiary, który, przy okazji potępienia „teologii wyzwolenia", nie kraje dotknięte bezwzględną grabieżą ich pracy ale kraje socjalistyczne nazywa *„hańbą naszych czasów"*. Z tamtej strony w ocenie przeciwnika brak śladu obiektywizmu, brak ocen innych niż totalne. Całe narody stają się, jeśli nie wymuszają na swej władzy podziwu dla Ameryki, i dla haseł proponowanych przez twórców ideologii krucjaty. Sytuacja jest nowa i niebezpieczna... Rzuca się takie hasła i takie oceny, by prowocić z wojną, by było łatwo wezwać do nowej, oczywiście „świętej wojny".

Nie tęsknimy do wojny nosząc w sobie głębokie blizny po poprzedniej. Nie mamy celów, dla których byłaby nam potrzebna, ale gdy zwołuje się armie krucjaty i otwarcie uzasadnia jej celowość, alternatywa dla nas jest prosta. Trzeba też budować siłę, zarówno polityczną, wojskową jak i moralną, taką by zaszachować autorów takich planów, czy sparaliżować ich cele i przygotowania. Oni respektują tylko silnych. Słabym każą się obsługiwać i podziwiać. Ochrona pokoju nabrała znaczenia dramatycznego. Trzeba nadal wychowywać dla pokoju ale nade wszystko trzeba go codziennie i dosłownie ochraniać.

Druga potrzeba to umocnienie państwa tak, by było zdolne nie tylko gwarantować ład i praworządność, ale skutecznie wypełniać swe funkcje wobec gospodarki. W warunkach naszego ustroju słabość pociąga za sobą ruchawłość wszelkich żywiołów chętnych do jego zniszczenia, to oczywista prawda. Ważniejsza od niej jest jednak ta, która mówi, że osłabienie państwa, gdy następuje po zmiesznieniu wielkiej własności środków produkcji, oznacza najpierw i przede wszystkim nieskuteczną organizację gospodarstwa narodowego. Słabość państwa materializuje się w funkcjonowaniu gospodarki i w tej właśnie sferze stan słabości kładzie się długim cieniem, dramatyzując warunki istnienia osób, klas, narodu.

Ze zrozumiałych przyczyn (myślę o trwającym już parę lat osłabieniu prawa, a przede wszystkim w konsekwencji brutalnego ataku na praworządność), mówi się mniej o wzajemnym związku między siłą państwa a sprzecznością gospodarki, a on właśnie stanowi jeden z filarów politycznych decyzji XVII Plenum KC PZPR. Osiągnięcie sprawnego funkcjonowania gospodarstwa narodowego, składającego się z tak silnie zróżnicowanych struktur, jest nie do pomyślenia bez umocnienia socjalistycznego państwa, które — jeśli pomyślimy o klasach na których się wspiera — jest organizacją niemal całego narodu. Dróg wiodących w tę stronę wskazać można wiele ale o jednej powiemy w tym miejscu dobitnie. Każda powstająca inicjatywa socjalistycznej demokracji, każda ustawa lub uchwała rady narodowej ma sens, o tyle, o ile sprzyja skutecznej pracy i owocnemu tworzeniu. Gdy zaś odnawia tę nić politycznych tradycji, która umożliwiała teoretycznie każdemu a praktycznie nielicznym, możliwość przeszkadzania i to przeszkadzania bezkarnego — jest głęboko szkodliwa i niebezpieczna. To prawdę trzeba wkomponować we wypadki, coraz powszechniejszy wysiłek, by umocnić nasze państwo.

Co w tym wysiłku ma naprawdę znaczenie? Odpowiedź zamyka się w jednym słowie: **PRACA.** Każdy praktyczny krok, każde słowo wyzwalające energię dla społecznych celów, skłaniające do wysiłku, do pracy, jednoczy nas, ma wielką rozkoszną moralną siłę wobec w obecnych warunkach praca nigdy nie jest zachowaniem tylko egoistycznym. Zawsze ma w sobie element służby innym ludziom, jest w niej cząstka tak potrzebnego nam altruizmu. Tę ważną część doświadczeń, ostatnich zwłaszcza lat, przenieśmy z troską i szacunkiem na Nowy Rok.

WŁADYSŁAW LORANC

SPRAWA ANTONOVA

Najwyższe włoskie instancje sądowe, oskarżając Bułgarię o współudział w zamachu na życie papieża Jana Pawła II w maju 1981 r., domagają się procesu sądowego obywatela bułgarskiego Sergieja Antonowa, Jednym elementem śledztwa, na którym opiera się teoria o „powiązaniach bułgarskich", jest zeznanie Mehmeta Ali Agcy, złożone w półtora roku po dokonaniu zamachu.

Aresztowanie Antonowa, pracownika biura linii lotniczych „Balkan" w Rzymie, było przeliczeniem do rozegrania bezprecedensowej kampanii antybułgarskiej według wcześniej opracowanego scenariusza. Zawiera on dwie wersje. Według pierwszej, zamach na papieża był zorganizowany rzekomo „za wiedzą Bułgarii", działającej godnie z „instrukcjami tajnych służb radzieckich". Zakłada on, że Związek Radziecki rzekomo chciał śmierci papieża, by pozbyć się jego żywiołu politycznego. Z drugiej zaś wersji scenariusza wynika, że za rozwój terroryzmu, który w tym czasie dosłownie opanował Włochy i Jana Pawła II, odpowiedzialność ponoszą państwa komunistyczne.

Z czasem wszystko na jaw, że zeznania Agcy są czystym wymysłem. Były minister obrony Włoch, Lagorio przyznał, że Agca złożył je po tym, jak włoskie służby specjalne uwiązały z nim kontakt w więzieniu.

W czasie gdy prokuratura włoska stwarza podstawę prawną do rozpoczęcia procesu, prasa zachodnia, a zwłaszcza amerykańska, rozpętała szeroką kampanię propagandową, której celem jest wykazanie istnienia „śladu bułgarskiego" w zamachu na życie papieża. Główną rolę w tym odgrywają Michael Ledeen i C. Sterling i P. Henzi, autorzy książek „Czas morderców" i „Spisek w celu zabójstwa papieża". Twierdzą oni, iż Redtowo w „jawnie" „spisek komunistyczny przeciwko papieżowi" i, że istnieją na to „przekonywające dowody". Dowodzi autorzy związani są z pismem „Reader's Digest". Latem 1981 r. redakcja wynajęła Henziego, który w latach 1974—1977 kierował biurem CIA w Turcji, do zbadania życia Agcy w tym kraju. Po zakończeniu śledztwa „Reader's Digest" zlecił pani Sterling przygotowanie artykułu na ten temat. W rezultacie ona sama zajęła się śledztwem, czerpiąc informacje głównie ze źródeł włoskiego wywiadu. W krytycznej recenzji tych dwóch książek, zamieszczonej w „New York Times", czytamy m.in.: *„Zadna z tych książek nie przedstawia przekonujących dowodów na to, że Agca kierowała Bułgaria. Dlatego też czytelnik musi zrobić duży skok, aby wydostać się z ciemnego podziemia Agcy, przepełnionego pungsterami i fanatycznymi „szarymi wilkami" i znaleść się w opracowanej przez Sterling i Henzi hipotezie, w myśl której KGB, chcąc unieszkodliwić ruch związkowy „Solidarność" w Polsce, targnęło się na życie papieża. Nawet jeśli ktoś zechciałby zaakceptować się na taki skok, przyzna, że hipoteza ta zawiera poważne sprzeczności".*

Dobrze poinformowane pismo amerykańskie „Covert Action" stwierdza, iż jest rzeczą oczywistą, że Agca nie jest odkrywcą „śladu bułgarskiego", a organizacja terroryzmu antypapieskiego nie uda się zatrzeć śladów prowadzących do siedziby CIA w Langley.

Uczeni amerykańscy Frank Broadhead i Edward Herman, badając kontakty i działalność Agcy poczący od 1979 r. ustalili, że wszyscy, którzy udzielali mu pomocy w okresie od wyjazdu z Turcji do dnia zamachu, powiązani są z tureckim ruchem faszystowskim. Wszystkie kontakty Agcy prowadziły do organizacji „szarych wilków" i Narodowej Partii Akcyjnej (NPA). Skłoniło to Broadheada i Hermana do odrzucenia „pobieżnie sformułowanej" hipotezy amerykańskiej, określonej przez nich jako „powiązania turecko-faszystowskie". Ich zdaniem istnieją dwa ogniwa.

Pierwszy — Agcy i jego przyjaciół, członków tureckiej organizacji „szare wilki" i Narodowej Partii Akcyjnej, którzy zamierzali zabić papieża kierując się własnymi pobudkami, łatwymi do wytłumaczenia w oparciu o ich ideologię, tradycje i przeszłość. Drugi spisek powstał wśród frakcji politycznych, służb wywiadowczych, rządów i ważnych kół w zachodnich środkach masowego przekazu, wykorzystujących okazję do ukucia spekulacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu w celu stworzenia na Zachodzie sytuacji mobilizującej, służącej im celom.

Prasa turecka wielokrotnie podkreślała, że ruch neofaszystowski „szare wilki" jest finansowany przez koła USA w Europie Zachodniej. Jedynym z agentów CIA, współpracujących z neofaszystami, jest Ruzi Nazar (Nazarow), dyrektor „Radio Wolnej Europy", który swego czasu przesedł na stronę armii hitlerowskiej, a po wojnie został pracownikiem CIA. Obecnie pracuje on w ambasadzie USA w RFN i utrzymuje tam kontakty z „szarymi wilkami" i organizacjami tureckich neofaszystów.

Stosunkom pomiędzy prawicowymi ekstremistami w Turcji, CIA i służbami wywiadowczymi innych państw NATO dowiodły miejsce podwojeń w zwłaszcza pt. „Papież-mafia-Agca" tureckiej dziennikarz i adwokat Ugura Mumdżu. *„Agca — mówił Mumdżu zawsze kłamie. Kłamie, aby zwiąścić śledztwo i skierować je na niewłaściwy ślad i tym samym osłonić stojącą za nim organizację i przyczynić się do wyzysku innych".* Ugura Mumdżu wyśmiewa poczynania agentów CIA C. Sterling i P. Henzi, którzy nie zdołali głośno o „kontaktach Agcy z tajnymi służbami bułgarskimi i radzieckimi" nie mając na to żadnych dowodów. W przeciwieństwie do „oficjalnodziennikarskiego „Monitor" poświęconej zamachowi na życie papieża podkreślono, że był on „zamachem, który i zorganizowany *przez grupę tureckich ekstremistów prawicowych, kierujących się motywami religijnymi i politycznymi"* i *„o ile w Bułgarii istnieją wiedzieli tylko służby na Zachodzie".*

Wielu komentatorów zadaje sobie pytanie, czy nie należałoby dostrzec w zamachu na papieża roli kół neofaszystowskich? Przypomnijmy, że zamach ów miał miejsce dokładnie 13 maja 1981 r. na placu Św. Piotra, miała miejsce kolejna próba zamachu na Jana Pawła II, tym razem w Portugalii. Na życie Ojca Świętego targnął się w tym dochowany hiszpański Juan F. Kron. Jest on neofaszystą i zwolennikiem niekiejnego lut dyktatora Franco. Dlaczego neofaszyści dwukrotnie próbowali zabić przywódcę Kościoła rzymsko-katolickiego? Czy europejskie i pozaeuropejskie ruchy neofaszystowskie miały w tym jakiś interes? Nie ulega wątpliwości, że Jan Paweł II jest przeciwnikiem komunizmu, ale w drugiej strony Watykan pod jego kierownictwem nie stawia na militarystyczną politykę NATO i USA, nie popiera wyścigu zbrojeń jądrowych, odcina się od rozniecenia eurokaist, Papież dla tej pory sprzeciwia się zadaniu administracji R. Reagana „przywołania do porządku" duchownych biorących aktywny udział w ruchu pokojowym w USA i Europie Zachodniej. Nie jest on również skłonny do oskarżania bądź odsunięcia od Kościoła postępowych duchownych katolickich, którzy opowiadają się przeciwko dyktatorskim reżimom faszystowskim w Ameryce Łacińskiej.

Pod koniec grudnia 1983 r. gazeta „L'Humanité" wskazała na jeszcze jedno możliwe powiązanie z próbą zamachu na Ojca Świętego. Przypomniała ona, że starać się papież Jan Paweł II podjął działania w celu „uzralizacji" finansów Watykanu, którą już od dawna były kontrolowane mafią włoską. Wkrótce z powodu wątpliwych transakcji, w tym także ze Stolicą Apostolską, zbankrutował „Banco Ambrosiano", który w październiku roku 1982 r. rada dyrekcyjna banku odwołała ze stanowiska prezesa Roberte Calvieja, którego mafia włoska dokładnie oplenzione na jednym z mostów w Londynie. Syn Calvieja złożył potem zeznanie, w którym zeznał, *że najczęściej się odbyć procesy spełacyjnym mąż ojciec zamierzał powiedzieć wszystko co wie i podać nazwiska osób, uczestniczących w ruchu „Banco Ambrosiano". Było to podstawą, by przypuszczać, że jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie.* Zeznania jeszcze, że Calvi wchodził w skład znanej loży masońskiej „P-2", która była ściśle związana z neofaszystami i tajnymi służbami specjalnymi USA.

Kampania dezinformacji dotycząca „śladu bułgarskiego" służy wielu celom. Jej organizatorzy chcą przede wszystkim stworzyć atmosferę zagrożenia, w której skrajnie prawicowi działacze państwowi i polityczni USA i NATO mogliby przyjąć postawę przeciwnika ruchowi antywojennemu, podważać stosunki Wschód — Zachód i politykę odprężenia, odwracać uwagę społeczności od planów Waszyngtonu, zmierzających do przekształcenia Europy w teatr działań wojennych. Akcentowanie „zagrożenia" ze strony zwiększa do komunistów, „knujących spiski" przeciwko Ojcu Świętemu i rozpalania nastrojów antykomunistycznych i antyradzieckich wśród milionów katolików na całym świecie, w tym także w Polsce.

Fakty świadczą o tym, że „powiązania bułgarskie" są jednym z etapów ogłoszonej przez prezydenta R. Reagana „krucjaty" przeciwko pokojowi i socjalizmowi.

GEORGIJ ANGEŁOW

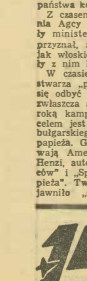

PARTYZANCKIE ŚCIEŻKI

Oddziały „Zar" i „Wisła" jeszcze przed połączeniem się prowadziły wspólne akcje. Plan został uzgodniony z dowódcą 10 Okręgu AL, Franciszkiem Martyną. Do 11 października 1944 roku wykolejono 8 pociągów na liniach: Skwirna — Sucha, Skawina — Oświęcim, Skawce — Wadowice, Wadowice — Kalwaria Zebrzydowska. Zniszczono urządzenia kibryzne w zakładach chemicznych w Kwiezoie, u ujścia Skawy do Wisły.

Po tych akcjach kpt. „Sabinow" udał się wraz z sześcioma partyzantami na teren włączone do Rzeszy, skąd powrócił na Babią Górę dzięki odmiennej zapowiedzianego zrzutu broni, amunicji i materiałów wybuchowych oraz wznowieniu kontaktów — w celach operacyjnych — z oddziałem „Wilka".

Zrzut nastąpił — zgodnie z zapowiedzią — 2 listopada. Oddział „Wisła" przystąpił do dywersji na liniach komunikacyjnych na odcinku Kalwaria Zebrzydowska — Sucha, w okolicach Wadowic, Jordanowa, Makowa Podhalańskiego, Chabówki, Rabki i Nowego Targu.

Urządzano też zasadzki na transporty samochodowe na szosach. Między innymi w końcu października zaatakowano kolumnę samochodów wojskowych koło Zubrzycy Górnej na przejeździe Krowiarki. Zginęło wówczas 60 hitlerowców i spłonęło 20 samochodów. W rejce partyzantów wypadła większa ilość broni, amunicji i mundurów.

Polsko-radzieckie oddział, którym dowodził kpt. „Sabinow" i jego zastępca „Zyro", walczył na Podhalu i w Krakowskiem aż do styczniowej ofensywy Armii Radzieckiej.

W sierpniu 1944 roku utworzone zostały na Nowotarzu dwa oddziały partyzanckie, podporządkowane organom bezpieczeństwa państwowego Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej: oddział im. Szczorsa pod dowództwem kpt. Władimira Macniewa („Potiomkin") orąz oddział „Wybuch" z dowódcą mjr. Andrejem Bielawcewem („Dowgałow") na czele.

Na początku października znalazły się w Nadziei Żywieckim, w rejonie Babiej Góry. Od Lewowcza szlak marszu „potiomkinowców" wiódł przez wieś, Jaworzynę, Góry Pogórza Ciężkowickiego, Przeszczyli rzekę i dążyli do masywu leśnego Bukowca, Jasach Bukowca i Jamnej kwaterowale południowe zgrupowanie 15 pułku piechoty AK — 1 bataliom, dowodzony przez kpt. Eugeniusza Borowskiego („Leliwa"). 18 września patrol „Potiomkina" natknął się w pobliżu Jamnej na czujkę oddziału „Leliwy". Doszło do spotkania obu dowódców. Po trzech dniach pobytu w rejonie Falkowej — Jamnej oddział „Potiomkina" ruszył dalej ku Dunajcowi, zaopatrzony w cukier, mąkę i kaszę, a także żywiec w postaci ochrzczonej świni. W rewanżu za te dary radzieccy partyzanci przekazali „Leliwie" kilka sztuk broni maszynowej wraz z amunicją.

Wkrótce po odejściu „Potiomkina" spotkał się w pobliżu Jamnej oddział „Wybuch" mjr. „Dowgałow". Pozostał w tej okolicy przez cztery dni. Dołączył z batalionu „Leliwy" 47 obywateli radzieckich. W trzeciej rusy w kierunku zachodnim w ślad za oddziałem „Potiomkina".

Po wymarszu z Bukowca partyzanci „Potiomkina" przekroczyli Dunajec u ujścia Łososiny, między Rozdzielnem i Cichowem. Następnie szli ku Beskidowi Wysowemu, na północ od Limanowej. Po drodze natknął się oddział na dużą grupę Niemców we wsi Krosna. Wywiązała się walka. Niemcy zostali rozbici, ale zginął następca dowódcy plutonu zwiadu, Władimir Pastuszek („Bystry"). Kolejnym miejscem postoju była góra Kostrza, na północ od Tymbarku. Tu partyzanci rozbili obozowisko. Dowódcy oddziałem BCh „Bicza", w którym znajdowali się dwaj żołnierze radzieccy zbiegli z obozów jenieckich: Ukraińcy — ppłk Konstantin Iwanowicz starszyna Iwan Pankow. Dalszy szlak partyzantów „Potiomkina" wiódł przez Jodłownik, Szczyrzyc i Pilzno. W Pilznie przekroczył w bród Rabę, następnie w miejscu Jordanowem i Osiekach przeszedł do Suchej Góry pod Polską. Niebawem nawiązał łączność z centralą i ugodnił miejsce oraz termin zrzutu materiałów wybuchowych, broni i amunicji. Zrzut nastąpił 3 października na Polanie Hurkowej — piętnaście zasobników. Sprawiło to partyzantom niemałą radość, bo amunicja była na wyczerpaniu, a i oddział się powiększał — i potrzebował broni.

W kilka dni po zrzucie dotarł w ten rejon oddział „Wybuch" i zakwaterował na Hali Śmietanowej. Jego dowódca, „Dowgałow", wyraził zamiar kontakt z „Potiomkinem". Wkrótce szlab marjdował się w Suchej Górze — w wioskce położonej wzdłuż Rabki w pobliżu Zawoi. „Potiomkin" rozpoczął akcję dywersyjno-sabotażową w rejonie Makowa Podhalańskiego.

Koncentracja radzieckich i polskich oddziałów partyzanckich w masywach Babiej Góry i Pobiery oraz przybierająca na sile działalność dywersyjna na linii kolejowej Sucha — Chabówka spowodowała niemiecką kontrakcję przeciw radzieckim oddziałom partyzanckim kpt. „Potiomkina", mjr. „Dowgałowa", płk. „Kalinowskiego" i kpt. „Sabinowa". Wszystkie te oddziały ściśle ze sobą współdziałały i rozwinęły wspólnie wspólnych akcji, mając zaprzątnąć hitlerowcy system zaopatrzenia front, przez dywersje na liniach kolejowych i na drogach przez przecinanie linii łączności, niszczenie różnego rodzaju sprzętu wojskowego itd., co miało zamęt na bezpośrednim zapleczu frontu.

W połowie października. Niemcy przystąpili do działań przeciwpartyzanckich. Najpierw ściągnęli w rejon Babiej Góry poważne siły Wehrmachtu i policji, prowadząc jednocześnie intensywne rozpoznanie lotnicze. Okrążenie szykowali z trzech stron: od Sidziny, Zawoi i Zubrzycy. Zwiad partyzancki oceniał siły niemieckie jako dwuplutonowe. Przyjęcie walki w tych warunkach byłoby nierozsądne, toteż na wspólnej naradzie dowódcy oddziałów radzieckich i polskich zdecydowali, że oddziały będą się przedzierać, każdy na własną rękę, by nie dać się wziąć w okrążenie.

Polskie oddziały skierowały się na północ od Babiej Góry, w stronę Kojsówki, Sulkowic i gór Chełm. Oddział „Wisła" dowodzony przez kpt. „Sabinowa", przeszedł na tereny podkrakowskie, namoknięte oddziały im. Szczorsa, „Wybuch" i „Wilk" połączyły się i pod dowództwem kpt. „Potiomkina" zamierzały przejść na stronę słowacką.

Inż. WŁODZIMIERZ MACNIEW, legendarny „Potiomkin", dowódca brygady imienia Szczorsa.

14 października objuczeni bronią, amunicją, środkami wybuchowymi i żywnością partyzanci opuścili bazę na Suchej Górze, rozchodząc się w różnych kierunkach.

„Potiomkin" maszerował przez Halę Śmietanową i Halę Krupową ku szczytowi Policy, a dalej przez Głoniaik i Przegiętą Krowiarki na Sokolicę, w szczytowej partii masywu Babiej Góry. Od Sokolicy szedł marszem ciągłym w kierunku Orawskiej Półgóry. Wielka liczba samochodów z wojskiem niemieckim, jadących w kierunku Zawoi, zdawała się potwierdzać domysły, że Niemcy zamierzają jak najszybciej zamknąć pierścień wokół Babiej Góry również od strony Słowacji. Połączone oddziały zdołały więc wyrwać się z okrążenia, zanim jeszcze zamknęły się kleszcze niemieckie, i posuwały się dalej południowowschodnimi stokami Pilska, przez Robczę do Schlenzego. Tutaj skontaktował się „Potiomkin" z Pawłem Letrichem, komunistą słowackim, przewodniczącym konspiracyjnej Rewolucyjnej Rady Narodowej Obwodu Doliny Kubin.

Wkrótce po wizycie Pawła Letricha na zgrupowanie radzieckich partyzantów w Schelnym rozsadyła wieść o obławie niemieckiej. Patrole nieprzyjacielskie wzmożenie rozpoznały ruchy nieprzyjaciela, co pozwoliło partyzantom zająć stanowiska i z zasadzki przyjąć nieprzyjaciela gwałtownym ogniem. Zaskoczeni Niemcy ponieśli poważne straty i zostali zmuszeni do panicznego odwrotu.

Po zwycięskim boju w Schelnym płk. „Kalinowski" podzielił pozostałe w okolicy oddziały i do przerwania przez Niemców akcji w Paśmie Babiogórskim, by znów powrócić na stronę polską, w Beskid Żywiecki.

W połowie listopada, mając za sobą kilka starć z Niemcami, „Potiomkin" zatrzymał się na postój w Orawskim Białym Potoku. Wkrótce zgłosił się do oddziału Rudolf Samardak, rodem z Zakopanego, związał się z partyzantami radzieckimi aż do końca wojny. Wcześniej Samardak walczył z Niemcami w różnych formacjach: na kurierskich szlakach, wiodących przez Słowację do Węgier, w partyzanckich oddziałach na Podhalu i Orawie i wreszcie w partyzantach słowackich.

W tydzień po przybyciu Samardaka oddział rusz[illegible] dalej — przez Góry Hoczańskie na Lipitów — i zatrzymał się na nocleg w Niżnych Lipitowskich Matiaszowcach. Nad ranem z wysunięcia na przedpole wartownicy nadeszła wiadomość o zbliżaniu się jakichś pojazdów, a czyni świadczyć przybyszy o złe odgłos silników. Z ciągł świtu wynurzyła się tankietka, a za nią samochody ciężarowe i wtedy Samardak pic wszy otworzył do niepryjaciela ogień z rusznicy przeciwpancernej. Cała kolumna niemiecka została rozbita — nikt z niej nie uszedł z życiem. Po boju w Liptowskich Matiaszowcach oddział im. Szczorsa ruszył w kierunku wsi Ziary, a stamtąd do Doliny Żarskiej do Tatrach Zachodnich, gdzie przybył również oddział „Sokoła", który poniósł znaczne straty w boju z niemieckim garnizonem w Dolinie Bobrowskiej, po słowackiej stronie Tatr Zachodnich, w sąsiedztwie Doliny Chochołowskiej.

W Samardakiem w Dolinie Żarskiej znaleźli partyzanci nową bazę. Usprawnienia została łączność radiotelegraficzna z „Wielką Ziemią". Centrala zaskoczeństwa nowo utworzoną — z połączonych oddziałów partyzanckich „Potiomkina", „Liptowskiego" — Brygadę im. Szczorsa. W ramach brygady został utworzony także polski oddział „Grunwald", którego dowództwo objął Rudolf Samardak („Janowski"). Pod koniec listopada oddziały Brygady im. Szczorsa rozeszły się w różnych kierunkach. Rudolf Samardak pomaszerował ze swoim oddziałem przez Kopaniny na południe Podhale, gdzie rawiązał współpracę z organizacjami ruchu oporu w Zakopanem, Porominie, Chochołowie i Kościelisku. Spenetrował teren Podhala, nie omieszkał wkroczyć do Doliny Kościeliskiej i odwiedzić schronisko na Hali Pisanej, gdzie gazdowała Anna Pitoniowa z szesnastoletnią córką Janiną. Dotarł w końcu na Halę Tomanową i tam natknął się na Stanisława Rapsa („Kmiecia"), który wraz ze swą partyzancką drużyną biwakował w szałasie.

Na słowacką stronę powracał Samardak z zamysłem przeniesienia „Potiomkinowców" — ewentualnej przeniesienia brygady na polską stronę Tatr. „Potiomkin" zwlekał z podjęciem decyzji, ponieważ w najbliższych dniach miał nastąpić zrzut broni. W pierwszych dniach grudnia Niemcy zmuszawszy mi silami uderzyli od wsi Ziary ku Dolinie Ziarskiej. W walce brały udział samoloty wielozadaniowe — dwa typy. Brygadzie im. Szczorsa z trudem udało się odegrać wielokrotnie bezawiane ataki wroga, wspierane ogniem małokalibrowych dział i tankietek.

Po odebraniu zrzutu i naradzie z oficerami „Potiomkin" postanowił przeprawić się na północną stronę Tatr, by połączyć się w Dolinie Rohackiej z radziecko-słowacką Brygadą im. Stefańika, którą dowodził Jozef Pavel Wielicka. W schronisku „Tatlakowa Chata", gdzie miało nastąpić spotkanie, pie znaleźli jednak partyzantów Wielickiej. „Potiomkin" postanowił wysłać patrol w celu zbadania aktualnej sytuacji w Dolinie Chochołowskiej i Kościeliskiej. Zanim jednak patrol wyruszył, w dole pojawiła się maszerująca ku schronisku niemiecka tyraliera. Partyzanci dopuścili ich na bliską odległość i po pierwszym odzewie otworzyli ogień jednocześnie ze wszystkich luf. Uderzenie Niemców załamało się, zostali zmuszeni do odwrotu.

Rankiem patrole zameldowały o nowych, znacznych siłach wroga, posuwających się ze góry Dolina Rohacką, „Potiomkin" wydał rozkaz powrotu do Doliny Żarskiej. Przedostali się tam przez Smutną Siodło. Ukryli się w schronisku pozostały tylko zwęglone szczątki i kamienne podpiwniczenie. Dzieła zniszczenia dokonali Niemcy poprzedniego dnia, bo po opuszczeniu schroniska przez Brygadę im. Szczorsa, na jego terenie pojawiły odrzyszcza „Pokowskin" zdecydował, że oddział „Liptowski" pozostanie na stronie słowackiej, a reszta brygady przeniesie się na stronę polskich Tatr Zachodnich.

W czasie przechodzenia przez Równię Żarską, w faldziem warunkach atmosferycznych, w gwiżnej zawiei śnieżnej, ocunął się w zlebie Bezrafica i ugiął partyzant Koła Kornielczuk. Aleksander Bielawcew, który będę go opiekował, się groziła mu amputacja. Patrol pod dowództwem Samardaka, wraz z lekarzem, a zarazem szefem sztabu, ppłk. Markiewnej przeszedł Sustrowo do schroniska w Podbańskiej, gdzie pod opieką partyzantów słowackich przetrwał do końca okupacji. Nogi nie stracił.

Po sześciu dniach pobytu w Dolinie Jamnickiej brygada ruszyła w górę Doliny Cichej i Tomanowej Liptowskiej, by przedostać się do Tomanowej Polskiej i Doliny Kościeliskiej.

„Potiomkin", gdy tylko rozłożył się obozem w bazowkach na Hali Tomanowej, Hali Pisanej, Dolinie i Dolinie Chochołowskiej, nawiązał kontakt radiowy z „Wielką Ziemią", informując o nowym miejscu postoju i pozycji, o ilości i głównie zwiadu i innych, które zapasy były na wyczerpaniu. Po dwóch dniach radiotelegrafistka „Janowska" odebrała zaszyfrowaną wiadomość: Jutro, godzina dwudziesta czasowa, odrzucić zrzut na Dolinie Tomanowej. Przygotować znaki rozpoznawcze. Daniłow.

Zrzut nastąpił punktualnie. Zdarzył się przy tym dość niezwykły wypadek. Zrzuconemu wraz z zasobnikami amunicji, zapałami, Michałowi Czechowowi („Tkaczewko") nie otworzył się spadochron. Na szczęście, spadł on na pokrytę kilkumetrową warstwą śniegu zbocze i wylądował bez szwanku, nieco tylko potłuczony. (Dokończenie nastąpi)

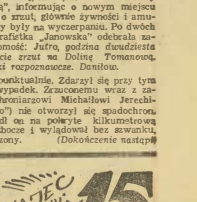

Ten zakątek województwa wstydu nam nie przynosi. Wprawdzie co jakiś czas narzeka się — nie bez racji — a to na krynicki handel i gastronomię, a to na komunikację i zaniedbania komunalne, ale w sumie tysiące ludzi przyjeżdżających tutaj dla poratowania zdrowia, chwali sobie Krynicę.

Okazją do refleksji o losach uzdrowiska na przestrzeni 190 lat, a także o jego dorobku w ostatnim czterdziestoleciu — był niedawny jubileusz 30-lecia Zespołu Uzdrowisk Krynicko-Poprzadzkich. Z okolicznościowego wystąpienia dyrektora Jerzego Skrzypskiego wybieramy kilka wątków, które zainteresują zapewne naszych Czytelników.

Zdjęcia JERZY ŻAK

■

W połowie XVI wieku w obrębie dóbr muszyńskich powstaje osada Krzeńcyce, później zwana Krynicą. Siedmiu kmieci z prawem wypasu dwustu owiec — taki był początek. Dopiero po dwóch stuleciach zagrzebana w górach wioska otrzymuje istotny impuls rozwoju: odkrycie wód mineralnych o właściwościach leczniczych. Pierwsze wzmianki pisemne o tutejszych zdrojach pochodzą z roku 1721. Pod koniec XVIII wieku znany jest skład chemiczny i walory lecznicze zdroju głównego, który 24 kwietnia 1793 roku wykupuje od miejscowych włościan komisarz z Nowego Sącza, Franciszek Stix von Saunbergen. Datę tę przyjmuje się za urodziny uzdrowiska.

Pierwszy właściciel nie miał szczęścia (lub wytrwałości) i po kilku latach, które przyniosły mu straty materialne, sprzedaje nabyte grunta wraz z zabudowaniami zarządowi Dóbr Muszyńskich. Na początku XIX wieku — przy wsparciu Komisji Gubernium Galicyjskiego — powstają pierwsze domy dla kuracjuszy i łazienki zabiegowe, wytyczona zostaje od urbanistyczna zdrojowiska, założono parkzdrojowy, poprawiono drogi. Już nie kilkudziesięciu, lecz pięciuset gości przyjeżdża do Krynicy. Rozpoczyna się butelkowanie wody mineralnej na dużą skalę (150 tys. butelek rocznie).

Od roku 1832 (po śmierci dr Stirba, pierwszego lekarza zdrojowego) — nastaje zły czas dla uzdrowiska. Nieporadność kolejnych prywatnych zarządców doprowadza do tego, że w roku 1852 rząd austriacki nakazuje zburzyć resztki zaniedbanych budynków i zlikwidować uzdrowisko. Nim decyzję wykonano, przybywa tu profesor Józef Dietl na czele specjalnej komisji „ratunkowej". Wysiłkiem utalentowanych lekarzy i organizatorów Krynica znów ożywa. Powstają łazienki mineralne i borowinowe, pijalnia główna z krytym deptakiem, drewniane pensjonaty ciesiące do dziś oko nie tylko znawców architektury. Przybywa rocznie kilkanaście tysięcy kuracjuszy, Krynica staje się modną w Europie — w czym zasługa m. in. goszczących tutaj artystów i pisarzy (Kraszewski, Fredro, Konopnicka, Asnyk, Reymont, Bałucki, Wyspiański, Matejko, Grottger, Gerson, Gierczyński, Modrzejewska).

W pierwszych latach naszego stulecia zbudowano wodociąg, oświetlenie elektryczne, linię kolejową do Muszyny. Prof. Zuber zaprojektował głębokie wiercenia dla zwiększenia wydobycia wód mineralnych. Władze austriackie hamują jednak rozwój Krynicy, gdyż staje się ona groźnym konkurentem dla uzdrowisk niemieckich. Zaczynają się kłopoty z infrastrukturą komunalną, tym większe, że szybko rośnie ilość kuracjuszy.

I wojna światowa nie zrujnowała obiektów, ale zastój w działalności leczniczej nastąpił niemal zupełny. Po odzyskaniu niepodległości Polski Krynica uzyskuje nowe impulsy rozwoju. Wielkie zasługi dla jej modernizacji położył inż. Nowotarski. Wprowadzenie centralnego ogrzewania obiektów wydłuża sezon także na okres zimy, powstają nowe łazienki mineralne, „Lwigród", „Patria", „Kasztelanka", Nowy Dom Zdrojowy. Stadion hokejowy, tor saneczkowy, skocznia narciarska, kortyk tenisowe, kolejka na Górę Parkową, ujęcie nowych źródeł wód mineralnych — przydają blasku głośnemu już kurortowi. Ale też ceny pobytu stają się coraz bardziej słone, czyniąc ję miejscowość wyraźnie elitarną.

40 tysięcy gości rocznie wymusza zwiększenie obsługi, co z kolei pociąga rozbudowę miasta. Powstaje szkoła, szpital, budynki administracji i handlu...

W czasie okupacji hitlerowskiej z dokrzeciejdzw uzdrowiska korzystają głównie Niemcy, którzy przeduciecżką niszczą część urządzeń leczniczych, a część cennieższą wywożą. Zaraz po wyzwoleniu Rada Miejska pod przewodnictwem dra Juliana Zawadowskiego i Państwowy Mieczysław Dukiet, Stanisław Jagielski, inż. Jarzębiński.

Radykalnie zmienia się społeczny charakter uzdrowiska, dominują wśród kuracjuszy ludzie pracy. Fale gości — po kilku latach taką jak przed wojną — zwiększa utworzenie Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Po różnych reorganizacjach wykrystalizowało się działające dziś Przedsiębiorstwo Państwowe pod nazwą Zespół Uzdrowisk Krynicko-Poprzadzkich. Od czasu połączenia przedsiębiorstw uzdrowiskowych Krynicy i Piwniczności, dyrektorami naczelnymi byli kolejno: Władysław Klimczak, Tomasz Ciągło, Alfred Potoczek, Edward Ligęza (dziś Jerzy Skrzypski).

30 minionych lat przyniosło znaczne unowocześnienie Krynicy. W 1945 r. pozyskano „Kasztelankę" i „Patrię" wykupioną przez państwo od Jana Kiepury. W 1966 r. zakończono rozbudowę Starych Łazienek Mineralnych, w 1970 r. powstała Przychodnia Zdrojowa i Biuro Usług, rok później — okazała Pijalnia Główna z salą koncertową. Później był remont generalny Nowego Domu Zdrojowego i kolejne modernizacje obiektów. Równolegle nastąpiła eksplozja budownictwa sanatoryjnego hrzandowego i zakładowego. Trwała rekonstrukcja i rozbudowa ujęć wód mineralnych (trzeba w tym miejscu zdementować nieuzasadnione pogłoski o wyczerpywaniu się krynickich zasobów wód mineralnych oraz zupełnie fantastyczne plotki o skażeniu tych wód ołowiem czy innymi trującymi substancjami). Produkcja butelkowanych wód leczniczych i stołowych z kilkuset tysięcy rocznie przekroczyła już 40 mln butelek.

Podstawowym zadaniem Przedsiębiorstwa jest udostępnienie walorów naturalnych Krynicy dla leczniczna balneoklimatycznego. Dziesiątki sławnych uczonych i cała rzesza lekarzy, pracowników technicznych, pielęgniarek i personelu zabiegowego od lat pracuje na renomę Krynicy. Doskonalily się metody leczenia, wzrosła liczba kuracjuszy (dziś jest ich codziennie tysiąc kilkuset w systemie sanatoryjnym i dwakroć tyle w systemieambulatoryjnym), załoga liczy 1100 pracowników. Przedsiębiorstwo jest wielkim hotelem, wielką dietetyczną jadłodajnią, a zarazem zespołem diagnostyczno-leczniczym z własnymi służbami geologicznymi, z zakładem produkcyjnym oraz ze sporym zapleczem transportowym, technicznym i administracyjnym.

W planach — dalsze modernizacje oraz rozbudowa bazy i infrastruktury (w tym — bardzo już przestarzałych kotłowni i sieci cieplnej). Przyszłość Przedsiębiorstwa, które w ciągu 30 lat leczyło ponad milion kuracjuszy, związana jest z rozwojem organizmu miejskiego

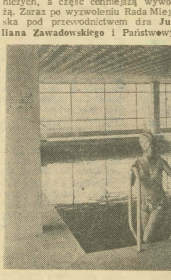

Zakład Zdrojowy kierowany przez Leona Nowotarskiego energicznie przystępują do uruchomienia uzdrowiska. Wielkie zasługi dla otwarcia sezonu w sierpniu 1945 r. położyli m. in: Ludwik Walczyk, Zygmunt Puchajda, Marian Piechura, Józef Nowak, Antoni Ozimek, Mieczysław Rak, Michał Wójcik, ojciec i syn Smoleniowie, Michał Bil, Tadeusz Kurkowski, Roman Nitribitt,

Krynicy. O zaniedbaniach na tym polu „Dunajec" pisał parokrotnie. Potrzeby miasta i uzdrowiska przekraczają obecne możliwości regionu i państwa. **Życzyć wypada Krynicy i Zespołowi Uzdrowisk pomyślnego rozwoju gospodarczego kraju, bo jest to jedyna szansa otrzymania niezbędnych środków, koniecznych dla rozwoju perły naszych zdrojów.**

GÓRNICTWO I HUTNICTWO W TATRACH

Dawnymi czasy góry kojarzyły się z eksploatacją bogactw naturalnych. Uważano, że tam gdzie są góry — są również kruszce i inne cenne złoża. Dlatego najwcześniejszymi źródłami wiadomości o Tatrach są różne przywileje i dokumenty górnicze, wydawane przez królów polskich. Król miał wyłączne prawo dysponowania kruszcami na terenie kraju, ponadto zaś ziemie podstarańskie były dobrami królewskimi.

Można przyjąć, że początki przewodzenia w na większą skalę prac górniczych w Tatrach Polskich sięgają czasów Aleksandra Jagiellończyka, który tu roku 1502 „góry otworzył srebrne". Znaleźnie w Tatrach, u źródeł Dunajca, kruszców srebra i miedzi było wynikiem intensywnych poszukiwań, prowadzonych dzięki przywilejowi nadanym przez Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyka. Konkretne wzmianki o pracach górniczych w Tatrach znajdujemy w „Chronica Polonorum" Macieja Miechowity (1515). Odkryte świeżo złoża srebra i miedzi łudziły swą domniemaną obfitością. Obiecywano sobie po nich wiele, a skarb państwa był wówczas mocno nadszarpnięty. Król wraz z prywatnymi przedsiębiorstwami zajął się energicznie szukaniem możliwości wzbogacenia kasy przez eksploatację złóż cennych kruszców. Wielu późniejszych pisarzy podawało na ten temat różne wiadomości. Wyolbrzymiali złoża i kopalnie. Starowolski w swym dziele „Polonia" z 1652 roku mówi o istnieniu w Tatrach złota. Za .nim powtarzają tę wiadomość Rzączyński i inni, np. Ładowski w „Historii naturalnej Królestwa Polskiego" (1783). Miechowita określa miejsce powstania kopalń tatrzańskich podając, że znajdowały się one trzy mile za Nowym Targiem. Na tej podstawie można przypuszczać, że prowadzono prace górnicze pod Ornakiem, gdzie później za Zygmunta Starego wydobywano również srebro i miedź. Za Aleksandra Jagiellończyka założono kopalnie na Ornaku, zbudowano różne urządzenia pomocnicze, jednak dość szybko zarzucono te prace. Król zniechęcił się, nie widząc realnych wyników.

Za Zygmunta Starego reaktywowano poszukiwania i próby dobywania kruszcu, gdyż ruch przemysłowy i handlowy w Polsce wzrastał się mocno. Wydatki na kopalnie tatrzańskie wyniosły 5 000 zł p. (wartość sprzed 50lat zierzchu). Zwota to to znaczna, świadcząca o dużym rozmachu prac. Prócz odnowienia dawnych, założono nowe szolnie (tj. poziome otrodniki) pod prądem Ornaku i w Dolinie Starorobociańskiej. Na Pysznej, pod Bystrą wykopano szyb w miejscu zwanym „Na Kunsztach" (kunszta oznaczają kołowrót kopalniany). Wszędzie tu prowadzono dobywać rudę, zawierającą srebro i miedź. Dochody jednak były tak małe, że rychło zarzucono eksploatację.

Kopalnie tatrzańskie ożyły znów w XVIII wieku. Gwoli zasilenia skarbu, za Stanisława Augusta Poniatowskiego przypomniano sobie o zarzuconych kopalniach. Wtedy właściwie niepowodzenia prac górniczych w Tatrach przypisywano złemu kierownictwu i niedostatecznemu wyszkoleniu polskiego. Król powołał zespół fachowców, którzy rychło zlecharzy w Tatry zaczął organizować pracę. W styczniu 1776 roku król otrzymał rozbiór kruszcu ze szolni „Czarne Oko" w Ornaku. Jeden cetnar (40,55 kg) kruszcu srebrnego zawierał złota ślad, srebra 1 grzywnę 4 łuty oraz 16 funtów miedzi. Dodano przy tym uwagę, że złota byłoby więcej, gdyby próbę wykonano na większej ilości kruszcu. Jak wynika z akt, prace toczyły się dalej, mimo ciężkich warunków. Prócz kruszcu srebrnego i miedzianego w Ornaku zrażano również rudę żelazną.

Założono kopalnie rudy żelaza w Jaworzynce pod Kopą Magury.

W roku 1767 przystąpiono do budowy huty mającej przetapiać kruszec srebrny. Czynione próby z kopaniem rudy w różnych miejscach, ale wypadki pożarne 1768 roku kładą kres tym pracom. Po rozbiorze Polski i zajęciu jej ziem podzielonych, z polecenia rządu austriackiego bada stan górnictwa i hutnictwa tatrzańskiego hrabia Ybarra. Wkrótce wznowiono prace w kopalniach Ornaku (miedź i srebro) oraz rozbudowano hutę żelaza w Kuźnicach, zwanych wówczas Huta-mi Hamerskimi, w których były trzyma dwa wielkie piece i dwie fryszerki (piece do świeżenia surówki).

Hutnictwo żelaza istniało tu już w XVIII wieku. Franciszek Rychter Peikańczyk, ostatni starosta nowotarski na czasów Rzeczypospolitej, przypisywał sobie zasługę założenia kuźnic w Kuźnicach. Po spaleniu huty w 1795 roku przez zbójników, zakłady kuźnickie podupadły. Dawał się już odczuć brak rudy. Przy końcu XVIII wieku kopalnie w Miętustej i Maguzie nie były czynne. Profesor Zejszner, który przeprowadzał badania geologiczne w Tatrach, uznał je za najbogatsze w rudę, lecz przeprowadzał rychłe wyrzerpanie się pokładów.

W pierwszej ćwierci XIX wieku rząd austriacki sprzedaje dobra kameralne (tj. byłe dobra królewskie) położone w Tatrach. Nowi nabywcy Kuźnic, Homolaczowie, starają się intensyfikować eksploatację. Kopalnie na terenie Tatr były bardzo liczne. Dobywano rudę w Maguzie, w wąwozie Porońca, w Kopie Króbowej, na Tomanowej, w Miętustej, Doliniie Małej Łąki, pod Kopką koło Witowa. W samej Dolinie Kościeliskiej było kilka kopalń. Przy rekonstrukcji dawnych kopalń siedzi i srebra w Ornaku, natrafiono na rudę żelaza i zaczęto ją eksploatować. W Starej Robocie było kilka kopalń (szolni), gdzie przed wielu laty wydobywano rudę miedzianą (od założonych tu dawniej kopalń powstała nazwa Doliny Starorobociańskiej). Próbowano oprócz tego kopać rudę w Trzydniówce przy Dolinie Chochołowskiej, w Lejowym Potoku, na północnym stoku Giewontu widać, jak intensywne prace górnicze prowadzono niegdyś w Tatrach. Prawa do eksploatacji rud przechodzą z rąk do rąk kolejnych posiadaczy tych terenów, aż wreszcie, po I wojnie światowej, ówczesny właściciel Zakopanego, hrabia Władysław Zamoyski zrzeka się ich. Prace eksploatacyjne w górnictwie tatrzańskim kończą się w 1880 roku i od tego czasu górnictwo i hutnictwo w Tatrach zamiera.

Za Kazimierza Jagiellończyka terlarze (ciesle górniczy) opawiali szolnię w drewnianą konstrukcję. Kruszec rozbijano na małe bryłki w stępach, po czym płukano w płuczkach bieżącą wodą. Powszechnie znany kamień młyński z Doliny Kościeliskiej (Iiala Smytnia), z oprawionym weń krzyżem Wincentego Pola, miał służyć za Zygmunta Starego do mielenia rudy. Kruszec transportowano do huty, gdzie wytapiano miedź i oddzielano w ogniu srebro. Opodal krzyża miał znajdować się gród ostatniego górnika króla Zygmunta. Jubasi, idący na hale z owcami, rzucali na to miejsce suche gałęzie, które podpalał ostatni, wracający z hal jubas. Pogorzelisko oznaczało miejsce, gdzie następnego roku należało rzucać gałęzie. Obyczaj ten był corocznie przez wiele lat powtarzany; dziś uległ zapomnieniu.

Od bardzo dawnych czasów używano dymarek. W nich wytapiano stal metodą bezpośrednią. Na spodzie dymarki, omurowanego kamieniem, była umieszczona dysza dmuchu. Ognisko wypełniano węglem drzewnym i rudą. Stal tworzyła na spodzie trzona dymarkowego „łupę", bryłę żelazną stosunkowo czystą. Była ona przekuwana pod młotem, dzięki czemu usuwano wtrącenia żużla. Gdy wskutek dużej ilości węgla otrzymano w dymarce surówkę, a nie stal — prażono ją dalej ze znacznym nadmiarem powietrza, w celu wypalenia węgla i domieszek. Z biegiem czasu dymarka stawała się coraz wyższa. Tak powstał wielki piec, gdzie temperatura jest znacznie wyższa niż w dymarce. Produktem wytopu nie jest tu już ciastowata łupa, lecz płynna surówka.

W pierwszej ćwierci XIX wieku Kuźnice, kupione przez Homolacza, dzięki eksploatacji rudy z Magury rozwijają się znacznie. Około roku 1830 wyrabiają 250 cetnarów „żelaza", tj. około 10 ton tygodniowo. Są to wyroby lane, kute i walcowane. Kuźnice były wówczas ruchliwą osadą przemysłową, a Zakopane nędzną wioską. Po lewej stronie drogi, która biegła mniej więcej tak jak dziś, idąc w kierunku gór, napotykało się szereg małych domków hamernickich, po prawej zaś wznosiły się budynki zakładów, kuźni i walcowni. Domki „hawiarzy" (górników) i „hamerników" (hutników) były budowane na gruncie, który pozostawał własnością dworu; one same zaś, póki stały, należały do robotników. Gwoli uzyskania potrzebnej energii mechanicznej, wykorzystano Bystrą — potok, który płynął przez dolinę Kuźnic. Użyty w młynówki obracał koła wodne, napędzając miechy, młoty i walce.

Gdy ruda w Maguzie zaczęła się wyczerpywać, sprowadzano ją, a później także i surówkę, z Węgier (dzisiejszej Słowacji), drogą pod regiami, noszącą nazwę Żelaznej Drogi. Droga do Kuźnic była wysypana kuźlem wapiennym. Była dobra i równa. Nie miała błota. Gotowe wyroby (pręty, blachy, wyroby ślusarskie, drobne i grubsze odlewy) transportowano furkami góralskimi do Krakowa, a także do Nowego Sącza i Bochni. Podróż trwała tam i z powrotem trzy dni, a góral dostawał za to 1 reński austriacki (zarobek kosiarza, koszącego od świtu do zmroku). Wyroby kuźnickie cieszyły się dobrą sławą i znajdowały wielu nabywców.

Około 1865 roku zaczyna się upadek Kuźnic. Kapitalizm zabijał drobne warsztaty pracy, zwłaszcza mało rentowne, o przestarzałych środkach produkcji, które nie mogły wytrzymać konkurencji wielkiego przemysłu. Dobrej rudy na miejscu nie było. Używano mało wydajnych ognisk fryszerskich, gdy weszły już dawno w użycie piece pudlarskie o dużej wydajności. Drewna było coraz mniej, wskutek wycięcia pobliskich lasów. Potrzebowano go dużo. *Na 6 000 cetnarów wiedeńskich (czyli 370 ton wyrobów) trzeba było zużyć około 15 000 m sześć. drewna. Wycinanie lasów postępowało szybko, rozwój zaś transportu umożliwił wygodny i szybki eksport rudy, paliwa i wyrobów „żelaznych" z okręgów, które miały dobrą rudę i nowoczesne urządzenia.

Warto wspomnieć, że górnicy i hutnicy tatrzańscy założyli i utrzymywali tak zwaną „Puszkę Bracką", odpowiednik dzisiejszej kasy zapomogowej. Świadczy to o zwartości i solidarności „bawiarzy" i „hamerników". Tym, którzy zachorowali, a także wdowom po nich, wypłacała „Puszka" skromne zasiłki. Do „Puszki" należeli także urzędnicy i na ogół gospodarowano samodzielnie, choć nie brakło tu nacisku ze strony właścicieli zakładów. Należeli do niej również „brajerzy", „uhlarze" wypalający węgiel drzewny dla potrzeb hutnictwa.

Dziś wiemy, że Tatry mają różne rudy, lecz w skąpych ilościach, tak że ich eksploatacja jest ekonomicznie nieopłacalna.

Po górnictwie i hutnictwie tatrzańskim zostało nieco śladów: garść wspomnień, opowiadań i baśni, kilka zabytków wytwórczości, kaplicziki przydrożne, resztki gospodarki wodnej, ślady budynków. Wzdłuż dawnej doliny Bystrej można znaleźć liczne kawałki żużla z dawnych hut. W różnych miejscach istnieją ślady szolni, dróg górniczych, hałd i zrobków.

Szereg nazw, np. Kuźnice, Bania, Smytnia (z języka niemieckiego: Schmiede — kuźnia), Stara Robota, Na Kunsztach, itd. — często niezrozumiałych dla przybywających tu ludzi — świadczy o tym, że ongiś istniało tu bujne życie górnicze i hutnicze.

HENRYK JOST

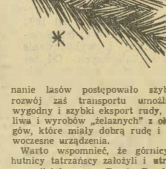

Fot. STANISŁAW MOMOT

Nowy Sącz przed stu laty

Sprawiał wrażenie miasta spokojnego, wiodącego swą monotonną egzystencję bez wstrząsów i sensacyjnych wydarzeń. Należał do przeciętnych galicyjskich prowincji i chociaż żył jeszcze splendorem dawnej świetności, kiedy stanowił ważne centrum handlu i rzemiosła, to przecież pogrążał się w marazmie. Ale około sto lat temu upadek Nowego Sącza, datujący się w zasadzie od drugiej połowy XVII wieku i pogłębiony po rozbiorach, został zahamowany.

Główną przyczyną podniesienia rangi miasta, jego rozbudowy i wzrostu liczby ludności było przyłączenie Nowego Sącza od 1876 roku do linii kolejowej leluchowsko-tarnowskiej i wybudowanie warsztatów kolejowych. Od tej pory powoli cicha mieścina odmieniała swe oblicze.

Przed stu laty miasto liczyło około dwanaście tysięcy mieszkańców i skupiało kilka narodowości. Było w nim około pięciu tysięcy Żydów, przeważnie sklepikarzy i kramarzy oraz szynkarzy, około tysiąca Niemców, rekrutujących się z wysoko kwalifikowanych pracowników warsztatów kolejowych i przodujących rzemieślników, zaś najmniejszą grupę stanowili Rusini i Ukraińcy. Narodowości te żyły w zgodzie, wzajemnie się przenikały, czego dowodem były mieszane małżeństwa.

Lata osiemdziesiąte ubiegłego stulecia, to okres wzmożonej troski o wygląd miasta — brukowano ulice i zakładano chodniki z płyt kamiennych, prowadzono także prace nad skanalizowaniem, zaczynając od północnej części. Rozwój terytorialny miasta następował w kierunku południowym, w okolicach Grodzkiego i stacji kolejowej. Powstały nowe drogi i ulice, przygotowywano się do założenia dzielnicy mieszkalnej dla kolejarzy, późniejszej tzw. Starej Kolonii

Niezmienny pozostał krajobraz wokół Rynku, zamku i kościołów, nie przeobrażały się również ulice Krakowska, Młyńska, Nowa. Na środku Rynku, otoczonego akacjami, stał dwupiętrowy ratusz nakryty gontami, z ozdobnym szczytem i wąską wieżą z umieszczonym na niej zegarem, wybijającym godziny. W Ratuszu, potocznie zwanym magistratem, mieściły się urzędy miejskie, a duża sala na pierwszym piętrze służyła na obrady Rady Miejskiej Nowego Sącza. Na Rynku stała też parterowa plebania. We wtorki i piątki odbywały się tu targi i wówczas miasto nabierało swoistego kolorytu. Stare kamieniczki, będące świadkami dawnej chwały grodu, należące ongiś do zamożnych kupców i rzemieślników, teraz mieściły w swych murach szynki, sklepy i pracownie rzemieślnicze, starające się dorównać kunsztem tamtym sprzed wieków. Na północ od Rynku wznosił się zamek piastowski, częściowo odbudowany, częściowo zrujnowany, otoczony murami. W jego północnej części znajdowały się pomieszczenia magazynowe dla wojska. Wzgórze zamkowe, z którego rozciągał się widok na płynący dołem Dunajec, rozległe łąki za rzeką i wierzchołki gór na tle lasów, należało do najurokliwszych miejsc. Przez rzekę wiodły dwa mosty — od 1882 żelazny — kolejowy, i stary — drewniany, zwany bocheńskim, prowadzący na Helenę. Most heleński z wysmukłymi topolami stanowił promenadę i miejsce spotkań młodych nowosądeczan.

W tym osobliwym spacerze po przedstuletnim Nowym Sączu nie można ominąć ulicy Węgierskiej, biegnącej od Rynku na południe, która wnet zmieniła nazwę na Jagiellońską. Na Węgierskiej skupiły się najokazalsze i zamożne sklepy — bławaty, galenterie, ze szkłem i porcelaną, korzenne z przeróżnymi delicjami. Tam też mieli swoje siedziby złotnicy, rymarze, krawcy, kuśnierze pierwszej kategorii, zakład fotograficzny, restauracje.

Na początku Węgierskiej mieściły się opodal siebie dwie księgarnie — Piszów i Jakubowskich — łącznie z wypożyczalnią książek i materiałami papierniczymi. Księgarnie te, posiadające własne oficyny wydawnicze, rozprowadzały książki, broszury, nuty i różne druki. Dzięki nim podniosło się życie umysłowe, wzrosło czytelnictwo, a profesorowie gimnazjum mieli możność publikowania swoich prac naukowych. Idąc w kierunku południowym mijało się kapliczkę św. Marka, pamiętającą czasy najazdu szwedzkiego, stojącą na rogu Woleckiej. Akurat przed stu laty miasto żyło budową kolei podkarpackiej, łączącej Żywiec z Nowym Sączem. W ramach tej linii powstał przystanek kolejowy przed Wólkami, w dół od Węgierskiej. Podczas obniżania drogi od kapliczki do przystanku natrafiono na kości i szkielety ludzkie sprzed około dwustu lat. Kto żyw szedł patrzeć na te osobliwe wykopaliska. Odkrycie ludzkich szczątków poruszyło całe miasto; była to wielka sensacja w owych czasach.

Ze zbiorów Muzeum Okręgowego — repr. JOANNA GAJDA

Dalej idąc na południe mijało się szkołę żeńską imienia królowej Jadwigi, której oddanie do użytku w 1882 roku zakończyło kilkudziesięcioletnią tułaczkę dziewcząt nowosądeckich, nie posiadających własnego budynku szkolnego. Naprzeciwko szkoły tworzono park miejski, zwany plantami, chlubę Rady Miejskiej.

Trzynastego lipca z okazji św. Małgorzaty odbywał się odpust u fary, przekładany na niedzielę, a szóstego sierpnia — na Przemienienie Pańskie. Od rana szóstego sierpnia ściągały do miasta tłumy pątników. Na Rynku i przed kościołem rozstawiano mnóstwo kramów z przeróżnymi wyrobami, oberże i szynki wypełnione były po brzegi. Odpusty stanowiły urozmaicenie dla młodzieży, szczególnie żeńskiej, która — spragniona rozrywek — z radością oczekiwała na okazję zaprezentowania swego odświętnego stroju i nawiązania znajomości.

Życie nowosądeckich panien nie było ciekawe. Po ukończeniu kilku klas dziewczęta z domów średniozamożnych i biednych kończyły edukację. Niektóre szły do krawcowej czy modniarki (tak wówczas nazywano modystki) na naukę zawodu, czasem któraś trafiła do hafciarki; innych rzemieślniczek nie było w mieście, stąd wybór fachu znikomy. Przeważnie dziewczęta pomagały matkom w gospodarstwie domowym i czekały na mężów. Rozrywkę ich stanowiły odpusty, n[illegible]eństwa majowe i różańcowe. Naj[illegible]ciej w jesieni i zimowe wieczory schodziły się na śpiewy przy cytrze czy gitarze i opowieści przy kominku. W karnawałowe soboty odbywały się zabawy w Kasynie Miejskim, w magistracie i cechach, ale dziewczęta przychodziły na tańce pod nadzorem starszych. Festyny nad Dunajcem nie były jeszcze popularne, za to często odbywały się majówki — wiosenne wypady za miasto, połączone ze śpiewami, a w zimie — sanny. Ambitne panny czytały książki i czasopisma, wówczas magazyny ilustrowane, udostępniane w Czytelni Mieszczańskiej i Kasynie Miejskim. Niektóre należały do amatorskiego koła dramatycznego przy Kasynie. Spektakle, przeważnie sztuki o charakterze religijnym lub lekkie komedie, grano przy pełnej widowni. W okresie bożonarodzeniowym do tradycji należało urządzanie jasełek.

Wiosna 1884 roku była pochmurna, chłodna i deszczowa. Od końca maja zaczęły się ulewy i słoty niczym w jesieni. Padało cały czerwiec, rzeki wezbrały i nastąpiła powódź. Dunajec przypominał rozszalałe, mętne morze. W Świniarsku zalało kilka chałup, a z Heleny ludzie uciekali, bo woda podchodziła pod domostwa. Kamienica rozlała się na Przetakówkę i tam też wybuchła panika. Nawet Łubinka rozrosła się nie do poznania i pędziła wśród rozhukanych fal. Zalała łąki i pola, zniszczyła ogrody na Załubińczu. Panie z inteligencji urządziły zbiórkę odzieży i żywności dla powodzian, gimnazjaliści pomagali ratować dobytek i bydło przed skutkami powodzi.

Na początku roku szkolnego 1884/85 przybył do Nowego Sącza Eugeniusz Romer. Miał wówczas trzynaście lat i uczęszczał do czwartej klasy gimnazjum. Nikt nie przypuszczał, że z mieszkającego na stancji przy ulicy Węgierskiej chłopca wyrośnie koryfeusz wiedzy geograficznej, wybitny profesor kartografii i klimatologii, twórca tzw. romerowskiej szkoły na Uniwersytecie Lwowskim. Przez kilka lat, aż do uzyskania w 1889 roku świadectwa dojrzałości, edukował się pod patronatem nowosądeckich profesorów, wśród których przewijały się znakomite jednostki. Chociażby znany i ogólnie szanowany za rozległą wiedzę i działalność społeczną profesor Ludwik Małecki, ogłaszający drukiem prace z zakresu filologii greckiej. Albo profesor Jan Buliński, polonista, wzbudzający w uczniach w trudnych czasach niewoli patriotyzm i umiłowanie ojczystego języka, podsuwający perełki polskiej literatury, przez co narażał się na kłopoty i szykany ze strony władz. Nie sposób nie wspomnieć też oddanego studentom (tak nazywano wówczas gimnazjalistów) profesora Michała Sękowskiego, filologa, i Jana Dworzańskiego, historyka, który wtedy, gdy historia kraju ojczystego była przedmiotem nieobowiązkowym, otwierał przed młodymi umysłami niezapomniane chwalebne karty naszych dziejów. Profesorowie wraz z uczniami urządzali uroczyste poranki z okazji świąt narodowych i ważnych rocznic, mimo że nie było to dobrze widziane przez władze wyższe. Matematyki i nauk przyrodniczych uczył w tych latach profesor Marcin Drzymuchowski. Gimnazjum nowosądeckie stało na wysokim poziomie i dało w przyszłości liczne światłe osobistości. Dzięki mądrym pedagogom, wysokiej klasy erudytom i patriotom o dużych walorach osobistych, odegrało poważną rolę w kształtowaniu postaw młodych Polaków, wychowując ich w duchu umiłowania Ojczyzny i walki o niepodległość.

Jesienią 1884 roku gimnazjaliści starszych klas utworzyli konspiracyjną organizację o aspektach wolnościowych. Młodzież prowadziła akcję w ukryciu, dlatego nie dotarły do naszych czasów dokumenty jej działalności. O tym, że sprzysiężenie gimnazjalistów wywołało zainteresowanie w mieście, a może nawet i poruszenie, świadczy fragment przygotowywanego przeze mnie do druku „Diariusza nowosądeckiego"

Studenci wyższych klas założyli potajemną organizację o silnym wydźwięku patriotycznym. Młodszych nie dopuszczają do sprzysiężenia i mogą oni jedynie ukradkiem podglądać starszych kolegów podczas zebrań. Spotkania odbywają się po domach, gdzie studenci czytają historię Polski, różne broszury o sprawach bieżących i ćwic[illegible] musztrę. Przyjęcia do organizacji [illegible]konuje się uroczyście, pod krzyżem powstańców z 1863 roku, na cmentarzu. Studenci niższych klas chodzą oglądać te przysięgi, są świadkami roty i tak przejęli się konspiracją, że nic ich nie powstrzyma, by w razie potrzeby zasilić jej szeregi.

Prawdopodobnie w tym czasie docierała już do gimnazjalistów prasa socjalistyczna, znany był program „Proletariatu", brzmiały echa procesu Ludwika Waryńskiego i towarzyszy. Pierwsze, acz słabiutkie jeszcze, socjalistyczne głosy daje się słyszeć w rozbudowujących się ciągle warsztatach kolejowych. Tam po kilku latach wybuchnie prawdziwy zryw socjalistyczny i niepodległościowy, ogarniający całe miasto. Na razie pragnienie wolności ożywało w rocie młodzieżowych ślubowań, w patriotycznych pieśniach nowosądeckiego mieszczaństwa, w radykalnych strofach poezji, recytowanych w podnieceniu na sekretnych spotkaniach.

Miasto żyło oczekiwaniem na otwarcie linii podkarpackiej. Przystanek kolejowy był już gotowy do oddania. 18 grudnia nastąpiła dawno upragniona chwila. Uroczystość otwarcia nowej linii zgromadziła tłumy mieszkańców, różne deputacje, wielu przyjezdnych. Nowy Sącz otrzymał okno na świat!

Miasto nabierało znaczenia, rozrastało się, przybywało mieszkańców, warsztaty kolejowe liczyły już kilkuset pracowników i wciąż otrzymywały nowe pomieszczenia. O zmroku nowosądeckimi ulicami przesuwały się postacie gimnazjalistów, spieszących na konspiracyjne schadzki, czasem mignął cień pochylonego profesora, zamyślonego nad jutrzejszym wykładem, niekiedy słychać było ożywione głosy mężczyzn wracających z szynku. A w domach, przy kominkach, siedziały kobiety i w codziennym, szarym trudzie pracowitych rąk, licząc korony i centy, przeznaczone na wikt, myślały o przyszłości swych dzieci i rodzinnego miasta.

GABRIELA DANIELEWICZ

Z przepaścistych stoków Turbacza, bierze swój początek jedna z najurokliwszych rzek beskidzkich — Kamienica. Nazwę swą wzięła być może od potężnych głazów, urozmaicających jej koryto zwłaszcza w najdzikszym odcinku, pomiędzy zbocznami Kuchtonia i Gorca. Uroczysko to jeszcze dzisiaj zachwyca swą pierwotną surowością, choć i tutaj człowiek próbował poprawiać naturę.

U zarania naszej państwowości cała dolina Kamienicy była takim uroczyskiem. Archeologowie zdołali wyznaczyć jedynie jedno miejsce zamieszkałe w czasach prehistorycznych. Otóż w Zabrzeży, niedaleko ujścia Kamienicy do Dunajca, na trzw. „Babiej Górce", znajdyte się rozległe grodzisko, być może z okresu kultury łużyckiej — czyli ok. 1700—400 l. p.n.e. „Bez mode" — gdyż obiekt ten nie został jeszcze gruntownie przebadany. To samo miejsce — zdaniem archeologów — wykorzystano pod budowę wczesnośredniowiecznego (XIII w.) gródka. Domysłów badaczy nie popierają jednak żadne źródła pisane.

Nie ma również ani do schyłku XIII w. żadnych wzmianek o osadach leżących w dolinie rzeki Kamienicy. Dopiero w 1297 r. wdowa po Leszku Czarnym, Gryfina — z pochodzenia Niemka, która z łaski władzy duchowczas księstwem krakowskim Wacława Czeskiego dzierżyła Ziemię Sądecką — wydała erygcję lokacyjną dla wsi Kamienica. O istnieniu tego aktu dowiadujemy się jednak tylko z rejestru dokumentów zaginionych z bogatego dziedzictwa tamtejszego klasztoru Karmelitów, sporządzonego przez wielce zasłużonego dla polskiej kultury edytora starożytnych rękopisów — Franciszka Piekosińskiego.

Niektórzy badacze przeszłości tych ziem przypuszczają, że do faktycznej lokacji Kamienicy przez Gryfinę nie doszło, gdyż w kilka lat później starostaduki klasztor klarysek — prawy właściciel tego zakątka na mocy nadania mu tych ziem przez księżnę Kunegundę w 1280 r. — dokonuje powtórnej lokacji owej wsi. Tym razem, gdy czas tej aktu lokacyjnego: wynika zeń, że nowa wieś ma powstać na terenie lesnym. Jednakże istnieje już wtedy nazwa Kamienica, odnoszącą się nie tylko do rzeki, ale i do konkretnej miejscowości. Zresztą — gdyby do lokacji w 1297 r. nie doszło, po cóż by klaryski zechcieli wywady akt lokacyjny w swoim archiwum? W 1313 r. erygowana została w-Kamienicy parafia, a skoro się to — jak wykazał ks. prof. Bolesław Kumor — również za przyczyną starosądeckich zakonnic. Wydając nowy akt lokacyjny dla Kamienicy klaryski chciały chyba udokumentować swoje wyłączne prawo do tej miejscowości, kilka lat wcześniej siłą zagarnięte przez zaborcę Niemkę, a przy okazji zorganizować ustrój wsi według wymogów mondego wówczas prawa magdeburskiego.

9 marca 1330 r. Katarzyna, przełożona klasztoru klarysek ze Starego Sącza, w obecności licznie zgromadzonych mieszkańców gościńca, oddaje służby, zerwała niejakiemu Krystynowi — sołtysowi „ze starej wsi Przeszłki", na prawie niemieckim — na nazwie Kamienica. Z akta wynika, że teren przyszłej wsi porosły był lasem — widać, że lokacja przeprowadzona przez Gryfinę, wyczyniała wielkie zmiany, które ze względu na krótki, bo niewiele ponad trzydziestoletni okres łaski ubiegł pomiędzy datami wydania obu aktów lokacyjnych dla Kamienicy. Pod nową wieś przeznaczono znaczny obszar, wynoszący 120 łanów — prawdopodobnie (1 lan — 23,27 ha). Wsią miał zarządzać sołtys, a później jego prawowici spadkobiercy. Jako uposażenie wyznaczono mu 4 łany ziemi oraz możliwość czerpania zysków z dwóch karczem, tylu młynów, a nadto ósmą część z pobieranych od wsi czynszów i podatków oraz trzecią część z opłat sądowych. Do obowiązków sołtysa należało administrowanie wsią, pobieranie należnych kazdzonom czynszów i sprawowanie władzy sądowniczej.

Osadzający się tutaj kmiecie zwolnieni zostali na lat 18 od wszelkich ciężarów polskich. Po tym okresie wolniny miali płacić czynsz roczny, wynoszący 6 grzywien, i składać dary w malarze na Boże Narodzenie po dwa wieprze i furze drewna, na Wielkanoc dwie szynki, zaś na Zielone Święta siedem jagniąt z owczami i serv „ziemi jakości".

Przywilej ustalał również uposażenie parafii (1 łan ziemi i pole dla proboszcza) oraz wspólne dla całej wsi pastwisko. Ponieważ każdemu kmieciowi przeznaczono jako uposażenie i 1 łan ziemi, przeto — odliczając role sołtysie, plebańskie i wspólne pastwisko — łatwo spostrzec, że klasztor zamierzał osadzić w Kamienicy około 100 kmieci. Zezwolono również sołtysowi na osadzenie „wotaków", ale pisze wyraźnie o granicami wsi.

Sołtysa zobowiązano do całkowitego zagospodarowania wsi w ciągu „okresu „wolniny" — czyli owych 18 lat. Z zadania tego wywiązał się był — jak wynika z późniejszego dokumenty wykazują bowiem, że w Kamienicy udało się zagospodarować jeszcze 24 łany — czyli niespełna czwartą część projektowanego areału. Nie zdołano nawet urządzić samego sołtysiwa w granicach przewidzianych w akcie lokacyjnym.

Brak również jakichkolwiek przekazów o wyciągnięciu w stosunku do sołtysa konsekwencji, którymi zagrożono w wypadku niewywiązania się z podjętego zadania. Nie ulega bowiem postraszono go utratą majątku bez żadnego odszkodowania, gdyby okazał się przy zadowoleniu, że w tym dziełku jeszcze zakątku powstała w ogóle większa osada.

W DOLINIE KAMIENICY

Za czasów Długosza w Kamienicy zagospodarowane są 22 łany gęsiej kmiecej i 2 łany sołtysie. Od łanów chłopskich płacono „pod dziesięcina w groszach dużych" na rzecz biskupów krakowskich. Proboszcz kamieniecki na „własną rolę i dla bo w własnego użytku i potrzeby". Kościół parafialny, drewniany, nosi wezwanie Najświętszej Marii Dziewicy.

Długosz wymienia już również wieś Zbludzę, w której zagospodarowane było 8 łanów ziemi kmiecej i 1 łan sołtysi. Z wsi tej płacił dziesięcinę na rzecz biskupów krakowskich. Skrupulatny historyk zaznaczył również, iż „nie ma tam pomiędzici ziemiaści (czyli folwarku), także zajazdu i ogrodnictwa". Wioska ta — podobnie jak Kamienica — należała do klasztoru starosądeckiego. Nie posiadamy bliższych danych o powstaniu Zbludzy. Przypuszczalnie — był to początkowo peryferyjny przysiółek Kamienicy, który dzięki usamodzielnieniu i gorganizowano według prawa magdeburskiego, o czym świadczy charakterystyczne w takich osiedlach sołectwo.

Z akt wizytacji parafii kamienickiej z 1596 r. dowiad jemy się, że ówczesnym kościołem parafialnym jest kaplica, której „kierownikiem" jest Florian z Pokrzywnicy, mający „dom w dobrym stanie i ogród nieszczędny". Na uposażenie pobierał 1 łan ziemi, łąkę i owsa, a do kościoła musiał dostarczać wino mszalne. Wizytacja z roku 1608 dodaje, że nauczyciel kamieniecki ma dom koło cmentarza, składający się z małej izby.

W jednym z zapisków sądowych z 1630 r. — analogicznie jak powyższa wzmianka o dzisiejszym Zalesiu, zwanym Nalesiem. Była to wówczas jeszcze bardzo niewielka osada, administracyjnie związana z sąsiednią Zbludzą. Z nieco wcześniejszego okresu — z 1607 r. — mamy pierwszą informację o Saczawie, ówczesnym peryferyjnym przysiółku Kamienicy. W XVII w. powstało również Zasadne — lokacja majątków klasztoru starosądeckiego z 1698 r. wyłączała 12 gospodarowiski tam 14 zarębników, czyli ludzi gospodarujących na wyrębiskach leśnych.

JAN WIELEK

LUDOMIR MAZELA

Z Lemkowszczyzną i jej mieszkańcami związało się trwale nazwisko Seweryna Udzieli — zasłużonego etnografa, inspektora szkolnego dla szkół ludowych w latach 1888—1895. Dorzecza górnej Popy, Zdyni, Sękówki, położone w głębi Karpat i zaludnione od wieku XV przez element etniczny wołosko-ruski, przyciągały swą kulturową odrębnością późniejszego założyciela Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Seweryn Udziela po objęciu nowej posady zaczął systematycznie gromadzić materiały, z pomocą pedagogów z koła etnograficznego, skupionych na sporym obszarze od Ciężkowic i Olszyn po Łużną i Zagórzany. Po wyjeździe Udzieli z Gorlic w 1893 roku nastąpił wieloletni zastój badawczy. Na nowo badania podjęli po latach prof. Roman Reinfuss, B. Leszczyński, Z. Stieber i inni. Udziela opublikował szereg prac o literaturze ludowej i folklorze dawnego powiatu gorlickiego, a 1943 r. niewielką, ceną książkę pt. *„Ziemia lemkowska przed półwieczem"*.

Pół wieku minęło od publikacji wyżej wymienionej, tak penetrującej zaułonego badacza, minął wiek od czasów i ludzi opisywanych w „Ziemi lemkowskiej". Gdy pisałem dziś na stare fotografie prof. Reinfussa, materiały ikonograficzne ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie — trudno uwierzyć, że tamto półwiecze jeszcze uchwytne w retrospekcji nazwisch dziadów, odeszło w przeszłość (które nie obejmuje już pamięć nawet najstarszych ludzi. Cóż dopiero mówić o młodych, dla których dawna Lemkowszczyzna jest już geograficznie i etnograficznie prawdziwa.

Szkoły dawnej Lemkowszczyzny to jeden z bardziej interesujących wycinków życia zapisanych przez Udzielę. Istniały w każdej prawie parafii, niekiedy miejscowości, w chłopskich chatach Dzyhrada. Mieszkańcy Lemkowszczyzny nie żałowali wydatków na oświatę, ale brakowało kwalifikowanych nauczycieli, m.in. ze względu na niskie uposażenie i trudne warunki pracy na Łemkach. Na przykład do wsi Nowica inspektor szkolny mógł dotrzeć na ogół tylko zimą, na sankach, przecinając grzbiet Magury Małastowskiej. Tamtejsza szkółka mieściła się w chłopskiej chacie. W klasie stały m.in. *„niecki z żytem, za tablicą beczka z kiszoną kapustą, stołu nie było, a w trogarza wisiał na żmurku kalamarz żelazny w szkole do użytku wszystkich"*. Nauczyciel z Nowicy sprzed stulecia przyjmował z wyglądu Robinsona, jakie dzieciństwo, niezgodne *miał ubranie na sobie"*. Uzupełniny że własnego kroju i roboty, a na krawieczwie się nie znał, zaś na krawca stać go nie było. Niekwalifikowany pedagog, człowiek przeszło 50-letni dorabiał — powiedzielibyśmy dziś — dalszych zajęć. Nadzorował interwencję inspektora postawione przy szkole drewnianą ubliczę, którą urządzowany nauczyciel „zaopatrzył nadto *„do inwentarza między sprzęty szkolne"*. Nierzadko nauczyciele bez kwalifikacji byli diacy, *„którzy sami umieli zaledwie czytać i pisać, i trochę rachować"*. W innej górskiej szkółce inspektor stwierdził, że zeszyt w dziennik, w którym miesiącach nauki, dzieci klasy I nie umieją niczego. Zdarzało się, że proste zadanie z mnożeniem stanowiło w szkole barierę, bo dla nauczyciela — jak i dla uczniów. Były to, oczywiście przypadki skrajne, wiele jednak mówiące o sytuacji oświaty na Łemkowszczyźnie w drugiej połowie XIX wieku.

Badał też Udziela życie mieszkańców Łemkowszczyzny, spisywał zagadki, pieśni i opowiadania, np. „*czto wekize bo bolszoj* (podszizka). Ale — *„stoit pani na łani w czerwonym kaftani, kto ju tolko pobaczył, kożdy ją jej wżkonit"* (poziomka).

W niektórych wsiach, np. w Uściu Gorlickim (daw. Ucie Ruskie) mieszkowy proszczy przed wiekami kobiet spłowacze, pragnąc pobudzić miejscowe talenty, kultywować dawne nawyki i tradycje. Zachęcała ulanki pieśni weselnych, tekstów o doli sierot, miłosnych i in. Tematyka zapisanych opowiadań, gawęd i baśni dotyczyła starców i czarownic, pojęcia sprawiedliwości, życia zwierząt. Z próbki „słownicka" wymieńmy choćby *jafirt* — borówki, *grule* — ziemniaki, *łem*, *łem* — tylko (od czego wywodzi się nazwa Lemków i lemkowszczyzny), *zumuj* — piękny, bujszy — wąsy, *zymołżwer* — Stara Podhala bez rodzinnej zbieżności i pokrewieństwa z gwarą góralską.

Znaczną rolę w środowisku lemkowskim odgrywał duchowieństwo grecko-katolickie, kształcone w seminarium przemyskim. Ludność — pisze Udziela — *zowie zawsze* proboszcza *„jemołżwer"*, a jego *„mołcicę*. Parafie były niewielkie, słabo zaludnione, ziemia licha, toteż warunki bytowania kiepskie.

Z zapisu dawnych łemkowskich obyczajów i wierzeń warto niektóre przypomnieć. Na przykład dobre urodzaje zapewniał jajko poprzednie podczas wiosennej orki. Zmarłym natomiast zostawiano w pierwszą noc po pogrzebie chleb i wódkę, gdyby dusza zmarłego wróciła ze swoimi siedzibę. Obchodzono śmigus w święta Wielkiejnocy, sobótkę w noc świętojańską, powszechnie wierzono w gusła, w moce nadprzyrodzone. *(Wintr mieszka na wysokiej górze w lesie, jako chłop wielki i mocny, siedzi na potężnym drzewie i szmatoć dmie na wszystkie strony świata).*

Łemkowie żyli przede wszystkim z uprawy roli i pasterstwa, choć kiepskie gleby. Rolnicy zajmowali się głównie plonów zbyt obfitych. Mężczyźni wyrabiali gdzieniegdzie gonty, łyżki drewniane (w Nowicy), obkuwali kamienie do żaren, kobiety trudniły się tkactwem. Emigranci do Stanów Zjednoczonych i Peszlu przysyłali do domów niemałe sumy. Tak np. urząd pocztowy w Gładyszowie przeliczył w roku 1890 około 100 000 reńskich, a w Wojnowej ponad 150 000.

Podstawową potrawą ówczesnych Łemków był żur owsiany zwany kiszyłycą, grzyby, kapusta, ziemniaki. Mięso spożywano bardzo rzadko, zwykle na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Strój męski stanowiły wówczas sorozeki (koszule), hołoszne czyli spodnie płócienne, kamizelki zwane *Wrdubami*, skórzane kierpce. Kobiety nosiły gorsety, spódnice zwane *kabatami*, w dni świąteczne zamiast kierpców buciki z chwarami z safiana.

W zapisach antropologicznych powoływał się Udziela na wcześniejszych badaczy Łemkowszczyzny, m.in. na Irydeka Kopernickiego oraz Wincentego Pola. *Najpospolitszy, prawidłowy wzrost Łemków jest mierny lub nadmierny (...). Noszą włosy długie, niemal do ramion i są przeważnie szatyni (...) z częstszą przytem przymieszką brunetów niż blondynów, kolorty zaś są pospolicie: szatyni, brunetów zwłaszcza z szatynkami, a brunetki rzadko.* Inny badacz Lemkowszczyzny, J. Smoleński, tak charakteryzował ludność łemkowską: *Zachowali oryginalny i barwny strój ludowy (...), melodie ich pieśni ludowych uderzają niezwykłym kopytowem uczuciem tęsknoty; muzyka. Przedstawiają wybitnie zindywidualizowaną grupę ludności, a teren przez nich zamieszkały nosi znamiona odrębnego regionu antropologicznego.*

Gorące przywiązanie Łemków do swojej ziemi, do ojczystej roli wyrażało się w przyśpiewkach, gdy przyszło ruszyć w obce światy „za chlebem":

Tylatoa, Tylatoa, okruhle seleczka.
Jak ja tia na wydżu, bołyt mia serdeczka.

Co z tym fantem zrobić?

Oto jeden z listów nadesłanych do KW partii:

...przed dwunastu laty wprowadziłam się do mieszkaliśmy u rodziców męża, ale po urodzeniu dziecka zrobiło się tam ciasno, więc wynajęliśmy mieszkanie u Edmunda N. Jemu jednak szybko znudziła się nasza obecność i w zeszłą niedzielę postanowił się nas pozbyć. Wyłączał prąd, zabraniał cokolwiek przywozić do mieszkania, zmuszał męża do podpisywania oświadczeń z podaniem fermiu wypowiedzi, straszył, że zaplombuje mieszkanie. Gdy zorientował się, że nic sobie nie robimy z jego pogróżek, zaczął buntować mojego męża przeciwko mnie. Śliwiał raz wódką, a następnie śmiał się, gdy mąż bił mnie i przezywał. Nierzadko musiałam w samej koszuli z dwojgiem dzieci szukać w nocy schronienia u sąsiadów lub rwodzi rodziców. Mimo, że chodziłam posiniaczona, nie skarżyłam się nikomu, ludziłam się, że coś się zmieni. Niestety, kiedy na świat przyszły nasze bliźniaki, mąż stał się nie do wytrzymania. Pewnie dla tego, że zdecydowałam go na leczenie do Poradni Odwykowej. Nie pił tylko parę dni. Skierowano go do Kobierzyna. Po powrocie starzyć jedlugo był abstynentem. Nasz sąsiad zaćbał o to, żeby mąż był każdego dnia. Znowu zaczęły się awantury i wyrzucanie mnie z crwórką małych dzieci z domu. Po pewnym czasie męża ponownie zabrano do Kobierzyna. Gdy był na leczeniu urodziłam piąte dziecko. Mąż wrócił i po miesiącu znów sięgnął po kieliszek. Awanturował się, że to nie jego dzieci, że mnie zdradzał. Pewnego razu tak mnie zbił, że o mało nie poroniłam. Uciekłam do matki, ale ona — schorowana i znęcana — po jakimś czasie odmówiła mi schronienia. Co miałam robić? Wróciłam do męża i uroziłam szóste dziecko. Było trochę spokoju, bo sąsiad przebywał w więzieniu. Gdy je opuścił, w moim domu wszystko wróciło „do normy". Po którejś z rzędu awanturze zmuszona byłam zadzwonić po pogotowie. Męża zabrano w kaftanie bezpieczeństwa do Kobierzyna. W tej samej karetce jechałam także w przedwczorajszą bójkę powodowym, oraz najmłodsze — chore na zapalenie opon mózgowych — dziecko. W szpitalu urodziłam wcześniaka — uroszdzdzonego umysłowo chłopca. Niedawno mąż wrócił z leczenia. Jest rencistą, zajmuje dużo lekarstw i nadal awanturuje się. Wniosłam sprawę do sądu. Dostał trzy lata w zawieszeniu. Mimo wyrobu bijie mnie nadal, nadal się dziwi, zwłaszcza najmłodszą jest obiektem jego największych szykan. Sąsiedzi nie ujmują się za nami ze strachu przed mężem. Proszę więc o objęcie mnie i dzieci skuteczną opieką".

W Nowosądeckiem mamy wiele rodzin z licznym potomstwem. Z opieki Towarzystwa Przyjaciół Dzieci korzysta dziesięć tysięcy dzieci z rodzin wielodzietnych. A przecież nie wszystkie są zarejestrowane.

Jaki jest stosunek społeczeństwa do problemu wielodzietności? Zebrałam wypowiedzi kilku osób, które zastrzegły sobie anonimowość.

Kazimierz C. (40 lat, elektryk, ojciec dwojga dzieci): — To prawda, że ludzie powinni pomagać sobie nawzajem, a w wypadku rodzin wielodzietnych powinno to robić państwo. Faktem jest jednak, że większość rodzin wielodzietnych wychodzi z założenia, że im się wiele należy, ponieważ mają dużo dzieci. Ktoś może powiedzieć, że mają tak liczne potomstwo, gdyż są nieuświadomieni. Te argumenty zupełnie mnie nie przekonują; przecież nawet w kościele uczą, jak zapobiegać niepożądanej ciąży. Te wszystkie dzieci nie rodzą się nauz, rodzina staje się wielodzietna przez dłuższy okres, w którym można niejedno przewidzieć. Uważam, że społeczeństwo powinno pomagać tylko i wyłącznie w sytuacji, gdy środki przeznaczyłe przez rodziców nie mogą zapewnić ich dzieciom minimum socjalnego. Stworzmy więc możliwości pracy i zarobku dla tych rodziców, a dopiero, gdy to nie wystarczy — pomagajmy. Bo jeżeli nadal będzie taka polityka socjalna, to społeczeństwo podzieli się na dających i biorących, tylko, że tych ostatnich będzie coraz więcej.

Halina K. (38 lat, krawcowa, matka dziewięciorga dzieci): — Po nie nie wyciągam zęki. Sama wszystko szyję i jeszcze na tym zarabiam. Mąż — hydraulik posiada również uprawnienia spawalnicza, dzięki czemu dorabia. Mamy zamrzedni i bardzo ładne mieszkanie. Myślimy o kupnie niedużego domu. W zeszłym roku mój syn został wysłany na kolonię do NRD i to są wszystkie przywileje, z jakich korzystaliśmy jako rodzina wielodzietna.

Zuzanna U. (30 lat, nauczycielka, matka dwojga dzieci): — Wysokość rodzin wielodzietnych to alkoholicy, złodzieje, spekulanci. Ich dzieci w przyszłości zaloką rodziny o tym samym profilu życia. W klasach z roku na rok zwiększa się liość dzieci debilnych o opóźnionym rozwoju umysłowym. A czego uczą ich rodzice? Złodziejstwa, oszukaństwa, cwaniactwa. Rodzice nie interesują się nimi. Wychowanie spada na barki nauczycieli i społeczeństwa. Pytam, w imię czego mamy płacić długi pijaków, nierobów i złodziei? Ja swoje dzieci od najmłodszych lat uczę szacunku do pracy, wartości pieniądza i trudu w zdobywaniu go. W każdą wolną sobotę wyjeżdżam z dziećmi na wieś do pracy. Nie wstydzę się tego, choć mam wyższe wykształcenie. Czy te rodziny wielodzietne nie mogłyby poprzaćować? Dzieci żal, ale są one z góry przekreślone. Debile rodzą następne pokolenia i rośnie procent rodzin moralnie zaniedbanych. Należy się wziąć za rodziców, żeby dzie ploodzili tyle dzieci.

Genowefa K. (48 lat, salowa, matka sześciorga dzieci): — Dzieci wychowuję sama, żadne przywiezie mnie z tego tytułu nie spotkały. Wręcz przeciwnie traktuje się mnie, jak osobę mało odpowiedzialną, nie umiejącą żyć. Jestem na wcześniejszej emeryturze i to było jedyne dobrodziejstwo dla kobiet takich jak ja: zmęczonych i schorowanych. A z preferencji dla rodzin wielodzietnych korzystają nie ci, którzy powinni, co gorsza — wykorzystują je dla siebie, a nie dla dzieci. Mam czworo dzieci w wieku szkolnym. Uczę się bardzo dobrze, otrzymują nagrody, ale ja „karę" siedzą w domu, gdyż i od kiedy przeszłam na emeryturę, to nie mam żadnych uprawnień socjalnych; dzieci nie są wysyłane na kolonie, na wczasy ani na sprzątanie ich nie robimy. Ja się bynajmniej nie żalę, tylko wściekłość mnie chwyta, bo ludzie myślą, że z racji posiadania wielu dzieci jestem uprzywilejowana.

Barbara M. (48 lat, ekonomistka, matka dwojga dzieci): — W dzisiejszej polityce społecznej nie zbyt daleko z pomocą dla rodzin wielodzietnych i dlatego jest ich tak dużo. Wiele kobiet idzie na łatwiznę, posiedzi frzy lata w domu, a przez ten czas nakupi bez kolejek atrakcyjnych towarów. Wychowałam dwie córki, oczywiście mogłam mieć więcej dzieci, ale uważałam, że tylko dwojgu mogę zapewnić jakie takie warunki życia. Sądzę, że nadmiernymi przywilejami socjalnymi pogłębiamy jedynie lazyzm w kraju. W moim niedużym zakładzie pracy przypadki nadużyć są bardzo częste i to z funduszu socjalnego, a to mamy kilka rodzin wielodzietnych, cały fundusz przechodzi do ich kieszeni. A przecież większość, to ludzie około trzydziestki i nie można powiedzieć, że napłodzili dzieci z nieświadomości, nie wiedząc jak się tego ustrzec.

Stanisław J. (29 lat, urzędnik, bezdzietny): — Dość dziwne jest jej stanowisko w sprawie dusiną prawą. I tylko rodzice powinni ponosić odpowiedzialność za ich wychowanie. Tymczasem wiele osób wychodzi z założenia, że im więcej dzieci, tym większe korzyści materialne. A co na ogół robią rodzice np. brożą dzieci, którym nikt nic nie „daje", nie „przysposzą", nie „umarza kredytów" i nie robi żadnych premiów? Pracuję w instytucji, która zajmuje się przydzielaniem różnego rodzaju świadczeń, m. in. rodzinom wielodzietnym. Często spotykam się ze stwierdzeniem, że im więcej dzieci, tym lepiej. Jak długo będziemy jesaem pomagał tym rodzinom, które często bez zastanowienia i jakiejkolwiek odpowiedzialności decydują się na kolejne dziecko, myśląc: „jakoś to będzie"?

*

Może Czytelnicy zechcą dorzucić swoje opinie do tej mini-sondy? Zapraszam.

DANUTA BINEK

DZIECI WCIĄŻ PRZYBYWA

Cieszyć się czy smucić?

Demografowie systematycznie dokonują korekt w prognozach. Dziś dość optymistycznie patrzą w przyszłość. Ich optymizm jest uzasadniony. W przeciwieństwie do niektórych krajów europejskich naszemu społeczeństwu nie grozi zestarzenie się. Nie wisi też nad nami widmo przeludnienia, mimo iż w latach 1982 i 1983, podobnie jak w okresie powojennym, liczba urodzin znów przekroczyła 700 tys. Władze oświatowe mają natomiast niepórównanie mniej powodów do radości, zwłaszcza w momentach, gdy na biurka pracowników resortu oświaty wpływa kolejna korekta do wieloletniej prognozy demograficznej. Ostatnio zdarzyło się to w końcu ubiegłego roku.

Według prognozy z 1980 r. liczba dzieci w wieku przedszkolnym miała wzrosnąć w latach 1981—85 o 163 tys. w porównaniu z poprzednim pięcioleciem. Poprawka z listopada 1983 r. zwiększyła tę liczbę do 186 tys. Na te wielumilionów obywateli naszego kraju jest ona niewielka. Nie wprowadzony w sedno sprawy Czytelnik może zapytać: w czym rzecz? Otóż dzieci nie rodzą się równomiernie w poszczególnych regionach i we wszystkich latach. **W Polsce od pewnego czasu przychodzi ich na świat znacznie więcej w miastach niż na wsi, jak to dawniej bywało. Skutki odczuwają więc przede wszystkim miejskie placówki oświatowe.**

W 1983 r. przedszkola i klasy przedszkolne skupiały 47,6 proc. roczników w wieku 3—6 lat. Był to kolejny rok, w którym ten odsetek się uległ zwiększeniu. W tym czasie, głównie w miastach, zabrakło miejsca dla ponad 61 tys. dzieci. Liczba ta byłaby jeszcze większa, gdyby nie przekroczono obowiązujących norm w grupie przedszkolnej (25 osób). Utrudnia to wprawdzie pracę wychowawczyniom, zmniejszając wpływ na dzieci, ale dzięki temu „zapchnięto" dodatkowo ponad 82 tys. maluchów.

Jeden powód rosnącego nacisku na zwiększenie liczby miejsc w przedszkolach, to liczne roczniki wyżowe. Drugim jest ponowny wzrost aktywizacji zawodowej kobiet. Nie towarzyszy temu wzmożone inwestowanie. Plan z 1983 r. przewidywał przekazanie 202 przedszkoli, oddano do użytku 157 obiektów. Perspektywy są jeszcze gorsze. W tymże roku planowano położenie kamienia węgielnego pod 204 budynki, a możliwości starczyło tylko na 81. Skoro nie rozpoczęto budowy — nie będzie można przekazać odpowiedniej liczby obiektów w latach następnych.

Wspomniałam, że ostatnia poprawka w prognozie demograficznej została dokonana w listopadzie 1983 r., a więc w momencie, gdy plany społeczno-gospodarcze zostały już zatwierdzone. Tymczasem owa korekta, **ujawniająca większą liczbę dzieci w wieku 3—6 lat, pozostawia prawd władzami oświatowymi**

konieczność utworzenia w 1985 r. ponad 1000 oddziałów w przedszkolach, a więc prawie 300 więcej niż pierwotnie przewidywano. Jeśli przyjąć, że przeciętnie przedszkole powinno skupiać około 150 dzieci, choć mamy bardzo wiele mniejszych, to dla zaspokojenia potrzeb nowych roczników należałoby wznieść w latach 1981—85 około 1250 obiektów czyli średnio 250 rocznie. Nie poprzestałoby to generalnie sytuacji, ale powstałaby możliwość utrzymania stanu sprzed czyli względnego zaspokojenia bieżących potrzeb. Plan inwestycyjny przewidopodobnie nie zostanie jednak wykonany.

Korekta w prognozie oznacza dla planistów także konieczność zatrudnienia w przedszkolach dodatkowo ponad 3800 nauczycieli. Temu zadaniu władze oświatowe będą w stanie podołać.

Opracowany niedawno „Rządowy program rozwoju bazy materialnej oświaty i wychowania w latach 1986—95" daje obraz globalnych potrzeb m. in. w dziedzinie wychowania przedszkolnego. Jeśliby więc planować objęcie opieką przedszkolną 62 proc. dzieci w 1990 r., to trzeba w latach 1986—90 budować średnio, co roku, 320 obiektów na ponad 31 tys. miejsc. Czy władze terenowe, na które spadłby ten wysiłek, będą w stanie podołać tak wielkiemu zadaniu? Pamiętamy, że trzeba zbudować także wiele szkół. Będzie to jedno z pytań, na które będą musiały odpowiedzieć nowe rady narodowe.

Oświata nie ma szczęścia do polityków społecznych. Plany rozwoju tej dziedziny życia wielokrotnie oparte były na niezbyt precyzyjnych danych demograficznych, co powodowało rozmijanie się zamierzeń z potrzebami. Miejmy więc nadzieję, że rady narodowe będą w stanie bardziej precyzyjnie trzymać rękę na pulsie także i tych spraw.

JERZY KRAŚNIEWSKI

20 LECIE DUNAJEC

KRZYŻÓWKA NR 49

POZIOMO: 7) jedna z pór roku, 10) „utrzymuje się zawsze na wierzchu" (nie zawsze w sposób uczciwy), 11) znak muzyczny, przedłużający czas trwania nuty lub pauzy, 12) mędrkuje z przesadną powagą, 13) zjada ryby, które sama złowi, 14) państwo federacyjne w Ameryce Pn. i Oceanii, 15) „podgląda" gwiazdy, 18) szczeciniasto owłosione liście lub rzekoma bogini Słowian, 21) pierwiastek chemiczny należący do rodziny lantanowców, 22) przodek miota pneumatycznego, 24) tkanina używana na obicia meblowe, portiery itp, 25) nieraz ogarnia emigrantów, 26) chaos, rozgardiasz, 28) może być niebieska, pozytywna lub wpływów, 30) „połęga jest i basta" 32) w gcoł. — pionowe przemieszczenie warstw skalnych z przerwaniem ich ciągłości, 34) miasto w zach. Hiszpanji z cennym zespołem zabytków (XV—XVIII w.), 38) republika w zach. Afryce, 39) król Celtów, przywódca drużyny rycerzy Okrągłego Stołu, 40) nie do każdego się uśmiecha, 41) na tej wyspie znajduje się Anglia, Szkocja i Walia, 45) czeka niejednego z szukających szczęścia na obczyźnie, 49) był także prekursorem uprawy winorośli i wyrobu wina, 50) z liści tej rośliny smaczna zupa, 51) adoba głowę władcy, 52) paliwo silników gaźnikowych, 53) kupowanie towarów celem dalszej sprzedaży, 54) mieszka za ścianą.

PIONOWO: 1) największy port Grecji, 2) urzędnik policji ziemskiej w Polsce przedrozbiorowej, 3) duża wrzchnia szała łudów Wschodu, 4) przechadzka lub przejażdżka, 5) długa, nudna przemowa, 6) fason płaszcza (rodem z Anglji), 8) zdanie użyte dla przekonania oponenta, 9) zderzenie na jezdni lub na stole bilardowym, 16) galera starożytnych (o trzech rzędach wioseł), 17) odmiana lienu stosowana do odkażania wody, 19) ojciec „Nany", 20) najstarszy z Greków walczących pod Troją, 23) instrument dla pianisty, 24) niańczyła dzieci, 27) bywa uparty jak osioł, 29) znany ośrodek turystyczny (nad jeziorem) w woj. suwalskim, 31) życzenia może przyjmować w październiku, 33) niegdyś był w Małopolsce głównym ośrodkiem górnictwa kruszcowego, 34) puchacz, pójdzka lub płomykówka, 35) drugi pod względem wielkości obszar wody na Ziemi, 36) dawna karczma, oberża, 37) kryty wóz dwukołowy koczowników w Turcji, 42) powoduje powstanie frakcji, 43) chlewna czyli nierogacizna, 44) „Kamizelka" do czytania, 46) imieniny może obchodzić z Leonem, 47) suche gałęzie, 48) trunek.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 31 grudnia 1984 r.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 47

POZIOMO: 1) sprawa, 9) recepturn, 10) pomnica, 11) garnuszek, 12) dzwonko, 13) Nana, 14) pisk, 15) opar, 18) okon, 19) less, 22) baretka, 26) namiastka, 27) rezerwa, 28) szarawary, 29) lowisko, 30) mianownik, 31) alegat.

PIONOWO: 2) pożywka, 3) aliant, 4) Aragon, 5) schron, 6) opium, 7) przedsionek, 8) źródło, 14) Plowce, 16) przetacznik, 17) reje, 20) parasol, 21) strawne, 22) barylka, 23) Rozewie, 24) turysta, 25) amator.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 47, drogą losowania nagrody otrzymują: Kazimierz Bartkowski ze Stróż oraz Edmund Głowacki z Nowego Sącza.

Gratulujemy!

DOLOMIT

Do licznych bogactw, których nie stąpi polska ziemia (a które nie zawsze potrafimy właściwie docenić i wykorzystać), należy dolomit. Rocznie wydobywamy go w kraju ok. 7 mln ton. Do najważniejszych użytkowników tego minerału należy hutnictwo i budownictwo, przemysły: materiałów ogniotrwałych, ceramiczny, chemiczny szklarski. Ostatnio coraz częściej sięgają po niego także rolnictwo i medycyna.

Zasoby dolomitu są w Polsce duże (mnie w regionach: śląsko-krakowskim, kieleckim, dolnośląskim i łódzkim), jego producenci dążą do pełnego zagospodarowania tego cennego minerału. Rzecz w tym, że podczas urabiania, kruszenia i odsiewu powstaje odpadki o średnicy do 10 milimetrów które do niedawna traktowano jako faktyczny odpad i w całości wyrzucano na hałdy. A były i są to ilości niebagatelne, dochodzące do 40 procent całości urobku. Np. na hałdach wokół kopalń Bytomskich Zakładów Dolomitowych znajduje się ok. 5—6 milionów ton takiej drobnicy, a rocznie powstaje jej około 1,4 miliona ton (licząc tylko składy dolomitowe w Bytomiu, Szczakowej i Chrzanowskie Zakłady Materiałów Ogniotrwałych).

Prowadzone badania dowiodły, że taki dolomit — po dalszym rozdrobnieniu i przerobce — jest doskonałym nawozem dla rolnictwa.

Przemysłowa działalność człowieka zburzyła równowagę w przyrodzie, zaszlodziła bardzo powietrzu, wodzie i glebom. Około 60 procent gleb w Polsce jest zakwaszonych, a około 40 procent cierpi na tzw. głód magnezowy. Na przywrócenie im pełnych, pożądanych przez rolnictwo właściwości potrzeba rocznie około 3,8 mln ton nawozów dolomitowych, których stosowanie poprawia jakość gleb, podnosi plony o 10—12 procent, wzbogaca plody ziemi o cenne wartości odżywcze.

Bez zainteresowanie rolnictwa tym nawozem powodzi, że kopalnie dolomitu podjęły krok mające na celu lepsze wykorzystanie tego minerału. W ubiegłym roku przemysł materiałów ogniotrwałych produkował około 350 tys. ton takich nawozów, lecz potrzeby rolnictwa znacznie przerastają obecne możliwości producentów.

Według badań przeprowadzonych przez Instytut Upraw, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, do najlepszych odpadów zakwalifikowano dolomit ze złoża w Siewierzu. Przyznane przez rząd fundusze pozwoliły na podjęcie budowy przemiałowni dolomitu na cele rolnicze. Jej rozruch przewidziany jest w 1987 r., ciągle jednak jest to o wiele za mało. Zakładom dolomitowym nie starcza własnych środków na rozbudowę prostej mechanizowanej, bez przetwórczej drobnego dolomitu.

Dolomit, którym przyroda tak hojnie obdarzyła nasz kraj, z uwagi na zawarte w nim spore ilości magnezu i wapnia jest także bezcennym środkiem w profilaktyce zdrowotnej.

Już w latach 30-tych naszego wieku prof. Pierre Delbet zwrócił uwagę, że na terenach o podłożu dolomitowym znacznie rzadziej niż w innych regionach Francji występowały choroby nowotworowe i miażdżycowe. W około 40 lat później badania wykazały, że dietą ubogą w magnez można wyrządzić u szczurów białaczkę, a brak wystarczających codziennych dawek jonów magnezu- jest u ludzi przyczyną wielu schorzeń i chorób cywilizacyjnych — somatycznych i psychicznych.

Wiadomo także, że magnez jest aktywizatorem około 300 enzymów działających w komórkach i płynach ustrojowych żywych organizmów. Prawidłowe funkcjonowanie jednego z gruczołów — gratcy — neutralizuje ostrego rakotwórczość, jest uzależnione od magnezu. Magnez wypiera także z organizmów ołów, jeden z tzw. pierwiastków śmierci, który w przypadku niedoboru zjonizowanego magnezu przenika tkankę mózgową i powoduje liczne zaburzenia u człowieka. Zmiana ta jest najczęściej spowodowana alkoholem który znacznie obniża poziom magnezu w tkankach mózgowych.

W końcu lat 70-tych zrodziła się koncepcja szybkiego uzupełniania niedoboru magnezu drogą wzbogacania wybranych artykułów spożywczych i mieszanin zawierających dolomitem specjalnym (spożywczym, pszennym i farmaceutycznym). W wielu krajach produkuje się tabletki dożwalające i na ogół powszechnie dostępne w aptekach i drogeriach.

W naszym kraju prekursorem i rzecznikiem stosowania w pożywieniu dolomitu i w ogóle mikroelementów jest prof. Julian Aleksandrowicz z Krakowa. Problem ma u nas bardzo mniej zrozumienia i zwolenników. Co prawda skusiło się nań rolnictwo, ale sfery medyczne — przynajmniej oficjalnie — zachowują na ogół wstrzemięźliwość w wypowiadaniu się na temat jego stosowania i pozytywnego wpływu na organizm ludzki.

W Krakowie i Tarnowie — na rynie na skromną skalę — wypieka się pieczywo z dodatkiem dolomitu, na Śląsku wyprodukowano pierwsze partie dolomitowych tabletek, gdzieniegdzie można zdobyć sproszkowany dolomit; podobno a niezłym skutkiem stosowano dodawanie magnezu do alkoholu, „Magnezówka", czy „Dolomitówka" nie pozbawia ludzi sfrustrowanych „odprężenia alkoholowego", a jednocześnie — zapobiega nadmiernemu wypłukiwaniu z tkanki mózgowej życiowo ważnych biopierwiastków zmniejszając nieco negatywne skutki tego nałogu dla zdrowia fizycznego i psychicznego.

MARIAN RYGLEWICZ

Zaprosili nas

Miejski Komitet Stronnictwa Demokratycznego w Nowym Sączu na Zjazd Delegatów;

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Nowym Sączu na IV sesję;

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu na otwarcie 40 dorocznej wystawy nowosądeckiego środowiska artystów plastyków;

Biuro Wystaw Artystycznych w Zakopanem na otwarcie wystawy „Tatry w dawnej fotografii", „Karbunarze";

Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Nowym Sączu na święto patrona szkoły;

Zarząd Okręgowego Związku Piłki Siatkowej w Nowym Sączu na Wojewódzki Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy;

Ognisko TKKF „Karate" w Nowym Sączu na turniej bryda sportowego par.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al. Wolności 49. Telefony: 228-36, 228-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wiślna 6, pok. 58, telefon: 22-32-08, 22-75-88, wewn. 161, telex: 0322443. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków, al. Pokoju 3

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki na zagranicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

Obrazki z życia Marka B.

Zaczęło się wszystko pewnego jesiennego wieczoru roku 1982, kiedy to w restauracji hotelu „Kasprowy” bawiący gościnnie w Zakopanem Marek B., poznał reprezentacyjną pannę Annę, od jakiegoś czasu rezydującą tutaj i dysponującą własnym numerem hotelowym. W ów wieczór dama nie miała nic przeciwko pogawędkom męsko-damskim, a zadowolony ze wstępnych sukcesów Marek zaproponował, by przenieść konwersację w zacisze czterech ścian pokoju hotelowego. Uzyskał okraszoną uśmiechem zgodę. Marek, jako człowiek światowy, polecił kelnerowi dostarczyć pod wskazany numer butelkę szampana, po czym wraz z towarzyszką zniknął z oczu restauracyjnych gości. Panna Anna nie zapamiętała przebiegu intymnych rozmów, gdyż zmogła ją wielka niemoc. Ocknęła się dopiero następnego dnia i stwierdziła, że zniknęły jej dolary tudzież złota biżuteria, o czym — po wyczerpaniu własnych możliwości detektywistycznych — doniosła Milicji. Milicja z trudem ustaliła dane osobowe Marka B., ten jednak zdążył już opuścić Zakopane, nie pozostawiając informacji o kolejnym miejscu swego pobytu. Prokurator musiał więc zawiesić postępowanie do czasu ujęcia hotelowego złodzieja.

Po jakimś czasie milicyjnymi kanałami dotarła wiadomość, że Markowi powinęła się noga w Warszawie, na kolejnej kradzieży. Nim jednak akta zakopiańskiego śledztwa przesłano do stolicy, Marek B., skierowany na przebadanie do Szpitala Psychiatrycznego, zdołał uciec i znów ślad po nim zaginął.

Dodajmy, że Markowi B. przestało się podobać jego własne, rodowe nazwisko. Wielką miłością zapałał natomiast do pseudonimu artystycznego jednego z najbardziej znanych kompozytorów pracujących na potrzeby lekkiej muzy. W efekcie tej Marka zachcianki nieszczęśliwy kompozytor przeżył istne katusze, gdyż wydzwaniali do niego ludzie najrozmaitszych profesji (taksówkarze, panienki lekkich obyczajów, majętne właścicielki z branży rzemieślniczej) z żądaniem zwrotu zaciągniętych pożyczek, z inwektywami, pogróżkami bądź propozycjami matrymonialnymi. Dzwonił Dziwnów, Karpacz i Ustrzyki. W dodatku, co jakiś czas kolejna jednostka milicyjna wzywała go w swoje progi dla przeprytania i przywołania do porządku prawnego. Kompozytor S. rychło więc już bez zająknięcia recytował, iż pod jego artystyczny pseudonim podszywa się oszust o manierach wcale nie artystycznych, będący powodem jego wszelkich zgryzot i stresów moralnych.

Milicjanci nie zawsze wierzyli na słowo i ustawiali artystę między przybranymi na tę okazję osobami, by przeprowadzić urzędową czynność zwaną okazaniem. Z czynności tej artysta wychodził zawsze czysty, gdyż poszkodowanych „nacinał” osobnik solidnych rozmiarów, a nasz kompozytor jest postury raczej mizernej.

Pewnego razu, gdy S. przebywał na twórczych wczasach w zakopiańskim „ZAiKS-ie”, zastał w recepcji urzędowe wezwanie do siedziby Milicji. Z góry przygotował się, iż znów będzie okazywany, a potem przepraszany za fatygę. Zdziwił się więc niepomiernie, gdy oficer dochodzeniowy Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych zapytał, co on, jako osoba prześladowana przez niejakiego Marka B. wie o swoim prześladowcy. Kompozytor wiedział niewiele poza tym, iż jest to ktoś wyjątkowo wredny i podły. Artysta zaznaczył jednak, że jego sąd jest subiektywny, zrodzony z doznanych przykrości. Następnie spytano, czy zna przynajmniej fizjonomię swego przeciwnika? Owszem, fizjonomia ta wbiła się głęboko w pamięć kompozytora, gdyż z okazji swych wizyt w jednostkach MO w całym kraju zapoznał się z portretami pamięciowymi tudzież zdjęciami osoby podszywającej się pod jego pseudonim. Teraz więc przytaknął funkcjonariuszowi. Efektem tego przytaknięcia było zaproszenie artysty do pokoju przesłuchań, gdzie okazano mu towarzystwo brodaczy, wśród których bez trudu rozpoznał swego prześladowcę. Wskazana przez kompozytora osoba oświadczyła, iż nazywa się Marek K. A zatem ani Marek B., ani też pan S. Dla kompozytora najważniejsze było jednak to, iż przyczyna jego nieszczęść wstydu i sromoty znajduje się w rękach Milicji. Wierzył, iż niezależnie od tego, jak faktycznie nazywa się okazany mu osobnik — znajdzie się za kratkami, a z niego samego spadnie odium złej sławy i wreszcie będzie mógł spokojnie pracować twórczo. Gotów był nawet skomponować hymn pochwalny na cześć zakopiańskiej Milicji.

Zostawmy jednak kompozytora, a prześledźmy losy człowieka, który podał, że nazywa się Marek K. i jest znanym w środowisku warszawsko-poznańskim scenografem, zaangażowanym przy kręceniu filmów, i to nie tylko w kraju. Kolejno przesłuchującym funkcjonariuszom i prokuratorowi podawał również, że zamieszkuje w willi w Podkowie Leśnej i ma takie stosunki, iż z milicjantami, którzy go właśnie przesłuchują, może zrobić... Najskromniejszą groźbą było zwolnienie nieobytego w wielkim świecie milicjanta z pracy.

Funkcjonariusze jednak, nie bacząc na rzekome towarzyskie powiązania brodacza, przekazali odciski jego linii papilarnych do Centralnej Registratury w Warszawie. Odpowiedź była jednoznaczna — zatrzymany osobnik to Marek B., a więc człowiek, który pokrzywdził pannę Annę i systematycznie niszczył kompozytora.

Wpadka Marka B. na zakopiańskim terenie wynikła z jego nieprzezorności. Do bawiącej w Zakopanem znanej dziennikarki krakowskiej przysiadł się w jednym z barów brodacz, który miał tak płynną wymowę, i szafował takimi znajomościami w branży artystyczno-dziennikarskiej (nie tylko polskiej), że dziennikarka zaczęła odczuwać swój prowincjonalizm. Kudy jej tam bowiem do nazwisk z pierwszych stron gazet i kinowo-telewizyjnych ekranów! Czas upływał bardzo szybko i dziennikarka ani się spostrzegła, jak wyraziła zgodę na dalszą konwersację w „Obrochtówce”, a potem w „Wierchach”. W „Obrochtówce” w pogawędkę wciągnięty został także właściciel lokalu, któremu brodacz przedstawił możliwość kupna od ręki po okazyjnej cenie samochodów marki „Volvo”, „BMW”, lub też japońskich, o nazwie niespotykanej w Polsce. Okazja ta miała mieć związek z wyjazdem pana reżysera-scenografa na korzystny kontrakt do Szwecji. Brodacz imponował towarzystwu; szybko upływały kolejne godziny. Drobne perturbacje wystąpiły z chwilą wykupywania biletów do „Wierchów”, gdyż reżyser przypomniał sobie, iż wydał tego dnia całą zawartość portfela. Jutro podejmie z książeczki PKO odpowiednią kwotę, dziś jednak prosi dziennikarkę o pożyczenie kilku tysięcy złotych. Dziennikarka naruszyła więc stan swej portmonetki. Czegóż się bowiem nie robi dla gentelmena! Ten jednakże okazał się gentelmenem tylko przez godzinę, po czym znikł bez zapowiedzi. Minął dzień i drugi, a brodacz pożyczki nie zwracał. Trudno go było odnaleźć w „ZAiKS-ie”, do którego przychodził czasami, jak oświadczyła kierowniczka, na obiady bezmięśniaki. Miał jednak pecha, gdyż przypadkowo został namierzony przez dziennikarkę na ulicy i wskazany patrolowi Milicji.

Marek B. znalazł się więc w areszcie śledczym, gdyż Prokurator Rejonowy w Zakopanem wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. W trakcie śledztwa zaczęły wychodzić na jaw różne dziwne sprawki pana Marka. Było ich wiele, jako że Marek w wielu miejscach bywał i różnych rzeczy w przeszłości dokonał.

Na przykład pewnego dnia zjawił się na próbie w Państwowym Teatrze im. A. Węgierki w Białymstoku, gdzie przed zgromadzoną bracią aktorską wystąpił jako producent i reżyser filmowy pilnie poszukujący nieogranych twarzy aktorskich. Wystąpienie jego zrobiło wrażenie na obecnych. Pan reżyser szczególnie ciepło przywitał się z młodą aktorką Zofią A., której przyznał się do zażyłej znajomości z jej ojcem — wziętym lekarzem białostockim. Rozmowa toczyła się wartko, aż w pewnej chwili przybysz zwierzył się aktorce z prozaicznego kłopotu: oto na trasie zepsuł mu się zagraniczny samochód, a pieniądze akurat też w tym dniu „wyszły”. Skromnie poprosił więc o kilkunastotysięczną pożyczkę. Zofia A. bez oporów wyciągnęła potrzebną kwotę. I tyle widziała reżysera.

W Rabce przez jakiś czas przebywał Jerzy Jan J. (odbywający obecnie kolejną karę pozbawienia wolności). W restauracji „Kalinka” zapoznał się z brodatym mężczyzną, cwaniakiem „kutym na cztery nogi” — jak określił później — który jego, znanego w kraju oszusta, potrafił „wykolegować”. Jerzy Jan J. stracił kilkaset amerykańskich dolarów i trochę polskiej gotówki. Strata materialna była mniej istotna — ważniejszy był dyshonor zawodowy, a tego w profesji łatwo się nie przebacza.

W miejscowości Głowno, leżącej w okolicach Łodzi, taksówkarz Jerzy W. dokonał jakiejś malwersacji, za co trafił do więzienia. Żona z utęsknieniem oczekiwała na powrót męża w domowe pielesze. Do końca wyroku pozostało sporo czasu, gdy pewnego dnia w domu Anny W. pojawił się brodacz, który przedstawił się jako Marek B. i poinformował nieutuloną w żalu słomianą wdowę, że zna skuteczny sposób na wyciągnięcie męża z więziennych murów. Sposób ten należy jednak opłacić, i to słono. Cóż miała począć nieszczęsna Anna W.? Skrzyknęła rodzinę i żądane 80 000 zł uskładała. Marek B. podjechał pod dom Anny taksówką i wywiózł kobietę do Warszawy, oczywiście na jej koszt. Tu usadowił ją w reprezentacyjnej kawiarni, koniak i kawę zamówił, a sam udał się z gotówką do ważnej osoby załatwić zwolnienie Jerzego W. Anna w kawiarni siedziała ponad godzinę, wreszcie poczuła niepokój o pana Marka i swoje pieniądze. Warszawa jest jednak dużym miastem i trudno w nim było znaleźć zgubę.

Takimi to sposobami Marek B. żył sobie na koszt innych wygodnie i dostatnio. W końcu jednak i jemu powinęła się noga. Nie może więc zaliczyć upływającego za kilka dni roku do najbardziej szczęśliwych w swym życiorysie.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 24)

a rozumiał ją w szerokim znaczeniu. Każda żyjąca istota była mu bliska. Nie polował, aby nie zabijać. Był z zasady wegetarianinem, żartobliwie twierdząc, że „nie pożera bliźnich”.

Niesienie pomocy, oddanie usługi uważał za przyjemność, a nawet za cza em za szczęście. Błysk radości w oczach wdzięcznych był mu nagrodą. Martwił się tylko wtedy, gdy czuł się bezsilny wobec cudzej niedoli.

Obojętna i lekceważąca postawa Stefci, będąca przeciwstawieniem tego, co zauważył na początku, wzbudzała jego podziw i zachwyt. Tłumaczył ją sobie wyrafinowanym taktem, zdumiewającym w tak młodej istocie.

Widział ją słaniającą się z niepokoju, gdy struchlała o życie męża, a następnie pielęgnowała go z czułością. A więc musiała cierpieć, choć umiała ból przezwyciężyć, a wobec ludzi była pogodna i wesoła.

Uczuciem prawdziwej nienawiści pałał rzeźbiarz tylko do Naty, kusicielki, przyczyny nieszczęścia. Uważał ją za zbrodniarkę i poniekąd żałował Rogera, który padł jej ofiarą.

Nad tą całą sprawą zastanawiał się głęboko, nie opuszczała jego myśli, prześladowała go, jak gdyby była jego własną.

Dręczyły go cyniczne uwagi, zjadliwe dowcipy, ciekawość malująca się we wszystkich oczach zwróconych na bohaterów romansu. Gdy rozmowa toczyła się na ten temat, stawał się opryskliwy, choć złościła go własna wrażliwość.

Na próżno powtarzał sobie, że nie powinny go obchodzić sprawy sercowe obcych mu osób, spotkanych tylko przypadkowo, z którymi los w niczym go nie wiąże.

Postanowił wyjechać, lecz jakoś nie mógł się na to zdobyć, zwlekał z dnia na dzień, a tylko uciekał w góry, lubując się widokiem skał twardych, niezłomnych, wiecznych. Przyrodę kochał jak najdroższą, najwierniejszą przyjaciółkę.

— Słońce świeci jednakowo dla każdego, ogrzewa bogacza i nędzarza, szczęśliwca i desperata, jest prawdziwym socjalistą — myślał, wypoczywając podczas samotnej wycieczki.

Poranek był wyjątkowo chłodny, więc radosny promień, który błysł rozdzierając szare obłoki, sprawił mu wielką przyjemność. Usiadł na omszałym głazie, zapalił krótką fajkę, z którą się nigdy nie rozstawał, i rozejrzał się dokoła. Znajdował się w dobrze znanym zakątku. Otaczały go z trzech stron siwe, strome, skaliste ściany, tworząc olbrzymi amfiteatr wznoszący się nad uroczą doliną Chamonix, rozświetloną właśnie jaskrawymi promieniami. Wśród zieleni łąk, błyszczącym zygzakiem wiła się rzeka Arve pomiędzy wioskami i mieścinami przedzielonymi gajami drzew liściastych i szpilkowych.

Strzeliste wieżyczki świątyń, gmachy nowoczesnych hoteli, czerwone i białe dachy wyłaniały się z ogrodów, owianych srebrzystą mgłą.

Korowód ołowianych, żałobnych chmur przesuwał się wzdłuż łańcucha gór, niektóre zwisały nad urwiskami jak strzępy ciężkich kotar inne wsiąkały w przepaście, zapełniając je kłębami oparów.

Obłoczki lekkie i puszyste snuły się pomiędzy ostrymi szydłami skał, lub pieniły się nad ciemną taśmą borów.

Niejeden szczyt zdawał się róść, ogromnieć, dymić jak wulkan lub zdobić się basztami, wieżycami, jak gdyby nagle osiadły na nim potężne ruiny legendarnego zamczyska bronionego przez hufce tytanicznych rycerzy — upiorów.

Ziemia stykała się z niebem. Masywne ociężałe cielska chmur, prześwietlone słońcem, czyniły wrażenie granitowych bloków, a góry stroiły się w różnobarwne powłóczyste płaszcze obłoków, przetykane srebrem i złotem.

Jedynie najwyższy szczyt pod wąskim pasmem lazuru bielił się, iskrzył brylantową koroną jak dumny, pyszny, wszechwładny monarcha.

Fałowicz napawał wzrok wspaniałością widowiska, wchłaniał je, jakby pragnął uwiecznić w duszy lub utrwalić w marmurze.

Odgłos kamyka staczającego się z góry zbudził go z zadumy. Na stromej ścieżynie, wiodącej do kamiennej płaszczyzny, ukazała się sylwetka kobieca, lecz dopiero gdy się zbliżyła, rzeźbiarz poznał w niej Stefcię.

(Ciąg dalszy nastąpi)

PIĄTEK — 21 XII

PROGRAM I

9.40 Film dla II zmiany: „Odwieczny zew" (16)
10.50 DT — wiadomości
16.20 Program dnia
16.25 DT — wiadomości
16.30 „Galeria"
16.55 „Piątek z Pankracym"
17.20 DT — wiadomości
17.30 „Związek zawodowy — jaki jest?"
18.00 „Bez próby"
19.00 „Chłopiec z plakatu"
19.10 „Telekino"
19.30 Dziennik
20.00 „Monitor rządowy"
20.30 „Odwieczny zew" (16)
21.45 DT — komentarze
22.10 Studio Sport
22.50 „Rytm serca" — film TP
24.00 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Oferty nauki polskiej"
18.00 „Spróbuj sam"
18.30 Kronika
19.00 „Obyczaje codzienne"
19.20 Przeboje „Dwójki"
19.30 Dziennik
20.00 „Przyjechała telewizja"
20.30 „Jarmark"
21.15 DT — wydarzenia
21.30 Galerie świata
22.00 William Szekspir — „Miarka za miarkę"
0.25 DT — wiadomości

SOBOTA — 22 XII

PROGRAM I

8.25 Program dnia
8.30 „Tydzień na działce"
9.00 „Sobótka"
9.30 DT — wiadomości
10.40 Jarosław Abramow-Newerly — „Klik-klak"
11.45 „Na estradzie i w zakładzie"
12.30 „Hobby"
13.00 „Poradnik rolniczy"
13.25 „Podróże bez biletu"
14.30 „Do zwycięstwa"
15.00 DT — wiadomości
15.10 „W świecie ciszy"
15.40 „Śladami naszych czasów"
16.30 „Srebrzysta rewia" — film fab. prod. ZSRR
17.25 Studio Sport
18.10 Losowanie Dużego Lotka
18.20 „Pegaz"
19.00 „Bajki Bolka i Lolka"
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 Dziennik
20.00 „Zagraj to jeszcze raz" — komedia prod. USA
21.30 „Na żywo"
22.00 Wiadomości sportowe
22.05 35-lecie Estrady Śląskiej
23.15 Kino nocne: „Długi weekend" — film prod. australijskiej

PROGRAM II

13.00—24.00 Sobota w „Dwójce"
13.00 DT — wiadomości
13.10 5—10—15"
14.10 Reportaże
16.00 „Widzieliśmy"
16.35 Reportaże
17.35 „Ciało bez tajemnic" (12)
18.30 Kronika
19.00 Reportaże
19.30 Dziennik (dla niesłyszących)
20.00 „Ze sztuką na ty"
21.30 „Tydzień w polityce"
21.40 „Spotkanie po latach" — film prod. USA
22.10 DT — wiadomości
23.15 „Czas relaksu"

NIEDZIELA — 23 XII

PROGRAM I

8.15 Program dnia
8.20 „Tydzień"
9.00 „Teleranek"
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Przygody roślin"
11.00 „Estrada folkloru"
12.20 „Wesołych świąt" — film TP
12.30 „Siedem anten"
13.30 „Kraj za miastem"
15.30 „Baśń o Godfrydzie Zwycięzcy"
15.50 DT — wiadomości
16.10 Program dnia
16.15 „Podróż sentymentalna do Sandomierza"
Aleksander Fredro — „Odludki i pustelnicy"
16.30 „Polska jesień w Bułgarii"
17.00 „Skarbiec"
17.40 Studio Sport
18.20 „Antena"
19.00 Wieczornyka
19.30 Dziennik
20.00 „Pociąg do konejs" — polska komedia

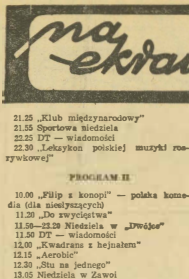

21.25 „Klub międzynarodowy"
21.55 Sportowa niedziela
22.25 DT — wiadomości
22.30 „Lekajkon polskiej muzyki rozrywkowej"

PROGRAM II

10.00 „Filip z konopi" — polska komedia (dla niesłyszących)
11.20 „Do zwycięstwa"
11.50—23.20 Niedziela w „Dwójce"
11.50 DT — wiadomości
12.00 „Kwadrans z hejnałem"
12.15 „Aerobic"
12.30 „Stu na jednego"
13.05 Niedziela w Zawoi
18.30 „Kino-Oko"

14.40 Cały ten polski rock (1)
15.20 Wielka gra
16.25 Gość „Dwójki"
16.35 „Wspaniały świat Disney'a"
17.30 „Jutro poniedziałek"
17.50 „Shackleton" (4)
18.55 „Grabieże kultury"
19.30 Dziennik (dla niesłyszących)
20.00 Sport w „Dwójce"
21.00 Spirituals Singers Band i jego goście (2)
21.30 DT — wiadomości
21.35 „Elżbieta, królowa Anglii" (3)

PONIEDZIAŁEK — 24 XII

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla dzieci: „Dziki kotek Ryn"
16.25 Program dnia
16.30 „Encyklopedia TDC"
16.55 „Ogrody zoologiczne świata" — Barcelona
17.20 DT — wiadomości
17.35 Aleksander Fredro — „Dwie blizny"
19.00 Wieczornyka wigilijna
19.30 Dziennik
20.00 „Opowieść o dwóch miastach" — film fab. prod. ang.
22.40 „Muzyczne prezenty pod choinkę"
23.15 „Gdynia — Radio"
23.30 „I stała się nowina" — widowisko poetycko-muzyczne

PROGRAM II

14.00 Program dnia
14.15 „Rycerze i rabusie" (3) — serial TP
15.00 Teatr dla dzieci: „Najwięksiy kraina świata"
16.00 „Zwierzęta mówią" (1)
16.10 „Chodziliśmy po dolinie" — reportaż
16.50 „Zwierzęta mówią" (2)
17.00 „Robotnicze kolędy"
17.20 „Zwierzęta mówią" (3)
17.30 „Dziadek i... wnuczki" — reportaż
17.45 „Zwierzęta mówią" (4)
17.55 „Czas się dzielić opłatkiem" — widowisko poetyckie
18.30 Kronika
19.00 „Zwierzęta mówią" (5)
19.10 „Mielerze" — reportaż
19.30 Dziennik
20.00 „GOPR-owska wigilia" — reportaż
20.20 „Piosenki pod choinkę"
20.40 „Mój Kraków"
21.00 „Spotkanie z balladą"
22.10 „Starszy pan I'm sorry"
22.50 „Kłamałam" — melodramat prod. polskiej

WTOREK — 25 XII

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla dzieci: „O czym szumią wierzby"
10.20 „Łowickie spotkania"
10.45 W starym kinie: „Cesarski piekarz" — film prod. CSRS
12.30 „Panda — super star"
12.50 „Telewizyjny Koncert Życzeń"
13.45 Teatr Młodego Widza: „Królowa Śniegu"
15.00 DT — wiadomości
15.10 „Przy rodzinnym stole" (1)
15.40 „Królowa na co dzień" — Anna Dymna
15.50 „Spacer po Warszawie pana Bolesława Prusa" — film dok.
16.20 Aleksander Fredro — „Nocleg w Apeninach"
17.20 „Królowa na co dzień" — Anna Dymna
17.30 „Z Polską w sercu"
18.10 „Złote płyty PRONIT-u"
18.50 „Królowa na co dzień" — Anna Dymna
19.00 Wieczornyka
19.30 Dziennik
20.00 „Papierowy książe" — film fab. prod. USA
21.40 „Jakże dzisiaj śpiewny świat"
22.10 „Królowa na co dzień" — Anna Dymna
22.25 „Sportowe pożegnania"
22.55 „Królowa na co dzień" — Anna Dymna
23.05 „Gwiazdy w zbliżeniu" — Tino Rossi
23.55 Kino nocne: „Flic story" — film fab. prod. francusko-włoskiej

PROGRAM II

12.00 Święta w „Dwójce" — program dnia
12.10 „Podróże na taśmie filmowej"
12.50 „Giełda marzeń" — wieczór i piosenki
13.20 „Szecherezada" — film fab. prod. francuskiej
15.00—19.30 Bogusław Kaczyński naprawia
15.05 Świąteczny gość — Joanna Rawik
15.20 „Świąteczny koncert kolęd"
16.10 Świąteczny gość — Nina Andrycz
16.20 Gra Ignacy Paderewski
16.30 Świąteczni goście — Mira Zimińska i „Mazowsze"
17.00 Śpiewa Jan Kiepura
17.10 Świąteczni goście
17.30 „Rose Marie" — musi cal filmowy prod. USA

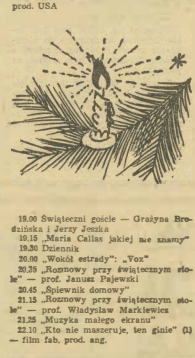

19.00 Świąteczni goście — Grażyna Brodzińska i Jerzy Jeszka
19.15 „Maria Callas jakiej nie znamy"
19.30 Dziennik
20.00 „Wokół estrady": „Vox"
20.25 „Roznowy przy świątecznym stole" — prof. Janusz Pajewski
20.45 „Spiewnik domowy"
21.15 „Roznowy przy świątecznym stole" — prof. Władysław Markiewicz
21.25 „Muzyka małego ekranu"
22.10 „Kto nie maszeruje, ten ginie" (1) — film fab. prod. ang.

ŚRODA — 26 XII

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla dzieci: „Rodzina Leśniewskich" — polski film fab.
10.30 „Krajobraz polski"
10.50 „Różowa pantera" — ang. komedia sens.
12.45 „Przy rodzinnym stole"
13.10 „Tum, gdzie rośnie wanilia" (2)
13.55 Teatr dla dzieci: „Pan Twardowski"
15.00 DT — wiadomości
15.15 „Szkoła pod żaglami"
16.00 Aleksander Fredro — „Wielki człowiek do małych interesów"
16.10 „Muzyczne prezenty pod choinkę" (2)
17.45 „Pamiętci ojców twoich" — rep
18.15 „Od kadryla do kung-fu" — ang. progr. rozrywkowy
18.50 Losowanie Małego Lotka i Express Lotka
19.00 Wieczornyka
19.30 Dziennik
20.00 „Gdyby Don Juan był kobietą" — francuski film fab.
21.30 „Janasowe narodzenie" — film muzyczno-poetycki
21.55 „Sportowe rekordy roku"
22.25 „Gwiazdy '84" (1)

PROGRAM II

11.00 Program dnia
11.10 „Zima pędzlem malowana"
11.30 Sport dla dzieci
12.35 „Kino-Oko"
13.35 „Sport i muzyka"
14.30 Film przygodowy
16.00 Piłkarskie wyzwie
17.00 „Liga przebojów sportowych"
17.30 Za kulisami — Madame Sans Gene
18.15 „Powrót Laudy"
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Dziennik
20.00 „Salon muzyczny"
21.00 „Ze sztuką na ty"
21.45 „Kto nie maszeruje, ten ginie" (2) — film fab. prod. ang.

CZWARTEK — 27 XII

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii: „Portrety Jonatana kota"
10.20 DT — wiadomości
10.30 Film dla II zmiany: Bergerac
16.20 Program dnia
16.25 DT — wiadomości
16.30 „O mnie, o tobie, o nas"
17.20 DT — wiadomości
17.30 „Interstudio"
17.55 „Rzemieślnicy"
18.05 „Żołnierskie uniwersytety"
18.30 „Sonda" — „Video '84"
19.00 „Miś Uszatek"
19.10 Kento „M"
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.30 Bergerac — film fab. prod. ang.
21.50 DT — komentarze
22.15 „Świat z blaka"
22.55 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 „Krajobrazy kultury"
18.30 Kronika
19.00 Telefunnel morski
19.20 Przeboje „Dwójki"
19.30 Dziennik
20.00 „Gorąca linia"
20.15 Johann Strauss — „Zemsta nietoperza"
21.15 DT — wydarzenia
21.30 „Punkt widzenia"
22.00 Kino młodych: „Zampana" — film TP
23.20 DT — wiadomości

PIĄTEK — 28 XII

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii: „Błękitny kołdrzmiec" — film prod. CSRS
9.45 Film dla II zmiany: „Odwieczny zew" (17)
10.50 DT — wiadomości
16.20 Program dnia
16.25 DT — wiadomości
16.30 Dla dzieci: „Majsterkopiele"
16.55 „Piątek z Pankracym"
17.20 DT — wiadomości
17.30 „Tele-gol"
18.00 „Bez próby" — „Kombi"
19.00 „Chłopiec z plakatu"
19.10 „Nie tylko dla wędkarzy"
19.30 Dziennik
20.00 „Monitor rządowy"
20.30 „Odwieczny zew" (17)
21.35 DT — komentarze
22.05 „Sprawa dla reportera"
22.45 „W domu" — film fab. TP
23.25 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Śledztwo w sprawie nauki"
18.00 „To trzeba wymyślić"
18.30 Kronika
19.00 „Pobocza sportu"
19.20 Przeboje „Dwójki"
19.30 Dziennik
20.00 „Z dymkiem cygara"
20.15 „Mądrej głowie" — „Przyszła baba do lekarza"
20.45 „Było, nie minęło"
21.15 DT — wydarzenia
21.30 Galerie świata
21.55 Pierre Martin — „Igraszki trafu i miłości"
[illegible] „Dzień [illegible]"
23.55 DT — wiadomości

Maksim Tank

KIEDYŚ...

Kiedyś zegarki
Nie spieszyły się tak jak
obecnie,
A każdy rok miał
O wiele więcej miesięcy
I dni świątecznych.
Schody w naszym domu
Miały znacznie mniej stopni,
Wszystkie drogi były krótsze,
Wiosny — zieleńsze
I zimy — bielsze.

Opowiadam o tym wnukom,
A te wisusy śmieją się,
Nie wierzą.

z białoruskiego przełożył
JAN HUSZCZA

Rozmaitości

WYBRAŁA BEATA DĘMBOWSKA

— UPARTY JESTEŚCIE KOZIOŁ, ALE 24-TEGO I TAK WSZYSTKO POWIECIE!

(„Gazeta Robotnicza")

Anegdotki

Sędzia: — Kiedy oskarżony nazwał pana nosorożcem?
Powód: — Przed trzema laty.
Sędzia: — Dlaczego oskarża go pan dopiero teraz?
Powód: — Wczoraj byłem pierwszy raz w ZOO.

*

— Nie uprawiam hazardu, nie piję, nie palę, nie zaciągam długów — zwierza się dziennikarce pewien aktor.
— Więc nie ma pan żadnych wad?
— Owszem, lubię kłamać.

*

Ktoś widząc, że kolega jest niespokojny spytał:
— Co się stało?
— Żona spodziewa się dziecka! Na to troskliwy:
— Podejrzewasz kogoś?...

Historia naturalna Mikołaja N.

Czasami przyczepi się do człowieka coś głupiego i w zasadzie nie ma na to rady. Choć bić głową o ścianę. Zaprze się i nie reaguje na perswazje. Głuchy na argumenty. Jakby go ktoś przypalantował nie w to miejsce co trzeba.

Tak to jest.

Kiedyś jeden Mikołaj, zrobił dziecku prezent.

Z czystej głupoty, zauważamy na marginesie.

Bez sensownego powodu.

Nie miał co robić i nagle pomyślał sobie: zrobię dziecku prezent!

No i zrobił.

W końcu, zdawało się, lepsza taka myśl niż żadna. Nie ma co znowu tak za bardzo przebierać.

Czasami zrobi się komuś prezent i nic.

Owszem, weźmie prezent, ale sprawy załatwić nie załatwi. Ale dziecko ucieszyło się z prezentu. Może dostawało mało prezentów albo coś w tym rodzaju? Trudno powiedzieć. Zresztą dziecko jak dziecko. Z tyla czego się cieszy. Takie ma już usposobienie. Dziecinne.

Tymczasem Mikołaja to wzruszyło. Po prostu rozsmakował się w sytuacji. Dziecko cieszyło się z prezentu, a Mikołaj cieszył się jeszcze więcej z dziecka.

Że takie zadowolone.

Wciągnął się. Jeżeli ktoś lubi sobie dogadzać, to dyskusja do niczego nie prowadzi. Jakby grochem o ścianę. Zresztą już było o tym na początku.

Z tym, że władze w zasadzie nic przeciwko temu nie mają. Dziwaczna obywateli są dla władz sprawą jakby drugorzędnej natury. W ramach przepisów, ma się rozumieć samo przez się.

W końcu każdy wariuje na swój sposób.

Proszę bardzo.

Mikołaj zaczął obdarowywać wszystkim, czym się dało. Ale dawało się z coraz większym trudem. Latał Mikołaj po sklepach, jeździł z dzielnicy do dzielnicy, kombinował gdzie by tu coś dla kogoś, wystawał w kolejkach. Jak kto głupi — nikogo nie urażając.

Wystarczyło, że gdzieś się pokazały śpiozki, w Milawie albo w Kluczborku, już tam Mikołaj był z workiem. Byle sobie sprawić przyjemność. Wystarczyła plotka, że jakieś pani pokazała się czekolada w Delikatesach, że miała takie widzenie, już Mikołaj na wszelki wypadek ulegał psychozie.

W sumie czysta komedia.

W miarę upływu lat stawało się coraz trudniej. Było mniej śpiozków, mniej czekolady i mniej koni na biegunach. Mikołaj stał w kolejkach, kolejki robiły się coraz dłuższe. I nastrój w kolejkach wytworzył się mało kulturalny. Jakiś dziwny, patrząc trzeźwo.

Ale Mikołaj nadal stał i stał po prezenty.

Po pewnym czasie został świętym.

ANATOL POTEMKOWSKI

(„Szpilki")

MARIA ŻUROWSKA

UŚMIECH FAUNA

— 21 —

Namiętna, histeryczna rozwódka tego właśnie pragnęła, za tym gwałtu, dopięła celu i nie doznała rozczarowania.

Tylko taka frenetyczna miłość mogła ją zadowolić, zaspokoić nieugaszoną żądzę rozkoszy. Tylko takiej mogła odpłacić się prawdziwą wzajemnością.

Roger nie mylił się twierdząc, że byli dla siebie stworzeni. Natury ich do siebie podobne, trawione chciwością wrażeń, płonęły jednym zarem, zlewały się w jednym miłosnym akordzie. Po dwóch latach rozstania odnaleźli się, jak gdyby ich magnes przyciągnął i przykuł. Od chwili, gdy padli sobie w objęcia, świat cały przestał dla nich istnieć, patrzyli nań przez pryzmat własnych uczuć.

Jako punkt schodek obrali sobie skromny hotelik, stojący na uboczu w oddalonym zakątku mieściny, tam godziny płynęły im jak chwile, zbyt krótkie wedle ich uznania.

Jednak w luksusowym hotelu, w którym oboje mieszkali, byli stale narażeni na niedyskretne obserwacje, trudno było się od nich uchronić, gdyż uczucia tego rodzaju, parte niepohamowaną siłą, pomimo woli ujawniają się, budząc ciekawość otoczenia.

Podsłuchane słówko, zbyt wymowne spojrzenie, nieznaczny odruch sympatii, nic nie uchodzi niepostrzeżenie. Zawsze się znajdzie ktoś, kto z drobnego na pozór faktu potrafi wysnuć daleko idące wnioski, a cóż dopiero, gdy bohaterowie romantycznego epizodu swą powierzchownością i towarzyskimi zaletami, stoją samo przez się na widowni. Każdy ich gest jest przedmiotem komentarzy.

Nie tylko Stefcia, jako wtajemniczona, dostrzegła nieomylne oznaki: patrzyły inne oczy i mnożyły się uwagi, jedne złośliwe, inne dobroduszne, wyrozumiałe. Tłumiono je tylko w obecności hrabiny, której obojętność brano za zaślepienie.

Dotychczas fircyki Rogera uważano za niewinne, sezonowe zabawy, lecz obecnie sprawa wyglądała na poważniejszą, godną zainteresowania.

Jedynie baronowa, zawsze optymistycznie usposobiona, odpierała wszystkie zarzuty czynione hrabiemu i pani Gralowej, uważając je za bezpodstawne.

— Piękna osoba i przystojny mężczyzna zawsze są narażeni na oszczerstwa; nie mogą nawet swobodnie rozmawiać, aby nie ostrzono na ten temat języków — mówiła.

Wbrew swemu przekonaniu, Falowicz głośno podzielał to zdanie, zawzięcie bronił atakowanych, pokłócił się nawet ze swym przyjacielem powieściopisarzem, zwanym „Obserwatorem", lecz w duchu był niespokojny.

Wiedział bowiem wiele więcej, niż inni. Znajdował się w sali balowej w pobliżu Rogera Naty, gdy między nimi rozegrało się preludium do dalszej sceny. Spostrzegł wzburzony wyraz twarzy Stermunta, jego nerwowy ruch, gdy schwycił dłoń towarzyszki, a następnie zniknięcie obojga.

Przypomniał sobie ukazanie się Naty w sali restauracyjnej podczas obiadu, ukłon Stermunta, nagłą bladość Stefci, którą uważał na razie za objaw znużenia.

Wszystkie te szczegóły wiele dawały do myślenia. Szczęście Stefci było zagrożone, a wszystko tyczyło jej osoby, żywo i serdecznie obchodziło rzeźbiarza.

Każde cierpienie budziło w nim współczucie na żadne nie był obojętny.

Miłość bliźniego wchodziła w skład jego usposobienia, była jakby wrodzonym jego odruchem

(CIĄG DALSZY NA STR. 22)